Nr. 40. Poznań, dnia 7 Października 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 40-go.

Matki Polki w obronie swych dziatek.

Oj nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty to czują,
Bo z ich to piersi płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.

Słowa te płomiennymi znaki zapisane być powinny w sercach kobiet polskich.

Pomaga do rozpalenia tych uczuć gorących ucisk skierowany przeciwko nam wogóle, rozżarza go do płomienia szczególnie sprawa zaprowdzenia niemieckiej nauki religii w szkole. Matki w obronie dzieci swoich nie znają granic swych ofiar ni poświęcenia.

Dowodzą tego wypadki nadchodzące ze wszech stron, dochodzą wieści, że z ciszy rodzinnego gniazda matki gromadzą się do wspólnej, publicznej narady, że postanawiają mężów swoich w usiłowaniach około obrony polskiego wykładu religii wspomagać, chcą godnie stanąć przy ich boku: do walki za wspólną sprawę.

Zaprawdę! — wieści tych słuchając, ma się na ustach to święte błogosławieństwo: Boże pomagaj, Boże błogosław świętej sprawie, błogosław matkom, błogosław ofierze, w której niosą ci synów i córy swoje!

I Bóg — błogosławić będzie!

Za przykładem Gostynia, gdzie najpierw i bodaj najdzielniej zabrano się do obrony polskiego wykładu religii, bo w sprawie tej matki z ojcami w równym stanęły szeregu, bo na wiecu uchwaliły: nie cofać się — po Gostyniu nastąpił Kościan.

I tam w ubiegłą niedzielę odbył się wiec kobiet, wiec matek, i tam matki na wspólnej naradzie rozważyły sobie, na co siebie i dzieci narażają, gdy wytrwają w obronie polskiego języka, i tam uchwaliły pomimo wszystkiego wytrwać.

Kościański wiec nabiera szczególnego znaczenia, ponieważ matki kościańskie nie ulękły się tego, że dwa tygodnie temu zakaz policyjny wykluczył je z wieca ojców, i ponieważ odbył się w chwili, kiedy — jak donosi „Gazeta Polska“ — rząd przeznaczył już 5 (!) nowych nauczycieli do Kościana. W jakim celu to rząd uczynił — wiadomo. Pomimo wszystkiego matki kościańskie się nie ulękły, na wiec pospieszyły gromadnie, tak, że szczupła sala wszystkich pomieścić nie mogła. Wiele z żalem musiało zrzec się bytności na wiecu.

Sam wiec odbył się wspaniale; może on nawet służyć za wzór innym. — Dla tego też szczupłe ramy pisma naszego otwieramy szczególnie dla mów na nim wygłoszonych, bo te mowy, to odźwierciedlenie uczuć matek naszych wogóle, te mowy to miażdżąca krytyka obecnego systemu szkolnego, krytyka tem dosadniejsza, że pochodząca z serca szarpanego bólem a nie z mózgu nabitego rozumami wiedzy i nauki. Uczucia to więc szczere, z serca pochodzące, mamy też nadzieję, że wnikną do serc czytelniczek „Pracy“.

Wiec w Kościanie zagaiła p. Wopińska, przewodniczyła mu p. Władysławowa Tomaszewska, pióro dzierżyła panna Helena Czaplicka.

Pierwsza przemówiła p. Budaszewska, żona budowniczego, na temat:

Obecne położenie matek Polek:

Szanowne Matki!

Witam Was i daję wyraz mej radości, żeście się tak licznie zgromadziły w tak poważnej i nad wyraz bolesnej sprawie. Dajecie tem dowód dobitny, że wiec odpowiada rzeczywistej a palącej potrzebie. Bo cel, który nas tudotąd przyprowadził, to obowiązek macierzyński, obrona najdroższych naszych skarbów i wiary naszych dziatek.

Dzisiaj zebrane matki z łzami w oczach i bólem w sercu pragniemy, jedną i tą samą krzywdą dotknięte, rozpatrzeć położenie nasze, pobudzić ze snu te, które nie rozumieją głodu duchowego, do samoobrony praw naszych wskazać jedną pomoc i powołać wszystkie do wytrwałości i solidarności. — Pracujmy więc wszystkie razem dla świętej sprawy, nie rozpraszajmy się na partye, nie szukajmy osobistych ambicyi i zadowolenia, bo te, choćby najszlachetniejsze, podkopują dobry obrót sprawy naszej i dają broń w ręce nieprzyjaciołom. Wiemy, że źle się dzieje, ale oczu nie zamykajmy, owszem rozpatrujmy się w położeniu, czuwajmy i działajmy.

Od niedawna — jakby na przekór zapewnieniom monarchy, danym przed rokiem w Gnieźnie, że każdy Polak żadnych nie będzie miał przeszkód w wypełnianiu obowiązków religijnych, rozpoczął się od niedawna systematyczny zamach, pędzący całą siłą pary na najświętsze skarby wiary w sercach dziatek naszych.

Kochane Matki! A my dziś czego tu pragniemy dokonać? — Nic nowego!

1) zaprotestować uroczyście wręcz wobec świata całego, że krzywda nam, matkom, się dzieje, przez gwałcenie sumienia naszych dziatek, przez wzywanie do nieposłuszeństwa względem rodziców, przez naigrawanie się z nabożeństwa dzieci naszych, modlących się pod figurą Matki Boskiej, przez niewinne karanie dzieci za to, że przestrzegają czwarte przykazanie Boże.

2) pragniemy pouczyć się wzajemnie, co czynić mamy, by nie zagasła w sercach dzieci naszych wiara św.

Choć nie mam jeszcze doświadczenia życiowego, ale czuję i rozumiem to dobrze, co jest wychowanie religijne dziecka. Toć my matki, wpajamy w dzieci nasze z trudem i mozołem pojęcia religijne i tak mozolimy się aż do szóstej wiosny życia dziecka. I tu trzeba dziecko posyłać do szkoły.

Cóż to jest szkoła? Szkoła to zastępczyni matki, zastępczyni rodziców! Ładne mi zastępstwo!

Matka uczyła dziecko wszystkiego w ojczystym języku, a tu pani zastępczyni — szkoła — skoro tylko dziecię przekroczy próg szkólny, prócz początków religii, domaga się wszystkiego w języku niemieckim, a nasi mężowie płacą podatki na taką szkołę! — Ale mniejsza z tem. Już by to było wymaganie wobec rządu aż nadto zuchwałe, gdybyśmy zażądały, żeby język wykładowy w szkołach był polski — te czasy już minęły, — bo za późno zaczęłyśmy się bronić, już żeśmy się pogodzić musiały i musiałyśmy się kontentować, że w religii zostawiono wykład w języku polskim. Ale to nie żadna łaska rządu, że nam tę naukę zostawił, to jego obowiązek! I cóż się dzieje? Otóż i tę okruszynę, a zazdroszczono jej nam i z nieubłaganą zawziętością wydarto nam to, co się nam słusznie należy. Odtąd w klasach naszej szkoły ludowej chciano zaprowadzić język niemiecki w wykładach religii. Ale przeciw temu jednak oparli się mężowie, oparło się społeczeństwo i się do dzisiaj opiera.

Że nasz opór jest słuszny, o tem nawet niemieckie i szwedzkie gazety otwarcie i stanowczo piszą, a my wszystkie jesteśmy mocno o tem przekonane, że dzieci nasze pobierać winny naukę religii w języku ojczystym.

Prawo krajowe wyraźnie zostawia rodzicom głos decydujący. Bo jakżeby mogło być inaczej; prawdy wiary to nie błahostki, to nie rachunki, to nie powiastki z tysiąca i jednej nocy, ale to podwaliny całego życia ludzkiego. Tu nie chodzi o to, naucz się na pamięć religii — a będziesz mądrym — lecz przejmij się nią głęboko, abyś był uczciwym człowiekiem przez całe życie.

Mnożą się oznaki, że społeczeństwo nasze narażone zostanie na cięższe jeszcze próby, a wnosić to należy z ujadania i zapowiedzi prasy nam wrogiej, ale trzeba pamiętać, że Opatrzność nigdy uciśnionych i pokrzywdzonych nie opuszcza, zwłaszcza, gdy chowamy przykazanie pierwsze: „Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!“ Dosyć wskazać na dziewicę orleańską, Joannę d'Arc, która wziąwszy miecz do ręki, walecznością swą uratowała całą Francyę od zagłady Anglii — na przeora Kordeckiego w naszej historyi, na Irlandyę, gnębioną kilkuwiekowym uciskiem, tę Irlandyę, która pozbawiona mowy ojczystej, dzięki mężom przez Opatrzność zesłanym, ocknęła się z uśpienia.

Widzimy więc, że żadnym narodom zwątpić nie wolno, nie wolno tracić nadziei, trzeba tylko stanowczo do końca wytrwać.

Weźmy sobie przykład z mężnej Zofii Chrzanowskiej, która za panowania Jana Sobieskiego III. przez dodanie otuchy i odwagi mężowi swemu, obroniła zamek Trembowlę od niechybnej zagłady dzikich Tatarów.

Mężowie nasi mnóstwo wieców urządzili, setki petycyi z tysiącznemi podpisami do rejencyi i do p. ministra do Berlina wysłali, lecz niestety bez żadnego skutku!

My więc dzisiaj zebrane matki-Polki wobec prawa przyrodzonego, podnosimy głos protestu i żądamy, żeby dzieci nasze wszędy i zawsze wiary naszej św. uczyły się w języku ojczystym, z naszej zaś strony dokładać będziemy wszelkich starań, aby pierwsze słowa, jakie dziecko się nauczy brzmiały — „mama“ — „tata“ i „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.“ Wskazywać będziemy dzieciom naszym na wiszące po ścianach naszych domów obrazy Świętych Stanisławów, Janów, Jadwig, Katarzyn, a przedewszystkiem naszej Matki Boskiej Częstochowskiej, która jak niegdyś przed Szwedami nas obroniła, tak i teraz potrzebnej pomocy nam nie odmówi.

My Matki Polki i katoliczki, łagodne i dobre jesteśmy, ale potrafimy się też zawziąć *i być lwicami*, gdy tego potrzeba! Będziemy cierpieć i trwać na straży świętości narodowych, uczyć do ostatniego tchu polskiego czytania i polskiej religii w domach naszych, a kapłani dokonają reszty w kościele!

* * *

Rodzina a szkoła:

(Przemówienie p. Pelagii Tadeuszowej.)

Z polecenia Komitetu wiecowego mam do Was, drogie Wiecowniczki, mówić o obowiązkach matek względem wychowania dzieci.

Serce się raduje na widok tak licznie tu zebranych Matek w celu wyrażenia żalu i wypowiedzenia krzywd, jakie się naszym dziatkom dzieją przez usunięcie ze szkoły polskiej nauki religii.

Ze drżeniem radości słuchałam o waszych, zacne siostry, naradach. Każdy wyraz był mi rozkoszą, lecz niestety i bólem! Bólem, że tej religii świętej bronić musimy, rozkoszą, że wśród największego ucisku mowa nasza nie zginie!

Przypominam sobie dzieje walki kulturnej, w którym to czasie rząd nas z całą zaciętością gnębił, a ojcowie nasi całymi miesiącami we więzieniu przesiedzieć musieli. Był to czas dla nas bardzo przykry, ale kochane Matki! — było nam lżej, bo cierpieli nasi ojcowie i mężowie.

Ale teraz rząd zwrócił się w inną stronę i uderzył w to, co jest naszemu sercu najbardziej drogie — to jest w dziatki nasze!

My matki dużo mozołu ponosić musimy, aby dziatki nasze regularnie do szkoły chodziły. Dziecko cały prawie dzień w szkole przesiedzi. A cóż za korzyść z tego, jeżeli to dziecko tego co mu jest najpotrzebniejsze, tej religii albo wcale, albo w niezrozumiałym języku się uczy?

My chcemy, ażeby dzieci nasze niemieckiego czytania i pisania się uczyły. Nie mamy nic przeciwko temu, bo wiemy, że im to potrzebne w późniejszem życiu, ale niemiecki „Vater unser“ jest nam niepotrzebny!

Niejedna z nas uczyła się w szkole pacierza w niemieckim języku. Czy z tej nauki korzystała? Z pewnością nie! Gdybym ja miała uklęknąć i niemiecki pacierz mówić, myślałabym, że bluźnię przeciwko Bogu i że mnie Bóg za to ciężko skarze! — Pocóż tedy nasze dzieci tego się uczyć mają? Toć tylko zgorszenie stąd powstaje!

Pewna ośmioletnia dziewczynka wróciwszy ze szkoły, w której co dopiero odmawiała niemiecki pacierz, zaczęła tańczyć w domu, przyśpiewując sobie „Vater unser, der du bist.“ Zganiona przez ojca, że przy pacierzu tańczy, odrzekła: „przecież ja pacierza nie mówię, tylko śpiewam wierszyk szkolny.“

Czy to nie zgorszenie?

Gorzej jeszcze przedstawia się wyrażenie 13-letniego chłopca, który uczył się w szkole historyi o świętym Janie Chrzcicielu.

Zapytany w domu, czego was dzisiaj uczono, odpowiedział, dzisiaj opowiadano nam o „Heiliger Johannes der Teufel.“

Nie jest to oburzające i okropne? — Z św. Jana Chrzciciela (po niemiecku „Johannes der Täufer“) zrobili dyabła — Teufel! Takie oto owoce rodzi niemiecki wykład religii w szkołach pruskich!

My Matki-Polki nie jesteśmy pochopne do występów publicznych. Wolimy raczej za przykładem babek naszych i prababek pilnować ogniska domowego. Wiemy jednakże z historyi narodu naszego i z opowiadania, że prababki nasze umiały rzucić kądziel, a ująć broń w rękę, jeżeli niebezpieczeństwo groziło ich domom i rodzinom.

Niechże zatem nikt się nie dziwi ani nie gorszy, że tu dzisiaj stajemy w obronie najdroższego skarbu, jakim jest religia święta i nasz ojczysty język!

Zebrałyśmy się tutaj, aby otwarcie i publicznie zaprotestować przeciwko krzywdom, wyrządzonym nam i dzieciom naszym, i podnieść okrzyk już nie żalu, ale oburzenia, że krzywdy te spotykają nas ze strony tych, którzy winni się nami opiekować.

Nie boimy się też nazwy „agitatorek“, gdyż każda agitacya w uczciwej sprawie ma racyę bytu!

Jeżeli zaś w obecnych czasach i w obecnych stósunkach wytyka się nam niekiedy agitacyę wielkopolską, to doznajemy wrażenia, jak gdyby nas kto mocno targał za uszy, a przytem wołał: Nie krzycz bracie!

A jakżeż tu nie krzyczeć, jeżeli boli? Ach boli nas męka dzieci naszych, zmuszanych do pobierania nawet początków nauki w niezrozumiałym języku, boli nas, jeżeli dziecko pobite przyjdzie do domu i matce się żali!

Przed kilku dniami córka moja przyszła do domu ze szkoły z pobitemi rękoma i opuchłemi oczami od płaczu i powiada, że jest wybita podczas nauki religii! Nie za religią wprost, ale za najmniejsze przewinienie podczas nauki religii, gdyż te dzieci, które się religii po niemiecku nie chcą uczyć, są często karane.

Ja mówię do córki, przecież więcej razy już dostałaś tak zwane „łapy“ i nigdy tak mocno nie płakałaś? — Tak, — odpowiada dziewczę — ale nie teraz! Jak teraz biją, to z taką mocą, że od bólu nie można wytrzymać i dla tego tak mocno krzyczałam, bo myślałam, że mama w domu usłyszy i przyjdzie mnie obronić!

Córka tu obecnej pani Wopińskiej miała paluszki w wszystkich zgięciach do krwi poprzecinane! Jedna matka powiadała mi, że jej chłopiec dostał 14 batów za nieodpowiadanie w niemieckim języku i takich przykładów na tysiące by naliczyć można

A więc boli nas krzywda, jaka się dzieciom dzieje, gdy nawet religii świętej uczyć się muszą w obcym, nie w ojczystym języku, boli nas niesprawiedliwość, jeżeli o narodowości dzieci stanowią nie rodzice, lecz rektorowie, inspektorowie i inni przedstawiciele szkolnictwa; boli nas wreszcie i pali wstyd i sromota, jeżeli język, którym mówią 3 miliony polskiej ludności w Niemczech, wyrzuca się jak niepotrzebną szmatę z okna szkolnego.

Ale kochane wiecowniczki, nie dosyć narzekać, *my musimy działać!* Pomimo, że jesteśmy obarczone tak w mieście jak na wsi ustawiczną pracą, korzystajmy jednak z każdej chwili, gdy dziecko z nami rozmawia.

Zamiast innej mowy, opowiadajmy mu o Bogu, który je stworzył, i na co żyjemy na ziemi, i w ilu osobach jest Bóg nasz. Śpiewajmy z niemi pieśni polskie, uczmy je czytania i pisania polskiego. Nie możemy się wymawiać, żeśmy nie uczone. Tyle każda umie!

Na wieczór zaś, gdy ojciec w domu, w niedzielę lub święto, odsyłajmy dzieci do niego, a gdy się koło niego skupią, już on się nie będzie mógł wynieść z domu i nie jedno popołudnie lub wieczór spędzi w gronie rodziny.

W ten sposób oszczędzi się wiele grosza. Pieniądze te mogą być zużyte na katechizmy polskie, na gazety polskie, bez których dziś żaden dom polsko-katolicki obywać się nie powinien.

Wielkie i szumne hasła są niczem wobec pracy cichej, a wytrwałej, jaką każda z nas w swojem kółku i zakresie podjąć może i powinna! Praca ta niechaj nam będzie zjednoczeniem, myślą przewodnią, gwiazdą przyszłości i jutrzenką zapowiadającą tryumf dobrej sprawie!

Nie! naród nasz nie zginie nigdy, nie upadnie, bo kobiety polskie stać będą na straży św. wiary i ojczystej mowy!

Ale czy wszystkie Polki tak czują? Czy wszystkie rozumieją, jakim skarbem drogim jest religia święta dla naszych dzieci? Ile jeszcze matek śpi pod tym względem, niepomne na to, że drugie przez to dłużej i więcej cierpieć muszą, bo tylko siłą, jaką jedność daje, dokażemy swego!

A więc kochane Matki, bądźmy wszystkie jednej myśli, idźmy wszystkie ręka w rękę! Opowiedzmy naszym dzieciom wszystkie równo jak mają sobie postępować! — Niech nie będzie tego rozdwojenia między dziećmi w szkole!

A gdy tak postąpimy, to miejmy nadzieję, że Bóg się ulituje naszej niedoli i ześle nam inne lepsze czasy. Bóg jest tak dobry, tak mocny i sprawiedliwy, że krzywdę naszą pomści! Co daj Panie Boże!

O systemie szkolnym w Prusach.

(Przemówienie p. Maryi Urbańskiej).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowne Matki!

Z pewnością niema tu ani jednej z Was, któraby chciała dzieci swe źle wychować. Każda matka pragnie wychować dzieci dobrze. Niechby tylko kto powiedział matce, że źle wychowuje dzieci! Oburzyłaby się na to i znalazłaby z pewnością, jeżeli nie trafne, to przynajmniej złudne wywody słuszności swego systemu wychowania dzieci.

Tak samo jest ze szkołą. Przecież szkoła jest na to, aby dziecko nie tylko kształciła, ale i wychowywała. Nauczyciel ma wyrobić z dziecka człowieka, mającego być użytecznym członkiem społeczeństwa. Lecz jak niejedna matka się myli i wychowuje błędnie swe dzieci, tak i szkoła mylić się może. Na dowód przytaczam tu zdanie Niemca, *dr. Sturma.*

Pisząc o wychowaniu młodzieży, jest dr. Sturm przeciwnym mechanicznemu nauczaniu dzieci i mówi pomiędzy innemi, „że człowiek powinien najpierw nauczyć się myśleć. Nasze pięć zmysłów powinny być wprzód w umiejętny sposób wzmacniane. Dopiero gdy dziecko nauczy się samodzielnie myśleć wtenczas powinno się uczyć na pamięć.“

Taka nauka odnosi korzyści!

Ale czy szkoła tak postępuje? — „Modne uczenie się na pamięć, stłumia w dziecku samodzielną myśl. Taki stosunek jest nienaturalny, przeto dzisiejsze wychowanie denerwuje dzieci i niekorzystnie wpływa na ich zdrowie. Cierpienia nerwowe szerzą się przez to pomiędzy dziećmi w zastraszający sposób.“

Takie jest zdanie Niemca o szkole pruskiej.

Jeżeli więc dziecko z korzyścią ma się uczyć w szkole, powinno najpierw nauczyć się myśleć. Myśleć zaś można tylko w *ojczystej mowie.*

Tak więc dziecko niemieckie, zastanawiając się nad czemś, myśli po niemiecku, *dziecko polskie po polsku.*

A jednak rząd pruski tej różnicy pojąć nie może, czy nie chce.

Dawniej uczono w szkołach dzieci *polskie po polsku.* Dopiero za czasów Bismarka zaczęto usuwać ze szkół język polski i doszło tak daleko, że nawet naukę religii wykładają teraz dzieciom polskim *po niemiecku.*

Sprzeciwia się to przyrzeczeniom królów pruskich.

W odezwie do Polaków Wielkiego Księstwa Poznańskiego z dnia 15-go

maja 1815 r. pisze między innemi król Fryderyk Wilhelm:

„Wasza religia zostanie zachowaną i przedsięwzięte będą środki dla utrzymania duchownych w miarę ich dostojeństw. Wasz język ma być używanym obok niemieckiego we wszystkich publicznych sprawach.“

Dziadek zaś teraźniejszego cesarza niemieckiego w odezwie do Polakow z dnia 6-go sierpnia 1841 pisze dosłownie:

„Chwalebną miłość każdego szlachetnego narodu do swej *mowy* i obyczajów, swych historycznych wspomnień, także i u Polaków szanować i cenić było myślą przewodnią wykonawców traktatu wiedeńskiego, a także pod naszem panowaniem ma doznać ona poszanowania i opieki.“

Lecz nie potrzebuję sięgać tak daleko. — Teraźniejszy cesarz niemiecki, bawiąc przed kilku laty w Poznaniu, ostrzegał urzędników pruskich, by *„nie tykali się wiary Polaków“*, a pierwszy minister powiedział, że Polacy mogą mówić, *„jak im dziób urósł“*; widocznie takie wyrażenie w języku niemieckim brzmieć musi bardzo wykwintnie.

Pomimo tych i innych jeszcze przyrzeczeń, zniesiono w szkole naukę języka polskiego zupełnie, a wykład religii odbywa się tylko w najniższych klasach po polsku. A i tam będzie niezawodnie wkrótce zaprowadzony wykład niemiecki.

Cóż my wobec tego?

Przecież religii mechanicznie na pamięć uczyć się nie można w języku niezrozumiałym. Taka nauka jest szkodliwą podwójnie, gdyż denerwuje dzieci i spacza pojęcia religijne. Kiedy już do innych przedmiotów jest potrzebne skupianie myśli, to tem więcej jest ono konieczne przy nauce religii.

Przypominam sobie wypadek z moich lat szkolnych. Chodziłam wpierw do szkoły w Księstwie Poznańskiem i uczyłam się religii po polsku. Później dostałam się do szkoły w Prusach Zachodnich, gdzie już od dawna uczą religii po niemiecku. W kościele jednakże ksiądz przygotował mnie do pierwszej Komunii św. po polsku.

Raz kazał mi nauczyciel wygłosić sześć prawd po niemiecku, lecz nie umiałam. Jakto, mówił nauczyciel, zostałaś już przyjętą do Komunii św., a nie umiesz sześć prawd? *Po polsku umiem* — odpowiedziałam — *po niemiecku nie rozumiem!* — Od tego czasu nauczyciel nie pytał mnie już więcej podczas nauki religii.

A jak teraz postępują nauczyciele z dziećmi, które nie odpowiadają podczas niemieckiej nauki religii? Za najmniejsze przewinienia biją dotkliwie i mówią: „Uczcie się religii po niemiecku, będziecie miały lepiej“.

Tu szkoła sprzeciwia się rozporządzeniu rodziców. I to ma być dobrem wychowaniem?

Dla czegoż *zmusza się* dzieci do niemieckiej nauki religii? *Otóż dla tego, aby później mógł rząd zakazać księżom nauki przygotowawczej do Komunii św. w języku polskim!*

Później zniesie się *śpiew polski* w kościołach, aby jak najprędzej *zatrzeć ślady polskości.* Takich zamiarów rządu pruskiego można się domyślać.

Czyż my już koniecznie mamy się zniemczyć? Przecież w Austryi tyle narodów obok siebie żyje, a rząd daje im szkoły nie niemieckie, ale Czechom czeskie, Polakom polskie, Rusinom rusińskie itd.

Nawet w Rosyi, gdzie tak Polaków gnębiono, zaprowadza się język polski przy wykładzie religii i innych przedmiotach.

Szanowne Matki! Rząd pruski nie ustąpi dobrowolnie i wszelkie prośby nic nie pomogą.

Jeżeli chcecie, aby dzieci Wasze się nie zniemczyły, musicie nauczyć je kochać wszystko co swoje. Niechaj dziecko pozna te piękne piosenki polskie, uczcie je czytać i pisać po polsku, aby mogło w języku ojczystym modlić się do Boga.

Pamiętajcie o tem, że dom polski, to warownia, której tak łatwo zdobyć nie można, jeżeli na straży jest w nim Matka-Polka. Ale ta matka powinna znać swoje prawa i obowiązki.

Niechaj te matki, które teraz mają dzieci w szkole, skorzystają z przysługujących im praw. *Trzeba stawiać wnioski do nauczycieli o udzielanie religii w języku polskim.*

Jeżeli wnioski te nie zostaną uwzględnione, trzeba użalić się u p. ministra. Gdy zaś p. minister na to nic nie odpowie, można udać się z tą sprawą do posłów naszych.

Jeżeli nauczyciele karzą dzieci za nieodpowiadanie podczas nauki religii w języku niemieckim, trzeba się użalić do władz wyższych.

Trzeba donieść o tem członkom *dozoru szkolnego*, a w razie większego

Z teatru.

Karykatury.

Kisielewski jest wielkim wirtuozem umie grać na nerwach aż do ostatniego ich napięcia. Mistrz arcyprawdy życiowej. Obrazuje ją w całej niepięknej nagości, zmuszając widza do refleksyi. W „Karykaturach“ utworze wznowionym przez dyrekcyę czwartku zeszłego przed audytoryum, które zwykle widuje się u nas tylko w sobotę przedstawił nam autor „Szalonej Julki“ życie nie zidealizowane wcale. Żałować jedynie należy, że naprężenie nerwowe i zainteresowanie się głębsze utworem mija po wyjściu ze sali. Winą tego może, brak oryginalności w pomyśle. To cośmy widzieli, takie znane, takie stare i powszednie, a budzące może tylko u filistrów w różowych okularach pewien rodzaj negacyi. Jedynie rama, w którą Kisielewski oprawił swoje studyum sceniczne, jest dla nas ciekawą, i ta okoliczność obok wielkiej sceniczności utworu, zapewni mu na naszej scenie powodzenie. Wprowadza nas autor w świat radykalnej „paczki“ krakowskich akademików, adeptów sztuki, przyszłych literatów, młodzieży pełnej zapału, pełnej nadziei i wiary w przyszłość i w swój gdzieś w głębi ukryty geniusz, który niedługo cały świat zadziwi, przyjaciół muz, niedbających zresztą o jutro, żyjących chwilą i podlegających grubej zmysłowości, która podcina skrzydła, mające wznieść ich na wyżyny. Murgierowskie postacie.

Bohatyr, Antoni Relski, około którego akcya cała się obraca, człowiek nie przesiąknięty jeszcze dotąd niezdrowemi zasadami swych kolegów, młodzieniec o zapalnej głowie, ale chwiejnego charakteru, cierpi pod wpływem lekkomyślności swej i nieprzewidzianego stosunku, trawi się ogniem wewnętrznym, traci pod ciężarem walących się nań przeciwności zewnętrznych, energię i szczęście.

W pierwszych aktach widzimy Relskiego, starającego się daremnie rozwiązać węzeł gordyjski, ową matnię, w którą wplątał się, ulegając w słabej chwili zmysłom. Uwiódłszy Zosię, dziewczynę prostą, córkę kobiety, u której dawniej zamieszkiwał, odczuwa wkrótce cały ciężar stosunku, który go krępuje, wystawia na szyderstwo kolegów; dusi się w brudzie, jaki go otacza. — Nie ma jednakowoż na razie odwagi zerwać na zawsze z matką swego dziecka. Zosia podbija go swą uległą dobrocią serca, rozbraja całą potęgą swej miłości, posuniętej do bałwochwalczego ubóstwiania. Ona wierzy w swego Antosia, ufa mu bezgranicznie, karmi się nadzieją, że wkrótce miłość ich zostanie legalnym uwieńczona związkiem, że skoro Relski zda egzamin, ona zostanie „profesorową“ i tem samem skończą się dla niej dni szarej troski, a miłość ukochanego wróci do dawnego raju pierwszych uniesień. Spotyka ją zawód. Relski popisu nie zdał. Pod wpływem przygnębiającej go atmosfery miłość jego

pobicia udać się natychmiast do *lekarza.*

Znajdą się zresztą ludzie, którzy w tej sprawie zawsze służyć będą radą i pomocą.

Lecz, aby zwycięstwo było po naszej stronie, trzeba jedności w działaniu i wytrwałości.

Walka jest święta, chodzi o najwznioślejsze ideały nasze, chodzi o zbawienie dzieci naszych.

W walce tej Bóg z nami, a gdy Bóg z nami, *któż przeciwko nam?*

* * *

Cześć matkom Kościaniankom! Obyż za ich przykładem poszły i inne miejscowości.

W sprawie obrony dziatwy polskiej.

W każdej walce są chwile wytchnienia, zawieszenia broni. Komuż, jeżeli nie dzieciom naszym obecne wakacye będą takiem wytchnieniem, chwilą wypoczynku, chwilą, w której pełną piersią mogą zaczerpnąć swobody, mogą zabrać się do dalszego borykania o swoje najświętsze prawa.

Życzymy im tej chwili z całego serca.

Ta chwila odpoczynku dla dzieci — powinna być chwilą namysłu i rozwagi dla rodziców, dla opiekunów tych dziatek, wreszcie dla całego społeczeństwa, w którego szeregach dziś dzieci stoją na czele.

I cóż to powinniśmy sobie rozważyć?

Sprawę oporu samego — nie! To dziś sprawa, nad którą uchwała zapadła żywiołowo, prawie bez woli i wiedzy kierowniczych czynników. Wstrzymanie oporu dziś nie od nas zależy, nie od rodziców, ale od tego, jakie w sprawie nauki religii zajmie stanowisok — rząd. Rząd wie, o co chodzi, powinien też wiedzieć, co czynić, — — przecież on taki — mądry!

Nam raczej zastanowić się należy nad niektóremi objawami oporu, i to objawami tego rodzaju, na które możemy mieć pewien wpływ.

Chodzi tu nam w pierwszym rzędzie o — kary za opór. Kary te są następujące: bicie, areszty, przetrzymywanie w szkole po nad 14 rok.

Najwięcej na razie obchodzi nas tutaj sprawa — *bicia.* Jest to sprawa najbardziej nagląca, bo chodzi o to, ażeby — o ile to możliwe — ulżyć dzieciom tych mąk, jakie ponoszą. A wiadomości w tym względzie przychodzą coraz smutniejsze.

Co pod tym względem w szkole zrobiono? — Są wieści, że nauczyciele opornych dzielili na dwie części i to na takie dzieci, które na pytanie, dla czego nie uczą się religii po niemiecku, odpowiadały, że *rodzice* im zakazali, i na takie, które odpowiadały, że nie będą się uczyć z *własnego* popędu.

I cóż się działo? Nauczyciele tym dzieciom, które odwoływały się na zakaz rodziców, dawali spokój, *nie bili ich;* natomiast te dzieci, które *same* ze *siebie* nie chciały się uczyć religii po niemiecku, — karali za *nieposłuszeństwo!*

Przepis szkolny za naukę religii *zakazuje* karać, więc obchodzi się ten przepis w ten sposób, że kara wydzielana bywa za nieposłuszeństwo.

Jaka stąd nauka? — Otóż ta nauka, że rodzice powinni temu zarzutowi i tejże karze za rzekome nieposłuszeństwa — zapobiedz. Mogą to uczynić w taki sposób, że *pójdą* do nauczyciela i powiedzą mu, że to oni zakazali dzieciom swoim uczyć się religii po niemiecku, albo *napiszą* o tem do nauczyciela.

Chcąc o tej woli swojej nauczyciela powiadomić, muszą rodzice rozważyć sobie i to, czego ich zakaz ma dotyczyć.

Przypomnieć tutaj nam trzeba, że nauka religii obejmuje 4 rzeczy: 1) pochwalania Pana Boga, 2) odmawrania pacierza, 3) śpiewania niemieckich pieśni kościelnych, 4) nauki katechizmu i biblii św.

Jakże często n. p. zdarza się, że dzieci uczęszczające do szkoły, wobec przechodnia zamiast „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" — powiadają po niemiecku: „gelobt sei Jesus Christus" — w szkołach przecież muszą odpowiadać po niemiecku.

Przecież to są dwie rzeczy z codziennego życia — czyżby rodzice chcieli, żeby dzieci ich Boga chwaliły, albo pacierz doń odmawiały po niemiecku?

Zapewne nie!

Trzeba więc, jeżeli pisze się lub osobiście idzie ojciec, albo matka do nauczyciela — *wszystkie* te cztery rzeczy wyszczególnić, ze szczególnym naciskiem co do pacierza i pochwalania

---

dla Zosi znika bezpowrotnie. Zwraca się natomiast z całą siłą miłości czystej do Stefanii Borkowskiej, córki zamożnych rodziców, uczennicy swej, a przekonawszy się, że ta dawno już żywi ku niemu sympatyę, i że małżeństwu obojga nic nie stoi na przeszkodzić, szaleje z bólu, gdyż czuje, że złamałby życie ukochanego, nic nie przeczuwającego dziewczęcia, gdyby mu odkrył całą grozę swego położenia i występny stosunek do drugiej kobiety. Porzuca rodzinę Borkowskich i wraca do swej nędznej siedziby z postanowieniem zerwania krępujących go więzów. Chwila wolności wraca prędzej, niż się spodziewał. Zosia, opuszcza go, dowiedziawszy się, że Relski kocha Stefanię. — Jest to psychologiczny moment w sztuce, na który zgodzić się nie mogę. — Czyż kobieta, ubóstwiająca kochanka, pali za sobą wszystkie mosty tylko dla tego, że ten zapłonął afektem do innej? Sama powiada, że nie jest tak głupią, jaką ją Relski sądzi, zresztą powinna odczuwać, że jej Antoś teraz nieszczęśliwy, złamany, gdyż dowiedziała się od starego Borkowskiego w ostatniej scenie, że w domu jego dla Relskiego miejsca już nie ma a jednak teraz opuszcza go tak nagle, że widz nawet zreflektować się nie może. — Zresztą Relski sam uznał niemożliwość związku z Stefanią, wyrzekł się szczęścia, gdyż tliła w nim jeszcze iskierka szlachetności, cierpi, ale nie zatraca ostatki honoru. — Autor każe działać tu Zosi bez żadnego przejścia, zbyt nagle, bez przekonywającego umotywowania, tem samem zakończenie nie zadowala.

Role główne spoczywały w rękach rutynowanych przedstawicieli. Bogusiński grał Relskiego przekonywająco, z wielką prawdą. Lepszego interpretatora trudno sobie wyrobrazić. Jednę wadę ma artysta. Razi mnie jego zbyt częste a niekiedy wcale zbyteczne zaciskanie ust, przy oddawaniu różnych afektów. Natomiast spokój i naturalność gry dodatnie robiły wrażenie. Mam nadzieję, że artyzm Bogusińskiego jeszcze wiele zgotuje nam przyjemnych chwil.

Zosia p. Bogusińskiej, ta prosta, nie rozumiejąca swego kochanka dziewczyna, była taką, jaką sobie autor prawdopodnie wymarzył. Gra jej trafiała do serca, była artystycznie wykończoną.

Pan Jaracz w krótkiej roli Michała, konkurenta do ręki Zosi, złożył znowu dowód wielkiego swego talentu. — I p. Staniewski w roli komitetowego ojca Stefki podobał się bardzo. Do powodzenia przyczyniła się niemało szczęśliwie wybrana maska. Panna Dunin przedstawiła nam się jako Stefka w kreacyi, wymagającej wiele zacięcia dramatycznego. Młoda artystka wywiązała się z swego zadania bardzo szczęśliwie. Studyowanie dalszego jej rozwoju artystycznego na deskach naszych będzie bardzo ciekawem. — Panna Wojciechowska grała Ignasia gimnazistę, brata Stefanii, małego męża przyszłości, z zwykłą u tej artystki swadą. — Tylko w jakimże to języku

Pana Boga. Tym zaś rodzicom, którzy wolą napisać, podajemy następujący wzór:

N*, den . . . . 1906.

An den Lehrer Herrn N**
in N***!

Ich benachrichtige Sie hiermit, dass ich als geborener Pole meinem (en) Kinde (rn) N. N.**** untersagt habe:
a) an dem deutschen Religionsunterricht teilzunehmen,
b) sich des deutschen Grusses: „Gelobt sei Jesus Christus" zu bedienen,
c) deutsche kirchliche Lieder zu singen,
d) das Gebet in deutscher Sprache zu verrichten.

Ich bitte, mein (ne) Kind (der) in der Religion polnisch zu unterrichten.

Achtungsvoll
N. N.*****

Po polsku:

N . . . ., dnia . . . . .1906.

Do Nauczyciela Pana N . . . .
w N. . . . . !

Niniejszem zawiadamiam Pana, że jako rodowity Polak zakazałem dziecku (ciom) memu (moim) N. N.
a) uczenia się religii po niemiecku,
b) posługiwania się niemieckiem pozdrowieniem.
c) śpiewania niemieckich pieśni kościelnych i
d) odmawiania pacierza w niemieckim języku.

Proszę dzieci moje uczyć religii po polsku.

Z uszanowaniem
N. N.

N * — miejscowość, z której rodzice piszą; N ** nazwisko nauczyciela, który ma list odebrać; N *** miejscowość, w której znajduje się szkoła; N **** imiona dzieci, których ten zakaz rodzicielski dotyczy; N ***** w tem miejscu należy podpisać imię i nazwisko ojca albo matki, jeżeli jest wdową, albo opiekuna, jeżeli dziecko jest sierotą.

Tylko ci rodzice, którzy o tym zakazie doniosą nauczycielowi, będą mogli później, gdy ew. nauczyciel pomimo wszystkiego *podczas lekcyi religii* dzieci ich bić będzie, uskarżać się na nauczycieli do władz wyższych, a w danym razie i przed sądem powołać się na ten zakaz.

Dodać tutaj należy, że jest to czynność jak najbardziej legalna, dozwolona prawem, a z drugiej strony nakazana rodzicielskim obowiązkiem względem dzieci, obowiązkiem dbania o ich zdrowie cielesne i moralne.

Sprawa reszty kar — aresztu, przetrzymywania po za rok czternasty nie jest dotąd należycie wyjaśniona.

Co do aresztu sprawa rozstrzygnie się za pomocą sądowych wyroków. Tu i owdzie rodzice wzbronili dzieciom chodzić na areszt — nauczyciele zapisali ich za to na kary — rodzice znów odwołali się do sądu. Sąd więc rozstrzygnie, czy kary te są prawne czy nieprawne.

Sprawa przetrzymywania po nad rok czternasty ma się natomiast tak: Niestety wolno w szkole przetrzymać dziecko jeszcze jeden i drugi rok, jeżeli dziecko nie zdobyło sobie co najmniej tych wiadomości, które zdobyć sobie powinno na najniższym oddziale szkolnym, albo jeżeli nie jest — tak mówi prawo — moralnie dojrzałe, a więc krnąbrne, nieposłuszne itp.

Oczywiście kwestya wiadomości jest łatwo rozstrzygnięta.

To dziecko, które n. p. znajduje się w I oddziale albo i w II, to dziecko bez wątpienia posiada dostateczne wiadomości na to, by je zwolniono ze szkoły. Praktyczną tutaj damy rodzicom radę, ażeby przechowywali *świadectwa* dzieci, bo te świadectwa, to są dowody na to, jakie wiadomości dziecko posiadło.

Właściwą kwestyą sporną jest sprawa o dojrzałości moralnej dziecka. Nie będziemy się tutaj zapuszczali w rozstrzyganie pytania, czy u dziecka wogóle można mówić o dojrzałości moralnej — bo to nas do niczego nie doprowadzi. Sejm pruski zapewne na *naszą* korzyść odnośnego przepisu nie zmieni.

O co więc może w tym przepisie chodzić? Może chodzić tylko o t. zw. *prowadzenie, o zachowanie* się dziecka w szkole i po za szkołą, bo i zachowanie dziecka pozaszkolne mogą władze szkolne podać za powód niezwolnienia go ze szkoły. W interesie zatem dziecka i rodziców leży jak najbardziej, ażeby pod tym względem zachowanie dziecka było jak najlepsze, wzorowe. Niech dzieci po za lekcyą religii chętnie spełniają rozkaz nauczyciela, niech odpowiadają nauczycielowi, gdy je o naukę religii nagabują, że rodzice im zakazali, tak więc, ażeby nie było nawet pozoru do zarzutu. Wtenczas

---

Ignaś recytował swoje lekcye? Przekonany byłem, że to „Esperanto", dopiero później dowiedziałem się, że Ignaś uczył się łaciny.

Podczas przedstawienia artystom przerywano w najpoważniejszych chwilcah wybuchami wesołości i to nie tylko galernicy święcili orgie dobrego humoru, ale i ta część publiczności, która gwałtem zaliczać się chce do inteligencyi. — Jak mówi Relski? „mózgi z bibuły"... Przykro pomyśleć, jakie wrażenie artyści nowi, przychodzący z innych zaborów, mieć mogą o poziomie artystycznym naszego grodu!

* * *

„Zazdrośnica."

Jako antypodę do ponurego wieczoru Ibseňowskiego przyniósł nam wieczór przeszlej soboty farsę wesołą, przerobioną z francuskiego pod tytułem „Zazdrośnica", zlokalizowaną na stosunki warszawskie. Lekkich rzeczy francuskich krytykować nie można, gdyż stoją one zazwyczaj hors concours. — Ale przeróbki z nich nigdy dobrze nie wypadają. Semper aliquid haeret!

Pomimo, że Warszawa wiele posiada jako „mały Paryż" cech wspólnych z metropolą świata, to jednakowoż trudno sobie wystawić, ażeby pożycie rodzinne polskie na tak filigranowych spoczywało słupach, nawet w kochanej Warszawie. — W sztuce całej widać robotę francuską. Tylko Francuz umie tak igrać, dowcipnie i genialnie. — Milieu utworu nie nasze. — Publiczność jednakże znakomicie się bawiła, uśmiała się do łez, dzięki wybornej grze aktorów.

Wymienić muszę grę pp. Jaracza, Królikowskiej i Kośnierskiej; trójka ta prym trzymała w sobotnim spektaklu. Panu Staniewskiemu niewygodnie było w swej roli, choć ją oddał bez zarzutu. Jużto wolę tego utalentowanego artystę w kostyumie, mam takie wrażenie, jakoby wtenczas czuł się swobodniejszym, więcej sobą. — Całość wypadła koncertowo, ale ponieważ w każdym koncercie zachodzą pauzy artystyczne, więc można je było dostrzedz i w sobotniej premierze, chociaż tu były mniej pożądane. Podpadło mianowicie w akcie ostatnim, że sufler (!) zapomniał swej kwestyi, wskutek czego maszyna cała wstrzymała ruch na całą minutę.

Wychodząc na ulicę podsłuchałem rozmowę dwóch teatromanów: „Słuchaj Stach, no jak ci się podobała sztuka?" Wiesz, kochasiu, uśmiałem się dziś więcej jak na „Rosmersholmie"!! Kto śmie wobec takiego objawu głębokiego uznania twierdzić, że Poznań nie dyszy artyzmem, poczuciem piękna i ideałów!!! Kto śmie go nazywać Beocyą?!! A jednak „przychodzą na mnie chwile zwątpienia."



władze szkolne powinny dzieci zwolnić.

Takie są doświadczenia z dotychczasowego przebiegu oporu przeciwko niemieckiej nauce religii. Z tych doświadczeń rodzice powinni skorzystać — dla dzieci i dla swego dobra.

Nasza młodzież akademicka.

Społeczeństwo każde pokłada swą przyszłość w dorastającej młodzieży, — w przyszłych pokoleniach.

Każde też społeczeństwo otacza tę młodzież bardzo czujną opieką — musi to czynić ze względu nie tylko na własne ale również i samej młodzieży dobro.

Czyni to niemniej i nasze społeczeństwo. Zrozumiemy to szczególnie dziś, kiedy toczy się walka o język polski w szkole. Społeczeństwo nasze zasługiwałoby na naganę — wprost na odsądzenie od miana społeczeństwa kulturnego i żywotnego, gdyby bacznem okiem nie pilnowało oporu dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii.

Na chlubę naszego społeczeństwa przyznać musimy, że spełnia ono swoje zadania, jak należy, że spełnia je pomimo przeszkód i trudności.

Ale nie tu koniec zadania naszego społeczeństwa. Oprócz dzieci, które chodzą do szkół ludowych, mamy przecież i młodzież zdobywającą wiedzę i naukę w średnich i wyższych zakładach szkolnych.

Przypominamy jak żywo zajęło się społeczeństwo nasze — konwiktami, gdy pojawiło się niebezpieczeństwo germanizacyi młodzieńców przebywających w tych konwiktach pod opieką księży-Niemców, a uczęszczających do gimnazyów.

Dziś — sądzimy — społeczeństwo z równą troskliwością zająć się musi niemniej ważną sprawą, sprawą germanizacyi tej młodzieży polskiej, która uczęszcza do uczelni, do szkół najwyższych, na uniwersytety czyli wszechnice, popularnie akademiami zwane. Na akademie uczęszczają ci. którzy chcą później poświęcić się zawodowi n. p. adwokackiemu, lekarskiemu. Toż to nasi przyszli przewodnicy w życiu społecznym, politycznym i narodowym. A jakimiż będą oni przewodnikami, jeżeli w czasie najpiękniejszych lat — serca swoje i dusze oddają na łup molochowi germańskiemu?!

A niestety, że moloch ten i w tych kołach ofiary swoje łowi, kusi i usidla.

Czas więc zwrócić na to uwagę, czas położyć tamę germanizacyi młodzieży akademickiej. Obowiązek ten mają wszyscy, których Bóg postawił na jakiekolwiek wobec narodu naszego odpowiedzialne stanowisko. My obowiązek ten spełniamy przez to, że gościnne każdej słusznej sprawie łamy „Pracy" otwieramy dla artykułu p. *Jana Riemera*, który palącą tę sprawę poruszył na łamach „Kuryera Poznańskiego". Pisze on w tej sprawie tak:

„Wśród młodzieży akademickiej zachodzą wypadki, że polscy studenci wstępują do niemieckich stowarzyszeń. Z góry atoli wypada zaznaczyć, że zdarzało się to dotąd stosunkowo rzadko. W razach takich usiłuje młodzież sama przekonywać odnośnych kolegów, że krok ich zasługuje na bezwzględne potępienie, a dalej, że jak najszybsze wystąpienie z rzeczonych towarzystw jest koniecznem. Taka jednak akcya koleżeńska nie skutkuje niestety zawsze, a wówczas trzeba chwytać się środka ostatecznego — publicznego napiętnowania.

Zdawaćby się powinno, że w obecnych czasach, w naszych warunkach tego rodzaju objawy zaprzaństwa narodowego zachodzić nie powinny; że jednak niestety tak nie jest, i ponieważ ostatnimi czasy wypadki takie zdarzały się częściej i w kilku razach nie zdołano na drodze polubowej spraw tych przykrych załatwić, przeto pragnie młodzież polska wypowiedzieć publicznie w tej kwestyi swe zdanie, a zarazem prosić społeczeństwo, by i ono zajęło stanowisko i poparło odpowiednio usiłowania młodzieży.

Skutki germanizacyi są u nas tak silne, że trzeba nieraz przekonywać o słuszności rzeczy, których zrozumienie wrosnąć powinno w serce i mózg i nie ulegać najmniejszej wątpliwości, czyniąc dowodzenie zupełnie zbytecznem. Pewnikiem dla nas powinno być to, że od społeczeństwa niemieckiego musimy się najzupełniej wyemancypować, by wpływy germanizacyjne, które na nas zewsząd działają, ograniczać, by równocześnie rozwijać się samoistnie.

W tym celu tworzy społeczeństwo polskie własne towarzystwa i organizacye, stosując tę zasadę nawet na polu ekonomicznem, gdzie zakładamy nasze odrębne instytucye obok niemieckich o tych samych zadaniach, jak tego przykład widzimy — pomijając już inne urządzenia — w towarzystwach dobroczynności i związkach zawodowych. Dążymy do tego, aby zasada ta obowiązywała ogólnie, dlatego występujemy przeciwko tym Polakom, którzy, zwłaszcza z pośród warstw mniej oświeconych i niewyrobionych, łączą się dotąd w różnego rodzaju towarzystwach z Niemcami. Wymagając tego od jednostek mniej wykształconych, nie możemy oczywiście stosować innej miary do akademików, którzy są powołani do tego, by zająć w przyszłości miejsce nie ostatnie pośród społeczeństwa, a i zły przykład, idący od akademików, paraliżowałby niewątpliwie w znacznym stopniu narodowe usiłowania wobec ludu.

Zresztą nie chodzi tutaj jedynie i wyłącznie o demoralizujące wpływy na tę warstwę, lecz i — a w tym wypadku bezpośrednio — o zgubne oddziaływanie na mniej odpornych kolegów, szczególnie na młodzież kresową — z Prus i Śląska. Akademicy pochodzący z tych dzielnic, wystawieni już podczas pobytu w gimnazyum na wpływy germanizacyjne i pozbawieni po największej części bliższej styczności z polskością, zdradzają nie rzadko skłonność do wstępowania do niemieckich stowarzyszeń, tem bardziej, że usposobiła ich do tego podatnie atmosfera gimnazyalna panująca zwłaszcza po mniejszych miastach, gdzie pielęgnuje się niektóre zwyczaje studenckie jak wspólne picie piwa, śpiewy komersowe i noszenie kolorowych czapek.

Tego rodzaju wpływom i wynikającym z nich skłonnościom należy usilnie przeciwdziałać; trudności na tem polu są o tyle znaczne, że jak wiadomo, na pruskich uniwersytetach polskie towarzystwa nie istnieją od czasu, kiedy je zniósł — zdaje się 1898 roku — minister oświaty. O zakładaniu nowych nie ma mowy, gdyż wszelkie usiłowania w tym kierunku napotykają na odmowną a stanowczą odpowiedź ze strony władz uniwersyteckich, jak mieliśmy tego świeży dowód we Wrocławiu, gdzie grono polskich studentów podało wniosek o pozwolenie na utworzenie stowarzyszenia sportowego; nawet i tego nie dozwolono. Mimo to wszystko a raczej właśnie dlatego nie może polska młodzież szukać ekwiwalentu dla siebie w towarzystwach niemieckich, nie chcąc tym sposobem sankcyonować wyrządzonej nam krzywdy i poddawać się temu biernie.

Zwyczaje zresztą i duch panujący w niemieckich towarzystwach studenckich, które na ogół mają zadanie pielęgnowania towarzyskiego i koleżeńskiego pożycia, polegającego przeważnie na bezmyślnych a wymuszonych zabawach, gdzie nadmierne i obowiązkowe picie piwa jest ich najważniejszym celem, zatem w ten sposób pojęta zabawa i wogóle maniery i nawyknienia niemieckich studentów powinny być dla każdego Polaka tak dalece obce i niesympatyczne, że nawet należałoby wykluczyć samo pomyślenie o możności brania w tem wszystkiem udziału. My przecież mamy inne pojęcia o istocie i zadaniach życia studenckiego; wzory nam pozostawili Promieniści,

Filomaci i Filareci, ta młodzież wileńska, która z Mickiewiczem i Zanem przyświecać nam powinna i wskazywać drogi.

Niemieckie towarzystwa mają dalej pewne tradycye poza sobą, tradycye z epoki tak zwanego odrodzenia Niemieo i walk o swobody obywatelskie. Te walki w połowie ubiegłego wieku skończyły się, więc pozostały tylko dawne ideały — dzisiaj, w zmienionych warunkach na inny oczywiście sposób pojęte, dostosowane do zapatrywań większości społeczeństwa niemieckiego, które wypowiedziało nam walkę śmiertelną. Nie potrzeba chyba silić się na argumenty, że Polak będący członkiem organizacyi opartej na takich podstawach, jest na każdym kroku wystawiony na ciężkie upokorzenia; gdy się im zaś poddaje, zawierać musi z swojemi poglądami kompromisy, co z natury rzeczy doprowadza do zaniku władzy nad własnemi funkcyami etycznemi — słowem do ruiny moralnej.

Na tem miejscu wypada mi podkreślić to, że pomiędzy niemieckiemi towarzystwami nie ma prawie wyjątków, że zatem wszystkie są takiemi, jakiem wyżej scharakteryzował; dotyczy to więc także katolickich organizacyi, przed któremi należy szczególnie przestrzegać, tem bardziej że katolicka firma może łatwo w błąd wprowadzić. Zaznaczam to wyraźnie dla tego, że pośród częściowo wynarodowionego duchowieństwa z Górnego Śląska a także z Prus Zachodnich właśnie towarzystwa katolickie liczą wielu przyjaciół i gorliwych propagatorów. Księża ci, wyzyskując albo obniżenie poczucia narodowego u niektórych akademików albo tylko nieświadomość młodych a mniej wyrobionych, napędzają tym sposobem w sieci niemieckie wielu młodzieńców, narażając ich prawie bez wyjątku na zupełną germanizacyę.

Że to niebezpieczeństwo w wszelkiego rodzaju niemieckich towarzystwach nam grozi, nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości. Na Polaków urabiamy się jedynie pod wpływem wychowania domowego, tradycyi narodowych, pod wpływem naszej literatury i całego wogóle dorobku kulturalnego i przez wzajemne oddziaływanie. Poza tem podlegamy na każdem polu wpływom obcym a celowo i systematycznie wywieranym, więc tem niebezpieczniejszym.

Od stu lat z górą straciliśmy niepodległość, nie mamy zatem możności należytego rozwoju, jak inne wolne i upaństwowione narody, by pomnażać swobodnie i wszechstronnie swój dorobek. Od najwcześniejszej młodości, uzyskawszy zaledwie przebłyski pewnej świadomości, wychowujemy się w obcej szkole, w obcym dla nas duchu, gdzie nas nie tem jedynie germanizują, że nas uczą w obcym języku, lecz przedewszystkiem tem, że bez naszej wiedzy narzucają nam obcy sposób myślenia, obcy światopogląd, obcą kulturę i odmienne ideały.

Opuściwszy taką szkołę, czyż mamy dobrowolnie poddawać się nadal niepożądanym wpływom, czyż nie powinniśmy ich unikać a stworzyć dla siebie odrębne środowisko i tylko jego atmosferą oddychać?

Zwłaszcza w dzielnicach polskich podległych berłu pruskiemu uwidocznia się najbardziej zanik rodzimej kultury i brak pracy twórczej w tym kierunku. Z tem trzeba się przedewszystkiem liczyć i poniesione szkody zmniejszać jak najbardziej a nie osłabiać uczuć i instynktów narodowych przez dobrowolne poddawanie się nieprzyjaznym wpływom. Wpływy te tem są niebezpieczniejsze, że oddziałują na umysł młody, więc najbardziej wrażliwy, a przenikają tem łatwiej, że łącząc się w niemieckich towarzystwach otrzymujemy je dobrowolnie i za pomocą towarzyskiego a wesołego współżycia z niemieckimi kolegami. Tym sposobem akademicy Polacy, będący członkami towarzystw niemieckich ulegają od wstąpienia do szkoły aż do czasu, w którym umysł staje się zupełnie dojrzałym, ciągle wpływom niemieckim, wchłaniając w siebie obce zwyczaje i przejmując wogóle obcą kulturę.

Zawrócenie z tej zgubnej drogi jest nadmiernie utrudnionem i tylko jednostki w wyjątkowych warunkach nie giną dla nas bezpowrotnie. Ogół zaś tych, którzy na uniwersytecie łączyli się z Niemcami, germanizuje się zupełnie i przestaje nawet używać ojczystego języka, co jest nie powodem wynarodowienia, lecz jego ostateczną konsekwencyą, którą z reguły poprzedza wynarodowienie duchowne, polegające na wyzbyciu się ideałów i kultury własnej. Nie są to gołosłowne twierdzenia; smutnych na to dowodów niestety nie brak pośród społeczeństwa naszego, zwłaszcza na Śląsku i w Prusach.

Poruszam tę całą sprawę tak obszernie, ponieważ, jak na początku zaznaczyłem, zachodziły ostatniemi czasy wypadki wstępowania polskich akademików do niemieckich stowarzyszeń częściej, niż dawniej, a dalej dlatego, że sprawa ta obchodzi nie tylko młodzież samą, lecz całe społeczeństwo polskie: młodzież ma w przyszłości objąć stanowiska tych, którzy dzisiaj stoją na straży naszego wspólnego dobra, ona jest tym zadatkiem na przyszłość, więc troska o jej zdrowie musi być udziałem *całego społeczeństwa.*

Z tego założenia wychodząc, żywi polska młodzież akademicka niezłomną nadzieję, że wszystkie warstwy społeczeństwa naszego wytworzą sobie jednolitą opinię w tej kwestyi, że nie tylko będą należycie kwalifikowały objawy zaprzaństwa u akademików, lecz że — a to przedewszystkiem — *będą odpowiednio do tego stosowały swoje postępowanie wobec odnośnych jednostek.* *Jan Riemer*".

Zapatrywanie p. Riemera podzielamy w tej sprawie najzupełniej i mamy nadzieję, że głos jego ani w społeczeństwie ani w odnośnych kołach młodzieży nie przebrzmi bez echa.

Sokolstwo w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Lwów, 1 października.

Poważnie i dostojnie odbył swe obrady w dniu 30-ym września sejm sokolski we Lwowie. Mimo żywych rozpraw wywołanych stanowiskiem bardzo skromnej grupki niby postępowej, chcącej swą bezpartyjność zadokumentować upartem obstawaniem przy swojem, mógł przewodniczący związku dr. Fiszer stwierdzić, że rozprawy sokolskie odbywają się zawsze z należytą powagą, a wszyscy uczestnicy opuścili zgromadzenie pod tem pocieszającem wrażeniem, że całe sokolstwo stoi wiernie na straży interesów narodowych.

Kiedy po 25 latach chlubnej działalności sokół lwowski zwołał sokolstwo galicyjskie do Lwowa na popis w roku 1892, a wszystkim nielicznym jeszcze towarzystwom zaproponował założenie związku, nikt nie śmiał nawet przypuszczać, ażeby po 15 latach skupiał on pod swojemi rozkazami aż 160 towarzystw.

A kto byłby wtedy przypuścił, że w roku bieżącym Wasz związek mimo tylu przeszkód przekroczy liczbę 144 towarzystw, że Ameryka skupi pod sztandarami sokolemi kilka tysięcy dzielnych junaków broniących się przed wynarodowieniem, że w Warszawie powstanie związek, który od razu skupił około siebie kilkanaście towarzystw, że wreszcie i w Wilnie „Sokół" odbędzie *publiczne ćwiczenia?*

Rośnie nasza siła, a co ważniejsza, otrząsamy się z obcych wzorów, tworzymy organizacyę nam właściwą, zmieniamy dotychczasowy system ćwiczeń na więcej przystosowany do naszych właściwości narodowych.

To drugi wielki postęp obok rożrostu liczby towarzystw.

Towarzystwa sokole mają obok wielkiego zadania pielęgnowania zdrowia i kierowania fizycznem wychowaniem, doniosle powołanie szerzyć w społeczeństwie odczucie potrzeby organizacyi. Jest to może pierwszorzędnem zadaniem wszystkich naszych instytucyi narodowych, budzić w jak najszerszych masach świadomość siły, jaka płynie z umiejętnych, a celowo prowadzonych zrzeszań się. Sokolstwo nasze oparło się pierwotnie o same żywioły tak zwane inteligentne, bo takie były u nas warunki najkorzystniejsze dla jego rozwoju. Nie spuszczało jednak ani na chwilę z oka swego głównego celu, mianowicie przeniesienia swej działalności do sfer, w których poczucie narodowe i świadomość potrzeb życia narodowego była słabą i zaledwo powstawać poczynała. To też w miarę jak te sfery, a więc włościaństwo biedne u nas, a do niedawna i małooświecone małomieszczaństwo składające się z rolników i rzemieślników dojrzewa, działalność sokoła posuwa się w tym kierunku.

To pogłębianie zatem myśli sokolej, to przenoszenie jej w gęstą sieć żył społecznych i postępujące za nią zrozumienie potrzeby organizacyi, to trzeci ważny dorobek związku naszego.

Przechodząc do szczegółów podnieść trzeba, że właściwy rozrost sokolstwa wszczął się pod egidą związku. Do roku 1892 było 33 towarzystw mających sześć domów i około 6 tysięcy członków. Już po zawiązaniu się związku w roku 1892 powstaje 11 nowych towarzystw, a dziś istnieje ich 160 z przeszło 18 tysiącami członków. Towarzystwa te rozsiane są po całym kraju podzielonym na 7 okręgów, Najwięcej skupia ich około siebie okręg 1 tj. krakowski, do którego należy i sokół wiedeński i cztery towarzystwa śląskie. Po nim idzie okręg 7, Stanisławowski, do którego należą towarzystwa bukowińskie — jest ich obecnie trzy.

W organizacyi dokonano obecnie dwu ważnych zmian. Pierwszą jest utworzenie wydziału związkowego w ten sposób, że nie wybiera go zjazd, ale okręgi wysełają do niego swych przedstawicieli w stosunku do ilości swych członków, a zjazd wybiera tylko prezesa i sześciu członków z towarzystw lwowskich dla utworzenia stale urzędującej komisyi.

Wzmocni to pewnie łączność między związkiem a okręgami, ujednostajni czynności, ożywi i uczyni ruchliwszem życie w okręgach, a co najważniejsza umożliwi w przyszłości zmianę okręgów na mniejsze. Dziś są one tak rozległe i mają pod sobą tyle towarzystw, że administracya i kontrola musi niedomagać. Przez zmniejszenie ich będzie można częściej stykać się z towarzystwami małemi i kierować ich czynnikami.

Drugą ważną zmianą jest wprowadzona na tym zjeździe decentralizacya na rzecz okręgów.

Dotychczas sam związek prócz czuwania nad całością, prowadził dużo różnych spraw. Do niego zwracały się towarzystwa ze wszystkiemi potrzebami, a okręgi miały tylko pewne sprawy gimnastyczne sobie przekazane. Dziś wobec wzmożonego zrozumienia właściwych zadań sokolich, przekazano pewną część władzy i na okręgi i powierzono im także część zawiadowstwa administracyjnego. Uczyniono to w tej słusznej nadziei, że ożywi to znacznie czynność w towarzystwach przez częstsze wykonanie kontroli i dawanie pobudki.

Duży ruch panuje między towarzystwami dążącemi do własnych domów. Własny dach nad głową, to w niejednem towarzystwie najbliższy cel. Dzieje się to nieraz i z krzywdą właściwego zadania pielęgnowania ćwiczeń fizycznych, ale jeżeli się uwzględni to, że własny dom z boiskiem umożliwia rozwinięcie szerzej tych zadań, że dom ten jest zawsze ogniskiem całego życia polskiego w tej miejscowości, to można zupełnie usprawiedliwić i chwilowy zastój w tem lub owem towarzystwie. Dziś 60 towarzystw posiada własne domy ze salami gimnastycznemi i odpowiednio urządzonemi boiskami. Podnosi to i majątek narodowy. Wszystkie towarzystwa mają czystego majątku umieszczonego tak w domach jak i urządzeniach gimnastycznych milion osiem kroć tysięcy koron. Jest to suma jak na nasze stosunki duża (— półtora miliona marek), suma jeżeli się nadto zważy, że złożyły ją sfery bardzo niezamożne, bo urzędnicze i zawodowa inteligencya żyjąca z ograniczonych dochodów.

Ważnem jest pytanie jak stoi sprawa gimnastyki? Otóż pod tym względem są utyskiwania ciągłe. Pociechą jest to, jeżeli to pociechą nazwać można, że stosunki te nie są lepsze i w najpotężniejszej organizacyi sokolskiej na ziemiach słowiańskich, tj. w czeskiej. U nas na ogół zaledwie 20 procent członków oddaje się stale ćwiczeniom, u Czechów 23 procent. Jeszcze smutniejszą jest ta okoliczność z tego powodu, że według wykazów statystycznych nie tylko nie postępujemy naprzód, ale owszem cofamy się. Przypisać to jednak należy temu, że starsze pokolenie staje w szeregach sokolich z powodu zrozumienia swego obowiązku obywatelskiego, a nie z odczutej i zrozumianej potrzeby ćwiczeń fizycznych. Na to trzeba wychować pokolenie i to nie jedno, na to potrzeba długiej, a wytrwałej pracy i nie można się zrażać tem, że starsi ludzie nie lgną do przykrych nieraz obowiązków sokolskich, jakiemi są ćwiczenia. I że narzekanie pod tym względem nie powinno nam zasłaniać widoku w przyszłość jaśniejszą świadczy to, iż mamy w naszej nauce przeszło 18 tysięcy młodzieży obojga płci, w czem 2,752 dziewcząt. Takich kilka lat, z jaki dziesiątek, przysporzy społeczeństwu duży zastęp członków, którzy w pielęgnowaniu i utrzymaniu tężyzny fizycznej zasmakują.

A znowu pod tym względem lepiej u nas jak u Czechów, bo tam ma sokół tylko 15 tysięcy młodzieży w swojej opiece.

Tem pewniej należy patrzeć nam pod tym względem w przyszłość, że związek bez przerwy pracuje nad wychowaniem pewnej liczby wykształconych nauczycieli gimnastyki. W tym celu urządza kursa w okręgach dla przodowników i w swej siedzibie dłuższe kursa dla samoistnych nauczycieli. W roku bieżącym kilkunastu ich skończyło z pomyślnym skutkiem taki kurs.

Jak z tego krótkiego przedstawienia przekonać się możecie, rozwija się powoli, ale statecznie nasza rzecz pospolita sokolska, a nie zapomina ani na chwilę o swych najbliższych, czego dowodem wysłane telegramy przez pełny zjazd do Warszawy i do waszego związku.

Bes.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

30. września 06.

Ostatnie czasy tyle nam dostarczyły wrażeń silnych i krwawych, że gdy upływa tydzień bez wstrząsających wypadków, w prasie warszawskiej doznaje się wrażenia zastoju i pustki. Jakto? ani jednego poważniejszego zamachu, napadu, (bo o zamachach na policyantów już się nawet nie mówi), ani jednego rozporządzenia rządowego, zapowiadającego nowe jakie represye zgnębionemu społeczeństwu? Więc chwila wypoczynku dla nadnaturalnie wyprężonych nerwów. Brak ożywienia w prasie i społeczeństwie. W prasie — dużo polemiki ideowej, dużo słów, poświęconych zagadnieniom dzisiejszym życia narodowego: jak opanować anarchię, w jaki sposób ratować kraj z ruiny i nędzy, na jakich zasadach przeprowadzić porozumienie

wszystkich stronnictw i kierunków narodowych. Przemówił p. Dmowski w „Dzwonie Polskim“ o koncentracyi narodowej, odpowiedziały mu wszystkie dzienniki warszawskie; zagadały pióra najwybitniejszych publicystów wszystkich obozów. Co nas łączy, a co nas dzieli? Pokazuje się, że wszystkie odłamy polskiej opinii narodowej, aż do ugodowego obozu włącznie, zgodnie się zapatrują na najważniejsze nasze rany społeczne i zgodnie zaradzić pragnęły by złemu. Różnica w zdaniach niewielka. Jedynie demokracya postępowa stoi zdaleka, piętnując wszelkie wysiłki koncentracyi obozu narodowego mianem „reakcyi“. Dyskusya ta być musi, niestety, czysto akademicką. Cóż bowiem dla polepszenia swojego losu uczynić może społeczeństwo, usunięte całkowicie od rządów krajowych, jęczące pod brzemieniem wyjątkowych praw wojennych, rządzone przez system, najbardziej wrogi jego najżywotniejszym aspiracyom? Bardzo i bardzo niewiele. W takich okolicznościach to, co się robi lub co już zrobione, nabiera wielkiego znaczenia i chlubnie świadczy o naszej sile żywotnej i naszej zdolności do samoistnego bytu. W takich warunkach organizowanie w związki zawodowe robotnika, czyniące dziś szybkie postępy, a zwłaszcza praca oświatowa nad ludem i nader szybki rozwój kół Macierzy Szkolnej są objawami zaznaczenia godnemi. Macierz ratuje dzisiaj całe zastępy ubogiej młodzieży, pozbawionej możności kształcenia, w założonych przez siebie szkołach zniżając wpisowe do minimum, prócz tego zbierając składki na zapomogi dla uczniów, kształcących się w polskich szkołach prywatnych. W Warszawie powstał uniwersytet ludowy, za nader niską opłatą urządzający odczyty ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej, ze szczególnem uwzględnieniem nauk społecznych. Rzecz prosta, że nie obeszło się bez szykan i przeszkód administracyi, utrudniającej Macierzy owocną jej działalność: prowincyonalni gubernatorzy, nie zadawalniając się zatwierdzeniem ustawy Macierzy na wszystkie gubernie Królestwa, żądali prócz tego osobnej legitymacyi jej kół w każdej gubernii. Dopiero wyjaśnienie senatu kres położyło temu nadużyciu i nowe koła Macierzy mogą powstawać bez przeszkód na całej przestrzeni Królestwa.

Jest to fakt smutny, ale prawdziwy, że prasa warszawska zbyt stosunkowo mało poświęca uwagi zaborowi pruskiemu. Trzeba dopiero Wrześni lub też wyborów parlamentarnych, by czytelnikom więcej wiadomości dostarczyć o nieszczęśliwych braciach z zaboru pruskiego. Tak samo i teraz. Pod wpływem strejku szkolnego, czyli oporu dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii, pisma warszawskie żywiej zajęły się Poznańskiem. O samym strejku mówi się u nas z żywem, gorącem uznaniem i prócz życzenia „wytrwać do ostatka“ nic więcej chyba przesłać się nie da pod adresem Braci Poznańczyków.

„Dzwon Polski“ zwraca przy tej okazyi uwagę na niesłychane niedołęstwo Waszych władz duchownych, ułatwiających rządowi germanizacyę za pomocą Kościoła. My, dzięki Bogu, na ogół biorąc nie możemy się skarżyć na obojętność kleru względem sprawy narodowej. Świeżo zakończony zjazd dyecezyalny w Włocławku, jaki się odbył pod przewodnictwem znanego patryoty i działacza ks. Fulmana (byłego posła ziemi piotrkowskiej), był nowym dowodem, że duchowieństwo polskie w ogromnej swojej większości stoi na wysokości zadań kapłana-obywatela i obcem jest t. zw. klerykalizmowi t. j. wyodrębnianiu spraw kościoła od spraw narodu lub nawet ich przeciwstawianiu wzajemnemu. Myśl ta wyraźnie wypowiedzianą została na wiecu włocławskim. I, rzecz szczególna, zarówno Papież jak i biskup Zdzitowiecki zjazd księży potraktowali przychylnie, choć jest rzeczą wiadomą skądinąd, że zjazd i obrady księży nie cieszą się sympatyą władz naszych duchownych, zwłaszcza, gdy przedmiotem obrad są sprawy również społeczno-narodowe. W dwóch pozostałych dzielnicach Polski, w Galicyi oraz zaborze pruskim, gdzie uobywatelenie kleru więcej pozostawia do życzenia, nic jakoś nie słychać o wiecach duchowieństwa. Mało — wspaniały zeszłoroczny wiec księży z całego Królestwa w Warszawie spotkał się z anatemą wyższych duchownych w Galicyi, a w Księstwie przez te czynniki był powitany z wyraźnem niezadowoleniem, podyktowanem obawą o zaraźliwość podobnych występów. Ośmielę się wtrącić do spraw poznańskich. Dziś, gdy stosunki Kościoła do sprawy polskiej w Poznańskiem zarysowały się w sposób: „kto nie z nami, ten przeciw nam“, duchowieństwo polskie winno się jaknajprędzej zdobyć na jakiś występ zbiorowy, piętnujący praktyki władz pruskich przy szkolnej nauce religii. Taki występ, np. wiec księży w Poznaniu, byłby dla społeczeństwa znakomitem poparciem w walce o najświętsze prawa Kościoła i Narodu; zarazem zespoliłby ze sobą silniej te dwa czynniki, Kościół i narodowość, w zasadzie u nas w Polsce złączone, w Poznańskiem jednak skutkiem niefortunnej, oportunistycznej polityki arcybiskupa Stablewskiego nieraz w zatargu pozostające.

Może ostatnie wypadki i zarządzenia władz pruskich, godzące już bezpośrednio w powagę i interesy Kościoła, otrząsną kler Wasz z dotychczasowego letargu i powołają go do energicznego wystąpienia, mniejsza, czy z udziałem, czy bez udziału arcybiskupa.

Nieszczęsna herezya mankietników, przezwanych kozłowitami, ma to dobrego do siebie, że silniej ścieśniła węzły łączące Kościół z żywiołami narodowemi. Uwidoczniło się to szczególnie wtedy, gdy kozłowitom poparcia swego udzielać zaczęły wszystkie czynniki antynarodowe w Królestwie, zacząwszy od rządu, skończywszy na socyalistach. A więc w obronie Kościoła stanęła organizacya stronnictwa demokratyczno-narodowego, pomawianego przez klerykałów o niechęć do Kościoła katolickiego, w obronie świątyń stanęła narodowa młodzież robotnicza i rzemieślnicza, gdy kozłowici chcieli je nam odbierać, co im się w wielu wypadkach udało. Dziś wdały się w sprawę sądy i nakazały zwrot świątyń ich prawowitym właścicielom, czyli parafianom katolickim. W ognisku kozłowitów, Lesznie, kościół odebranym został przez siłę zbrojną: tłumnie zebrani wewnątrz sekciarze zmuszeni zostali głodem do opuszczenia kościoła, który został wręczonym dozorowi kościelnemu.

Na ogół, ruch maryawicki słabnie, ku czemu przyczynia się nie mało misyjna działalność zakonników z Galicyi. *Sarmata.*

Do uwag korespondenta naszego o naszem duchowieństwie musimy dodać parę słów. Przedewszystkiem stosunek poznańskiego duchowieństwa do ludu jest niemniej, a powiedzielibyśmy więcej ścisły aniżeli w Król. Polskiem. Co w Król. Polskiem zrobili maryawici, u nas dawno już zrobił — kulturkampf. Czy byłby pożądany wiec ogólny duchowieństwa? — Naszem zdaniem — nie! Po prostu dla tego, że wolimy, ażeby księża szli *razem* z ludem, ani przed nim, ani za nim i ani obok niego. Z tego założenia wychodząc *osobny* wiec samych księży, mających radzić nad sprawą dla społeczeństwa tak żywotną, byłby objawem niesympatycznym, byłby wyrazem wyodrębnienia się księży zpośród ogólnego szeregu narodowego. A to jest najmniej pożądane.

Zresztą uwagi korespondenta na-

szego są dość charakterystyczne choćby z tego względu, że dają nam obraz poglądów, jak Król. Polskie zapatruje się na nasze sprawy. Musieliśmy te poglądy sprostować ze względu na to, że wychodzą one z fałszywego założenia, a mianowicie, że to co jest dobre dla Królestwa musi być dobrem dla Poznańskiego. Tak w rzeczy samej nie jest, bo trzeba uwzględnić odrębne warunki, w jakich żyjemy, i odrębne stosunki, jakie się u nas z powodu tego wyłoniły.

Strajk generalny — a socyaliści.

Doroczne zjazdy delegatów partyi socyalistycznej niemieckiej budzą wielkie zainteresowania. Są to nie tylko przeglądy armii socyalistycznej, ale przedewszystkiem objawy wewnętrznych przemian co do poglądów i taktyki bojowej socyalistów.

W tym roku zjazd ten odbył się począwszy od 23 września w Mannheimie i trwał cały tydzień. Najgłówniejszą sprawą, około której ześrodkowało się całe zainteresowanie tegorocznym zjazdem, to t. zw. strajk generalny polityczny.

Co jest strajk, to wszyscy wiemy. Generalny strajk o tyle donioślejsze ma znaczenie, że ma on objąć wszystkie masy robotników, które wyznają zasady socyalistyczne. Strajk taki generalny nazwałby się nadto politycznym, jeżeli wszczęty został nie po to, by uzyskać lepsze zarobki, albo krótszy dzień roboczy — lecz po to, aby zdobyć dla mas więcej praw *politycznych*, n. p. rozszerzenie konstytucyi w Prusiech, zmianę trójklasowego systemu wyborczego na powszechny i równy.

Pamiętamy jak na wiosnę tego roku socyaliści w poszczególnych miastach gotowali się do demonstracyi po to, ażeby zadokumentować swoje niezadowolenie z powodu tego systemu w Prusiech i innych państewkach niemieckich. To nie był strajk generalny — ale cel owych demonstracyi był ten sam, o którym w danym razie mogłoby chodzić socyalistom, gdyby się zdecydowali na ten strajk.

Sprawa strajku generalnego nie jest nową. Omawiał ją dopiero rok temu zjazd socyalistów w Jenie. Obecnie dostała się ona na porządek obrad skutkiem nieporozumień, jakie powstały między (socyalistycznymi) *centralnymi* związkami zawodowymi a partyą samą . Wynikł stąd dość ostry spór, który w ostatecznej instancyi załagodzony został przez zarządy partyi i związków.

Ale — z powodu tego zrobiono *Beblowi*, który dziś zajmuje w partyi socyalistycznej miejsce patryarchy, zarzut, że wystąpił on przeciwko strajkowi generalnemu, pomimo, że w Jenie strajk ten usilnie popierał. Oczywiści, że spór między partyą a związkami przez to się ujawnił i postanowiono położyć mu kres na tegorocznym zjeździe, a nadto przecież trzeba było oczyścić swego patryarchę z niesłychanego zarzutu chwiejności w swych poglądach.

Istotnie zjazd obradował nad sprawą strajku generalnego dwa dni. Ostatecznie przeszła uchwała omywająca Bebla do śnieżnej czystości z powodu powyższego zarzutu, a nadto oświadczająca się *za strajkiem generalnym* — lecz w ostateczności.

Poglądy w tym względzie są naszem zdaniem dość ciekawe, raz ze względu na nas samych — a powtóre dla tego, że dają miarę tego, jaki stósunek panuje pomiędzy partyą socyalistyczną — a centralnemi związkami zawodowemi. Toć te związki twierdzą, że są bezpartyjne, temu zaprzecza fakt zbratania się z partyą socyalistyczną i pomimo często sprzecznych poglądów — poddawania się pod jej komendę.

Te poglądy uwydatniają się najjaskrawiej w przemówieniach Bebla i Legiena. Pierwszy przemawiał imieniem partyi — drugi imieniem związków.

Bebel zaczął swój referat od wyjaśnienia swojego stanowiska w sprawie strajku na lutowej konferencyi związków zawodowych. Zgodzono się na tej konferencyi, że generalny strajk polityczny nie da się obecnie pomyśleć, ponieważ skończyłby się on niewątpliwie zupełną klęską robotników. Strajk masowy w Niemczech, a specyalnie w Prusiech byłby zupełnie czem innem, niż w jakiemkolwiek państwie europejskiem. Przeciwieństwa są tu bowiem tak wielkie, że robotnicy muszą być wyjątkowo mocno przygotowani. Obecnie zaś ważyć się na taki krok byłoby wprost niesumiennem.

„W życiu narodów i stronnictw przychodzą naturalnie chwile, w których potrzeba koniecznie podejmować walkę na śmierć i życie. Przeczę jednak jak najbardziej stanowczo, jakoby w życiu naszego stronnictwa już teraz ta chwila nadeszła. Generał, któryby wojska swoje poprowadził do boju na pewną przegraną, byłby szaleńcem. W takiem samem położeniu znaleźlibyśmy się i my, gdybyśmy obecnie strajk generalny proklamowali.“

Zorganizowani robotnicy sami nie są w stanie urządzić ogólnego strajku o potrzebnem znaczeniu. Potrzebny jest do tego odpowiedni nastrój, a tego nie można na poczekaniu wytworzyć.

Stosunki niemieckie — mówił Bebel dalej — nie dadzą się porównać z rosyjskimi. W Rosyi toczy się walka dopiero o same zasady konstytucyonalizmu, podczas gdy u nas wiele z tych zasad jest już urzeczywistnionych. Cokolwiek znosimy w naszem państwie, nikt jednak nie ośmieli się utrzymywać, że położenie nasze jest takie same, jak sytuacya towarzyszy rosyjskich. Posiadamy powszechne głosowanie do parlamentu, którego inne państwa nie posiadają, a mimo to socyaliści tamtejsi, nie myślą o strajku generalnym.“

„Powiedziano, że podobnie, jak w Rosyi, rozpocznie się i u nas rewolucya od strajku generalnego. Sądzę, że nie zawsze należy mówić to, co się myśli. Nigdy jednak nie oświadczaliśmy, że zrobimy rewolucyę, z tej prostej przyczyny, że jej zrobić nie możemy. Rewolucye są zawsze wynikiem ucisku. Kiedy niezadowolenie jest za wielkie, wówczas musi wybuchnąć rewolucya. Jeżeliby się chciało powiedzieć, że przed tym wypadkiem jesteśmy w Niemczech na zawsze zabezpieczeni, możnaby się bardzo omylić. Nie mogę jednak także i przeciwnie twierdzić. Wszystko zależy od okoliczności. Nie waham się jednak oświadczyć, że na zamach na powszechne głosowanie lub wolność stowarzyszeń musielibyśmy odpowiedzieć strajkiem generalnym. Ale wówczas wszystko politycznie dojrzałe byłoby po naszej stronie“.

Prosząc o przyjęcie postawionej przez siebie rezolucyi Bebel oświadczył nakoniec kategorycznie: „Oświadczam w imieniu przewodnictwa stronnictwa, *że uważamy strajk generalny za konieczny, ale tylko jako ostateczność.*

Korreferent Bebla, prezydent generalny komisyi związków zawodowych Legien, wyjaśniwszy owo nieporozumienie, które wywołało zarzut zrobiony Beblowi, powiedział: „Jestem przekonany, że także i dla nas nadejdzie chwila, w której będziemy musieli wszystko postawić na jedną kartę, ale wówczas nie będzie potrzeba dopiero postanawiać rozpoczęcie strajku generalnego, wówczas bowiem będzie on już faktem dokonanym. Ogólnie panuje mniemanie, że moglibyśmy urządzić strajk generalny nie nadając mu charakteru rewolucyjnego, to znaczy, że albo musielibyśmy za pomocą strajku powstrzymać życie państwa, albo zdecydować się na urządzenie zwyczajnej demonstracyi. Czy jednak sądzicie, że zdołamy dokonać tego pierwszego i że potrafimy zatrzymać wszystkie pociągi wNiemczech? Ja przynajmniej nie sądzę. Strajku zaś tylko jako demonstracyi sami nie chcemy. Nawet Bebel go nie chce, chociaż przy ka-

żdej sposobności kładzie nacisk na to, że podczas strajku nie powinniśmy wychodzić na ulicę. Czy wierzycie, że zwalczymy kapitalistów, jeżeli wstrzymamy naprzykład pracę w przemyśle metalowym, drzewnym i budowlanym? Przecież przemysłowcy już dzisiaj wydalają robotników na całe tygodnie. Cóżby oni zrobili, gdyby chodziło o wielkie kwestye polityczne? Widzicie, że potrzeba się jeszcze nad wieloma rzeczami zastanowić, zanim się na strajk generalny zdecyduje. Posiadamy przecie jeszcze inne środki n. p.: sami górnicy mogą przeprzeć żądania robotnicze, jeżeliby urządzili strajk międzynarodowy, do czego są w zupełności przygotowani. Uważam publiczną dyskusyę nad propagandą strajku generalnego za niebezpieczną, ponieważ masy nauczywszy się przeceniać go, jako środek walki, mogą się potem gorzko rozczarować. Nadto muszę ponownie z naciskiem powtórzyć, że nie odkrywa się przeciwnikowi środków, którymi się z nim walczyć zamierza."

Po dyskusyi, która trwała całe dwa dni, uchwalono ostatecznie 323 przeciw 62, że skoro zarząd partyi będzie uważał rozpoczęcie strajku generalnego za potrzebne, ma się porozumieć z generalną komisyą związków zawodowych i zarządzić środki, zabezpieczające skuteczne przeprowadzenie strajku.

W dalszym ciągu uchwalono 386 głosami przeciw 53, że związki zawodowe uznaje się za konieczną formę organizacyi w celu podniesienia dobrobytu robotników jeszcze przy obecnym ustroju społecznym. Związki zawodowe przejęte duchem socyalistycznym muszą współdziałać i porozumiewać się z partyą tak, aby na zewnątrz stronnictwa występowały zawsze jako grupa jednolita i jednomyślna.

Strajk generalny — znaczy się — jest jednym ze środków, którym socyaliści wywalczyć chcą szersze prawa polityczne, których ostatecznym celem jest t. zw. — państwo przyszłości. Jednakże ta między generalnym strajkiem a państwem przyszłości zachodzi różnica, że ostatnie jest mrzonką, natomiast strajk generalny przy znanej sprężystości i karności organizacyjnej socyalistów — łatwo czy niełatwo, ale jednak może dojść do skutku. Czy istotnie atoli wyjdzie on na korzyść robotników, to inna kwestya.

Zjazd mannheimski oprócz strajkiem generalnym zajmował się sprawą *walki z alkoholem*, *reformą prawa karnego* oraz sprawą wychowywania mas w duchu socyalistycznym.

Wyśmiani i wyśmiewający.

W jednej z bajek Krasickiego czytamy o tych, którzy się ze ślepego wyśmiewali.

Śmiał się szczerze i głośno — *jednooki*, potem przyszedł *zyzowaty* i jeszcze serdeczniej się od śmiechu zanosił. Nie brakło i starego, którego oczy już w pół przygasły. Ten założył okulary, patrzał na ślepego i śmiał się z wielkim zadowoleniem.

„Na koniec przyszedł jeden z dobrze patrzających.

Żałował i wyśmianych i wyśmiewających.

Stara owa bajka niestety — bajką nie jest. Życie codzienne przedstawia nam na dowód prawdy ciągle tę samą powtarzającą się historyę. Ludzie ciągle lubią wyśmiewać jedni drugich, ciągle lubią wyszukiwać jakieś wady i ułomności, ciągle lubią wskazywać innym, iż ci lub owi mają jakąś wadę, ułomność, brak jakiś, za co należy ich chłostać drwinami, karać szyderstwem, poniżać ironią.

A czynią to z niepojętą przyjemnością. Sprawia im to, jak gdyby największą rozkosz, iż mogą wziąć kogoś pod nogi, zdeptać, poniżyć, pohańbić i upokorzyć zupełnie.

Po co to czynią? Jaką mają korzyść z tego? możeby nie łatwo było odpowiedzieć, ale czynią przeważnie tylko dla tego, ażeby stać na wyższym stopniu i udowodnić tej lub owej jednostce, iż wiedzą jej wady i ułomności. Są to zwykle ludzie tacy, jakich opisuje Krasicki. Są *jednooki — zyzowaci i tacy, którzy bez okularów nic nie obaczą.*

Sami mają wad rozlicznych całe roje, lecz tych nie widzą. Ujrzą natomiast wadę u innego i dalejże śmiać się rozgłośnie.

Jeżeli zaś gdzie tych wyśmiewających najwięcej to w otoczeniu ludzi pracujących nad oświatą braci, nad rozbudzeniem ducha narodowego, nad poprawą naszą moralną. Tych pracowników nie lubią właśnie ci, którzy mają serca somolubstwa pierzem porosłe, którzy leniwi są do rozpoczęcia swej poprawy moralnej, którzy wiedzą, iż są niczem dla narodu, a być czemś nie chcą.

Tacy, na zbliżających się z hasłem idei i wezwaniem do wspólnego dźwigania przyszłości, patrzą jak na wrogów, a że nie mają ich czem pokonać, więc chwytają się szyderstwa i czemprędzej wyśmiewaniem chcą zabić i ich i ich posiew ideowy.

Ileż to razy złamano, zniechęcono i zabito moralnie najszlachetniejszych ludzi, a złamano i zabito tylko szyderczym śmiechem i wyśmiewaniem niegodziwem!!

Ileż to razy zdarzyło się, iż tu lub tam, młody, zacny, o sercu gorącem, młodzieńczem zaczął pracować wśród kolegów, przyjaciół, sąsiadów i bliższych i dalszych. Rad był, jak powiadają, unieść ich wszystkich za sobą, podźwignąć, oświecić, rozpalić, by ojczyznę miłowali i ojczyźnie służyli. A gdy mu raz, drugi i dziesiąty szyderstwem w oczy rzucono, gdy go wyśmiewać i niegodziwie i niepoczciwie zaczęto, wyśmiany cofnął się z drogi obranej, w smutku i bólu zamknął swą pracę... stracił siłę, bo go moralnie złamano.

Niech w tej lub owej pracy jakaś dzielniejsza kobieta stanie na przedzie i wzywa innych do pomocy. Niech zachęca do oświaty wzajemnej, do umiłowania literatury ojczystej, do opieki nad ciemnymi, a już, już, jak orły dookoła powschodzą szydercy i będą jak najpilniej nad tem czuwali, ażeby wyśmiać, wydrwić i — zniechęcić.

„Wyśmiewający", to są straszni ludzie. Co zaś najgorzej, iż ich coraz więcej przybywa i coraz śmielej występują.

Wyśmieją literata, bo nie pisał samych pochwał.

Wyśmieją dziennikarza, bo odważył się wezwać do pracy.

Wyśmieją mówcę, bo się przy jednym słowie zatrzymał i zawahał.

Wyśmieją prelegenta, bo wziął temat realny nie bardzo polotny.

Wyśmieją starca, bo mówi zacofano.

Wyśmieją młodego, bo mówi zanadto postępowo.

Cieszą się, iż znajdą zawsze coś, co może dać powód do wyśmiania, a nie rozważą, iż są jednoocy — zyzowaci — kulawi, głusi i co najgorsze bezduszni, o! bezduszni!...

Gdyby mieli jedną iskierkę z ducha wielkiego w sobie, nie wyśmiewaliby i nie rozsiewaliby tych gorzkich owoców bólu, o których Słowacki powiada, że „żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy", bo też istotnie szyderstwo wypala i wyżera wszystko, co nic nie sieje i nic nie daje.

Wyśmiani wtedy zwyciężają i w bohaterów rosną, gdy kamienowani szyderstwem nie cofają się z drogi pracy, lecz idą dalej.

Nie wielu się takich znachodzi, lecz ci są dobroczyńcami w narodzie.

Przyjdzie czas i chwila w której ci wyśmiani zostaną i zrozumieni i uszanowani, lecz stanie się to wtedy, kiedy

wytrwali i pokonali wyśmiewających — spokojem.

Jeżeli *wyśmiani* zdobyć się potrafią na obojętność i śmiechy wyśmiewających będą przyjmować jak kurz ulicy, z którego się trzeba otrzepać, wtedy nasza praca społeczna i narodowa pocznie płynąć szerszym korytem. — Wszystkim, którzy kochają naród — niech słowa Krasickiego dodadzą mocy i wytrwałości do trudnej pracy — niech ich nauczą, jak cenić trzeba krytykę jednookich, zyzowatych i przez okulary patrzących. *Iskra.*

Katowanie robotnic polskich w Niemczech.

Jaskrawe światło na warunki, w jakich nieraz pracować muszą robotnicy polscy, których potrzeba zapędziła do Niemiec, rzuca ohydne zdarzenie, jakie zdarzyło się w Lattdorfie pod Bernburgiem. Opis tego wypadku podajemy ze sprawozdań pism niemieckich „*Anhaltischer Generalanzeiger*“ i „*Volksblatt für Anhalt.*“

W Lattdorfie, majątku niejakiego Henninga, pracuje kilka dziewcząt i kobiet z Królestwa Polskiego. Po niemiecku umie tylko jedna z nich, Józefa Mielcarkowa, i ta służyła za pośredniczkę pomiędzy pracodawcą a robotnicami. Pomiędzy dziewczętami a Henningiem zaszedł spór o płacę. Robotnice żądały 30 fenigów za wykopanie centnara ziemniaków, właściciel dawał tylko 10 (!!), a gdy nie chciał ustąpić, oświadczyły, że pracować nie będą i żądają swych papierów. Henning oddać ich nie chciał. Gdy w dwa dni później ponowiły żądania, zamknął je w izbie i poszedł do policyanta. Policyant zjawił się w towarzystwie Henninga, rządcy, włódarza i jednego robotnika i chciał aresztować Mielcarkową. Mielcarkowa zaczęła się opierać, wołając, że przecież żadnego przestępstwa nie popełniła i że chce zabrać swoje rzeczy i wracać do kraju. Policyant przy pomocy Henninga i jego pachołków, wyrwał jej z rąk kosz z rzeczami i zrzucił ze schodów, samą zaś powlókł na podwórze. Gdy nie chciała iść dalej, oprawcy rzucili ją na bruk i usiłowali związać ręce. Dziewczęta zaczęły krzyczeć i chciały ratować swoją towarzyszkę. Policyant dobył pałasza i zagroził, że je pozabija, jeżeli się nie uspokoją. Mielcarkową zawleczono do obory, pobito okrutnie i związano, poczem odwieziono do aresztu w Bernburgu. Znęcano się jednocześnie nad pozostałemi robotnicami. Jedną z dziewczyn Henning dusił za gardło, policyant bił ją po twarzy, a rządca parasolem po głowie, potem przewrócili ją i skopali. Podczas szamotania się zwichnęli dziewczynie rękę. Drugiej dziewczynie podarli na strzępy spódnicę i bluzkę; ma ona pełno sińców na rękach i ramionach. Rzeczy robotnic barbarzyńcy zrzucili ze schodów, podeptali i poniszczyli.

Wszystkie te fakty stwierdzone zostały przez redakcye wymienionych pism niemieckich. Ofiarami „kultury niemieckiej“ zaopiekował się jeden z miejscowych robotników polskich.

Wiadomości.

* **Szanownych korespondentów** *naszych prosimy, ażeby w każdym przypadku donosili nam, czy chcą czy nie chcą być podpisani pod swojemi korespondencyami. Chodzi nam o to, ażeby ani żadnego z korespondentów — ani też siebie nie narażać na nieprzyjemności, co się zresztą łatwo zdarzyć może, gdy n. p. nazwisko wymienimy.*

* **W sprawie oporu dzieci** przeciwko niemieckiej nauce religii odbyła się według „Wielkopolanina“ w tych dniach konferencya rektorów. Celem przełamania oporu postanowiono uchwycić się następującego środka. Oporne dzieci w każdej szkole mają być odłączone w jedną klasę, w której uczyć się będą specyalnie języka niemieckiego. Nadto dzieci te mają być karane tygodniowo dwoma godzinami aresztu, w czasie którego *religia ma im być wpajana po niemiecku!* — Uchwała ta istotnie warta — pruskich pedagogów. Prawie że to tak brzmi, jakby chciano klin klinem wybić. Dziecko nie chce się uczyć religii po niemiecku, więc z utajoną „furyą teutońską“ pruska pedagogia powiada: a jednak — *musicie!* No — zobaczymy, kto silniejszy czy owa „furya teutońska“ czy też polski pacierz polskich dziatek. Panom pedagogom w rodzaju powyższych rektorów zaś przypominamy to, że to nie tylko z dziećmi polskiemi sprawa — ale z samym Bogiem, a przecież Boga chyba panowie rektorzy nie będą chcieli zwyciężyć.

* **Zwycięstwo dzieci.** W *Dusznie* stawiały dzieci opór przeciwko niemieckiej nauce religii. Z powodu tego zjechali wreszcie do D. radca szkolny z inspektorem. Usiłowali oni wpłynąć na dozór szkolny, ażeby przełamał ten opór. Dozór stanowczo żądanie to odparł — a wskutek tego dwa dni potem nauczyciel otrzymał nakaz uczenia dzieci religii — *po polsku.* Podobne wieści nadeszły i z innych miejscowości — a ponieważ urzędowo im *nie zaprzeczono*, przypuszczać należy, że są istotnie prawdziwe. A więc — mali bohaterowie zwyciężają!

* **Nasz dorobek oświatowy.** Pisaliśmy na ten temat niedawno obszernie w „Pracy“ i Czytelnicy nasi wiedzą, że niestety dorobek ten dotąd nie zupełnie nas zadawalnia. Niestety to niezadowolenie nasze codzienne nieomal się potwierdza. Dowodzi tego znowu następujący fakt. W Czarnocinie według „Gaz. Gdańskiej“ był sołtysem przez 25 lat Jan Stolz. Rządził dobrze, i spokój był w gminie. Po jego śmierci większość gminy obrała sobie sołtysem syna jego Stanisława. Otrzymał 6 głosów, obywatel Kosicki dwa, a luter Arnold też tylko dwa głosy. Ale co się dzieje. Obywatele Józef Bielski, murarz Robert Szamrach, Franciszek Bogucki pojechali do landratury, i oświadczyli, że gmina chce mieć lutra sołtysem, chociaż jest w niej tylko 1 luter, ów powyższy Arnold. — W dalszym ciągu odeszło jeszcze osobne pismo z kilku dalszymi podpisami, no i p. Stolz nie został potwierdzony, a przy ponownych wyborach otrzymał Arnold 5, Klukowski 4 głosy. — Aż wstyd pisać, że to Polacy zrobili. Snać nie wiedzą oni jeszcze nic o *narodowych* obowiązkach i o *narodowej* godności. Pewnie owi poplecznicy lutra polskiej gazety jeszcze w ręku nie mieli. — Wstyd...

* **„O podburzanie do gwałtów“** niejeden redaktor Polak przepędził już miesiące, może i lata całe za „mieczemi“ szybami i grubemi murami więzienia. Procesy o to dotąd nie ustały — choć nigdzie z powodu inkryminowanych artykułów żaden gwałt nie nastąpił. Ale przecież wiemy wszyscy, co właściwą tylu owych procesów było przyczyną. Ciekawiśmy atoli pomimo wszystkiego, czy też prokuratorya proces wytoczy n. p. takiej „Ostdeutsche Rundschau“, która z powodu oporu dzieci polskich na lekcyach religii napisała, że opór ten w Bydgoszczy byłby wręcz niemożliwy. Czemu? — bo *niemieckie chłopaki nauczyliby polskie bębny rozumu.*

Ho, ho — jakoś „Michałka“ chwyciła odwaga, pomyśli niejeden. Mniejsza o to, czy odwaga, czy nie, ale czy takie zachęcanie — „do nauczania rozumu polskich bębnów“ i w takiej formie nie jest wyraźnem wykroczeniem przeciwko słynnemu paragrafowi o podburzaniu do gwałtów? — Trudno sądzić inaczej, niestety miara pruskich prokuratorów dla Polaków jest krótsza, a dla Niemców dłuższa. Nikogo też pewnie nie zadziwi, że redaktorzy „Ostdeutscherki“ za „zasługi“ około polityki dla kresów wschodnich udekorowani zostaną orderami, zamiast iść wędrować „za kratę“ z powodu podburzania niemieckich dzieci przeciw gwałtom. Zresztą zobaczymy, czy się też Polacy bydgoscy tej pogróżki zlękną. Na niesforność niemieckich chłopaków ojcowie polscy mają pewien instrument, któremu w gwarze ludowej na imię „pociegiel,“ albo też czasami „pasek.“ Zobaczymy, kto kogo?

* **„Bezstronność“ socyalistów** jest nie tylko sławna — ale i osławiona. Dwie są sprawy, które na ludzi tych zresztą do „czerwonych“ kolorów przyzwyczajonych, działają jak czerwona chusta na znane zwierzę. Sprawami temi — to kościół i narodowość. Gdy o tych sprawach mowa, socyaliści wówczas miotają na nie jadem nienawiści i — błota. Dowodzi tego fakt następujący. — W szkole naszej odbywa się opór przeciwko niemieckiej nauce religii. Społeczeństwo nasze się broni. Do obrony tej stawają we wspólnym szeregu wszyscy Polacy od najwyższych do najniższych. Pamię-

tamy jeszcze wszyscy mowę ks. dr. Surzyńskiego w Kościanie, pamiętamy ślub uczyniony na tym samym wiecu przez kupca p. Augustyniaka.

Co robią z tego Niemcy — co robią szczególnie socyaliści? — Niemiecko katolicka „Germania“ ślub ten kładzie w usta ks. prob. Surzyńskiego — „Berl. Tagebl.“ z ukrytą złośliwością pyta: czy ks. prob. Surzyński ma dzieci? — a „Niederrheinische Arbeiter Ztg.“ której odpowiedzalnymi redaktorami są Stephan Heise z Duisburga i Arno Franke z Dortmundu, dodaje do tego, jakoby „nie było wcale rzadkością, że księża, a nawet biskupi i kardynalowie mają dzieci pomimo celibatu. Owa „Niederrheinische Arb. Ztg.“ jest pismem socyalistycznem. Z fałszywej wiadomości „Germanii“ skorzystała ona skwapliwie, ażeby na księży napaść w powyższy ohydny sposób. Dwie tu uwagi godne są rzeczy — to, że „Germania“ fałszywem sprawozdaniem spowodowała ową napaść — i to, w jaki sposób socyaliści starają się zohydzić księży — a przez to i kościół. Nas Polaków napaść ta szczególnie boli, bo obraża ona dwojakie nasze uczucia — i religijne i narodowe. Napaść ta, to nie zwykła podłość, przecież nawet hakatystyczny „Berl. Tagebl.“ nie posunął się tak daleko — zdobyli się na nią socyaliści, ci sami socyaliści, którzy głoszą ogłupionym przez siebie tłumom, że „katolik może być socyalistą.“ Jakże to pogodzić z powyższym ohydnym faktem?! Doprawdy za całą odpowiedź wystarczyłoby jedno głośne: tfu! — gdyby nie setki zbałamuconego ludu polskiego, szamocącego się w sidłach tych rzekomych jego przyjaciół. Ot tacy to wasi przyjaciele, ci socyaliści; by całkiem duszę waszą opętać, zohydzają najświętsze nasze sprawy, obrażają najszlachetniejsze uczucia i myśli.

Czy tacy ludzie mogą wogóle być przyjaciółmi kogokolwiek? — Nie! — Tacy ludzie, jeżeli coś komu dobrego robią, to czynią to we własnym interesie — a tam gdzie tego interesu nie widzą, tam wychodzą ich szydła z miecha. Wyszły i tym razem, i dobrze że wyszły, bo to jeden dowód więcej o „bezstronności, o sprawiedliwości — a i o równości“ socyalistów. Widocznie równy im ten tylko, kto w równym z nimi kala się błocie ciała i duszy. Takich przyjaciół lud polski przepędzi za dziesiątą granicę. — Rodakom naszym na obczyźnie na fakt ten szczególnie zwracamy uwagę i dodajemy, że „Niederrheinische Arb. Ztg.“ drukuje się w tym samym zakładzie drukarskim co „Arbeiter Ztg.“, która wychodzi w Dortmundzie, a mianowicie w firmie A. Gerisch. Z takimi piśmidłami i przyjaciołmi — precz z domu polskiego.

* **„Wiarus Polski“** przedrukował w Nr. 221 za „Głosem Zagłębia“ artykuł z „Pracy“ pod tytułem: „jakim sposobem oddziaływać na dzieci w duchu narodowym? — Robimy o tem wzmiankę tutaj dla tego, ażeby Szanownej Redakcyi „Wiarusa Polskiego“ donieść, że pozwalamy jej przedrukowywać artykuły z „Pracy“ bez powoływania się na źródło. My zawsze szczerze się cieszymy z tego, jeżeli inne redakcye artykuły nasze uznają za tak dobre, że je pomieszczają w łamach swoich pism. To najlepsze dla nas świadectwo.

* **Kultura niemiecka.** Ładny obrazek „kultury“ niemieckiej w koloniach wschodnio-afrykańskich przedstawia Karol Böttcher, w wydanej niedawno w drugim nakładzie książce, pod tytułem „Germania im Ausland. Ungemüthliche Wahrheiten“ (Gera, nakładem p. Stötznera). Opowiada on, że na ulicy miasta Dar-es-Salaam zwołał około 20 chłopaków murzyńskich, mających 12 do 18 lat, zaprowadził ich pod rozłożyste drzewo i egzaminował w języku niemieckim. Opisuje to w ten sposób:

— Kto z was umie powiedzieć jakie niemieckie słowo?

— ‘n Morjen — zawołał pewien kędzierzawy murzynek.

— Jeszcze jedno!

— Schweinehund! — usłyszałem z szerokich ust innego chłopca.

— Powiedzcie więcej słów, dalejże!

— Bier! — Besoffen! — Fauler Kopp! — wołali chłopacy.

— Brawo! Jeszcze kilka słów niemieckich!

— Namyślcie się! Kto powie jeszcze słowo niemieckie, dostanie pesa (dwa fenygi).

To pomogło. Czarne czoła się marszczą w zamyśleniu, przytem chłopacy obnażonemi ramionami wywijają w powietrzu.

— Verboten! — Polizei! — Halts Maul! — krzyczą z radością, a ja zapłaciłem trzy pesa.

Wszystkie czarne głowy jeszcze natężają mózg.

— Ty tam małcze, wiesz jeszcze jedno słowo!

— Stillgestanden — Rindvieh!

Na tem wyczerpał się cały zapas słów niemieckich. Choćbym i za jedno słówko zapłacił rupię (1,25 mk.), nie mógłbym już więcej z nich wydobyć.

Znamiennym jest ten wybór wyrazów „kulturnych“.

* **O zlot** *na Kurzej górze* pod Kościanem wytoczyła według „Dz. Kuj.“ prokuratorya leszczyńska posłowi p. dr. Alfr. Chłapowskiemu z Bonikowa proces o obrazę urzędników i o przekroczenie prawa o stowarzyszeniach. Nam dotąd o tem nic nie wiadomo.

* **Udział** *w zjeździe prawników i ekonomistów polskich,* który rozpoczął się we wtorek, dnia 2-go b. m. i obliczony jest na 4 dni, jest następujący: z Krakowa 117 uczestników, ze Lwowa 13, z innych miast galicyjskich 33, z Warszawy 40, z Królestwa i krajów zabranych 39, z zaboru pruskiego 23, z Ameryki 2. Do prezydyum honorowego zjazdu wybrano ks. patrona Wawrzyniaka — na zastępcę prezesa rzeczywistego p. mec. Wolińskiego z Poznania.

* **W sprawie** *zjednoczenia polskich związków zawodowych* wystosował komitet polityczny na Berlin i Brandenburgię do odnośnych związków (Zjednoczenie, Związek zawodowy polski i Bratnia Pomoc) pismo, ażeby utworzyły kartel. Sprawa to niesłychanie ważna, zarządy odnośnych związków powinny się do niej zabrać z jak największą rozwagą i z uwzględnieniem nie tylko wspólnego interesu robotniczego, ale także narodowego. My byśmy szczerze pragnęli, ażeby doszło pod tym względem do jakiegoś porozumienia, i żeby ustał mianowicie wcale niepożądany antagonizm pomiędzy Zjednoczeniem a Związkiem zawodowym w Poznaniu. Komitetowi berlińskiemu w każdym razie wyrażamy uznanie, że stara się sprawę tę wprowadzić w bieg.

* **W Teatrze polskim** w sobotę: *„Sprawa Rosyi,“* głośna sztuka rosyjska Suchowa-Kobylina, w której autor ujawnia całą podłość sfer czynowniczych w Petersburgu. Rzecz ta odegraną będzie także w niedzielę wieczorem. W niedzielę po południu „Damy i huzary“ (ceny do połowy zniżone). W poniedziałek *„Karykatury“* J. A. Kisielewskiego (ceny do połowy zniżone).

* **Ślub.** W dniu 18-ym z. m. w kościele „św. Małgorzaty“ na Śródce pobłogosławił ks. radzca Kaźmirz Michalski w otoczeniu kilkunastu duchownych związek małżeński pomiędzy siostrą swoją panną Zofią Michalską, a panem Czesławem Lauszem kupcem z Poznania.

* **Poznań.** W niedzielę urządziło Towarzystwo *„Promień“* na sali Lamberta obchód jubileuszowy ku uczczeniu 40-letniej działalności znakomitej powieściopisarki Elizy Orzeszkowej. Niektóre punkta programu jak np. polonez jubileuszowy policya skreśliła, ale mimo to całość wypadła bardzo pięknie. Śpiewy wykonała „Harmonia“ z św. Łazarza pod batutą p. Marcinkowskiego, a jako solistka występowała pani mecenasowa Pomorska z Ostrowa, która jak zwykle osięgała wielki sukces. Odczyt „O twórczości literackiej Elizy Orzeszkowej“ wygłosił p. dr. Meissner, a piękną grą na skrzypcach zachwycał licznie zgromadzoną publiczność znany skrzypek-artysta p. Pawlak z Gniezna.

* **Kursa zawodowe** dla członków Stow. personalu żeńskiego w handlu i przemyśle, począwszy od 8-go października b. r. odbywać się będą w mieszkaniu Towarzystwa Wrocławska 14-ty: Poniedziałek i środa: krój ubiorów damskich p. Kazubowska od godz. $^{1}/_{4}9$ do $^{1}/_{2}10$. Środa i sobota: książkowość — p. Mellin. Czwartek i piątek: pisownia i gramatyka polska. We wtorek jest wymiana książek i załatwianie spraw poszczególnych członków Towarzystwa. W lokalu naszym można zapisywać się na członków i płacić miesięczne składki.

Spodziewać się należy, że w interesie własnym personał żeński powyższych kursów licznie korzystać będzie.

Ukarany notaryusz Polak. Donoszą „Lechowi“, że adwokatowi p. *Wyczyńskiemu* w Brodnicy władza odebrała notaryat, ponieważ spisał kontrakt, dotyczący sprzedaży majątku niemieckiego, który nabył podstawiony z polskiej strony Niemiec. Władza posądza p. mec. Wyczyńskiego, że o tem wiedział i świadomie działał na szkodę niemczyzny. Coby władza powiedziała, gdyby było odwrotnie?

* **Kupno:** Firma Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) kupiła w pow. wschowskim majątek ziemski Niechłód z przyległościami, razem 4 tysiące mórg, w tem 1600 mórg lasu. Właścicielką była p. hr. Ponińska z domu Żółtowska. Dochód gruntowy Niechłodu wynosi na czysto 3 marki z morgi, skutkiem czego majątek ten uchodzi za jeden z najlepszych w swojej okolicy.

***Dola redaktorów:** Pana Sylwestra Czarneckiego, redaktora „Gazety Polskiej" w Kościanie skazała izba karna w Lesznie na 100 mk. kary za „grubą swawolę", której dopuścił się wymienieniem nazwisk „iluminatorów" kościańskich. Sąd ławniczy kościański p. Cz. zwolnił w tej sprawie od winy i kary. Niestety izba karna jest instancyą — wyższą.

* **Wiece szkolne** odbyły się oprócz w Kościanie w ubiegłą niedzielę, w Inowrocławiu dwa, w Witkowie i w Pelplinie w Prusach Zachodnich. Wszędzie domagano się polskiej nauki religii. Wiec w Kościanie i pierwszy w Inowrocławiu zostały rozwiązane — kościański podczas wolnych głosów, inowrocławski, gdy ks. prałat Laubitz położył nacisk na to, że *rodzicom* wolno jest zakazać dzieciom swoim uczenia się religii w języku obcym.

* **Szamotuły.** Charakterystyczne! Pismo hakatystyczne „Kuj. Bote" donosi, że nauczyciele w Szamotułach wobec szkólnego strejku dzieci, wzbraniali się nadać im areszt. — Pismo to głosi, że w sprawie karności (Disciplin) szkolnej należy się spodziewać, iż nauczyciele coprędzej zastosują się do nakazanego im obowiązku! Otóż mamy pojęcie, do jakiego stopnia zawód dzisiejszego nauczyciela jest zależnym nietylko od jego przełożonej władzy, ale nawet od takich hakatystycznych monitorów, którzy wprost polecają prześladowanie!

* **Wągrówiec.** (korespondencya). W miesiącu padzierniku odbędzie się tutaj walne zebranie towarzystwa „Sokół." W naszem mieście „Sokół" bardzo podupadł, i to szczególnie w tym roku; ćwiczenia odbywały się tylko krótko przed zabawą latową, z której zresztą cała publiczność Wągrówca była niezadowoloną. Można sobie zresztą taki upadek wytłomaczyć. Toć prezes „Sokoła" na żadne zebranie nie przychodzi i o nic nie dba. To i nie dziw, że ćwiczenia się nie odbywają, i że na zlocie w Barcinie Wągrówiec świecił nieobecnością. Myślimy, iż w przyszłem walnem zebraniu do zarządu zostaną obrani druhowie dbający o sprawę narodową. „Sokół" nasz powinien stanąć na równi z innemi gniazdami, czego mu szczerze życzy

Obywatel wągrówiecki.

* **Rawicz.** Pod miastem na tak zw. górze młyńskiej przy kopaniu głębokiem, natrafiono w głębokości 2 metrów pod warstwą kamieni na groby starożytne pogańskie. Były w nich urny z popiołami zmarłych i kośćmi. Niestety potłuczono je przy wydobywaniu.

* **W Ostrowie** odbyło się w ub. niedzielę tymczasowe poświęcenie nowego kościoła. Aktu poświęcenia dokonał ks. dziekan Grośty z Odolanowa. W starym kościele odbyły się dwie msze św. o godz. 8 i 9. Następnie wygłosił — pisze „Gaz. Ostrowska" — do głębi wzruszające kazanie ks. Lisiecki, żegnając stary kościół drewniany, do którego nietylko obecni, ale i przodkowie nasi szukać chodzili pociechy w strapieniu lub dziękować za doznane łaski przez 120 lat. Po kazaniu odśpiewano „Te Deum" i suplikacye, poczem przeniesiono Przenajświętszy Sakrament w uroczystej procesyi do nowego kościoła, w którym ks. dziekan Grośty odprawił pierwszą mszę św. Chór kościelny śpiewał z współudziałem p. mec. Pomorskiej.

* **W Stajkowie** pod Czarnkowem odbył się w niedzielę dnia 23-go ub. m. wiec w sprawie wstrzemięźliwości z udziałem księży i kobiet. Dyskusya nad szkodliwemi skutkami alkoholu była bardzo ożywiona. Poczet wyzwoleńców z tutejszej okolicy wzrósł o 14 mężczyzn i 16 kobiet. Oddział „Wyzwolenia" w Lubaszu liczy więc 107 członków. Przyszły wiec projektowany jest na dzień 28-go października w Gulczu.

* **W Gietrzwałdzie** (na Warmii) odbył się ub. niedzieli wiec polski. Udział w wiecu wzięło około 100 osób. Po zagajeniu wieca przez redaktora „Gaz. Olsztyńskiej" zabrał głos poseł W. Kulerski z Grudziądza, zdał krótkie sprawozdanie poselskie, a następnie poddał ostrej krytyce germanizacyę, szczególnie tych księży, którzy idą za głosem luterskiego rządu i tę germanizacyę popierają. Sprawa to na Warmii bardzo żywotna; jest tam dużo ludu polskiego, a księża sami Niemcy. Stosunki więc są podobne jak na obczyźnie. Nie dziw też, że bracia nasi Warmiacy do Władzy duchownej swojej te same zasyłają prośby, co i bracia nasi z Westfalii i Nadrenii. Na niedzielnym wiecu n. p. przyjęto rezolucyę, która zwraca się do duchowieństwa,ażeby dzieci polskie przygotowywano do świętych sakramentów po polsku, żeby je po polsku do nich przyjmowano, bo „religia wykładana dzieciom w języku nieojczystym nie przeniká do serca i duszy dziecka". Życzymy braciom naszym na Warmii, ażeby gorące ich życzenia jak najprędzej się spełniły.

* **W Berlinie** odbędzie się staraniem „Sokoła" uroczystość Kościuszkowska w niedzielę dnia 14-go października o godz. 2-giej po poł. na sali Kellera przy Koppenstr. 29.

Porządek uroczystości: 1) Zagajenie. 2) „Marsz pogrzebowy", wykona chór mezki „Harmonii". 3) Deklamacya. 4) „Dla kogo ptasząt chóry", wykona chór żeński „Harmonii". 5) Mowa uroczystościowa posła Bernarda Chrzanowskiego, prezesa związku Towarzystw sokolich w Niemczech. 6) „Serenada wiejska" z opery „Verbum nobile" Moniuszki, wykona chór mieszany „Harmonii". 7) Żywy obraz: Sokolstwo polskie składa hołd Tadeuszowi Kościuszce.

* **W Westfalii,** w okolicy Gelsenkirchen objawia się według niemieckich pism pomiędzy młodszymi robotnikami polskiego pochodzenia, urodzonymi w westfalskim obwodzie przemysłowym, dążność do zmiany swego nazwiska na niemieckie,aby ujść obrabiania ze strony polskich agitatorów.

Zmiana nazwisk jednak podlega stemplowi wysokości 30 marek, który może w razie ubóstwa być zamieniony na stempel pięciomarkowy. „Tu miałby — piszą owe „blaty" — „Ostmarkenferajn" pole do pracy. Także załatwianie formalności i sprawę zniesienia się z władzami mógłby „Ostmarkenferajn" wziąść w rękę".

„Wiarus Polski" pisząc o tem powiada słusznie, że „głupich nie sieją, sami się rodzą". Ale bądź co bądź, gdyby ta wiadomość tak bez zastrzeżeń była prawdziwą, — *źle* świadczyłaby o poczuciu narodowem owej polskiej młodzieży. Tak bardzo źle jednak być nie może. Nam się wydaje, że chodzi tutaj o młodzież, wprawdzie pochodzenia polskiego, ale nie z Księstwa, nie z Prus i nie ze Śląska — lecz z Mazur. Niestety lud nasz tam jeszcze narodowo uświadomiony nie jest, w domu zachowuje jeszcze i język polski i nazwisko, ale z chwilą gdy idzie w świat, traci on albo jego pokolenie i język i nazwisko. My nad tem ubolewać możemy szczerze i gorąco, ale wiadomość, jak chcą Niemcy, wstydem nas okryć nie może. Wstydem byłoby dla nas, gdyby to co piszą owe pisma odnosiło się do całej polskiej młodzieży na obczyźnie, ale taka wiadomość byłaby nieprawdziwą, bo ta młodzież nasza na obczyźnie jest istotnie na wskroś patryotyczną.

* **Dysseldorf.** Dnia 24 z. m. odbyło się walne roczne zebranie tutejszego Tow. „Polonii". Obraliśmy zarząd, do którego wchodzą pp.: Najdrowski, przew.; Walczak, zast.; Wojciechowski, sekr.; Wesołowski, zast.; Nowaczyk, skarbnik, Litobarski, bibliotekarz; Gumny, zastępca. Wszelkie listy oraz i korespondencye prosimy nadsełać pod adresem: B. Najdrowski — Bolkera ul. 84 II albo Wojciechowski — Kolońska ul. 229.

R. Walczak, Bastianstr. 29.

* **Znana poznańska** *księgarnia p. f. A.* Cybulski dołącza do dzisiejszego numeru „Pracy" obszerny katalog nut, na który zwracamy specyalną uwagę naszych czytelników. Przedewszystkiem umieszczone są rzeczy polskie i wydawnictwa polskich nakładców, a wybór we wszystkich działach ogromny, nie wykluczając muzyki kościelnej.

Dla towarzystw i rodaków naszych tak w kraju, jak i na obczyźnie nadarza się więc sposobność zaopatrzenia się w utwory polskie, aby nie zamierały dźwięki pieśni polskiej.

* **Chluba narodu** *naszego, król polskich powieściopisarzy — Henryk Sienkiewicz* napisał w ostatnim czasie nową powieść narodową z życia Jana Sobieskiego pod tytułem *„Na polu chwały."* Powieść ta kosztuje w księgarniach 12 marek.

Prześliczne to arcydzieło drukować będzie w bieżącym kwartale „Kraina powieści" tygodnik wychodzący w Poznaniu.

W chwili dla nas i dzieci naszych

tak bolesnej, w której dzieci nasze zmuszają do niemieckiego pacierza, będzie zapowiedziana powieść „Na polu chwały“ prawdziwym balsamem dla skołatanych serc polskich. „Kraina powieści“ kosztuje na wszystkich pocztach kwartalnie tylko 60 fenygów.

Zachęcamy Czytelników do zapisania tego taniego i pożytecznego pisma. W każdym numerze „Krainy powieści“ znajdujemy dużo rzeczy ogromnie ciekawych i zajmujących. Powieści śliczne, żarty dobre.

Nekrologia.

† Ś. p. *Michał Matuszewski*, ojciec ks. Marcelego Matuszewskiego z Błociszewa i dr. Seweryna Matuszewskiego ze Śremu, dnia 27-go z. m. w Śmiglu R. i. p.

† Ś. p. *Józef Rychlewski*, dnia 27-go z. m. w 63-im roku życia w Żninie. R. i. p.

† Ś. p. *z Falkowskich Emma Kosmowska*, dnia 23-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Ludwik Drożdżewski*, dnia 24-go z. m. Poznaniu w 39-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *ks. Piotr Turkowski*, proboszcz Bukowiecki, dnia 2 go b. m. w Bukówcu, licząc lat 68. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania złożyli: pracownicy machin w fabryce M. Arnolda w Ostrowie za pośrednictwem p. J. Chudziaka z Pruślina pod Ostrowem 6 mrk; Towarzystwo „Jedność“ w Hamburgu za pośrednictwem p. Ludwika Jankowskiego 10 mrk. 30 fen.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

* * *

Na Czytelnie ludowe: p. Jan Serwański z Wilhelmsburgu 1mrk; pani Antonina Trzcińska z Cykowa na weselu odbytem u p. Wijatewskiego w Karczewie *8 marek*, nie 4 mrk, jak ogłosiliśmy przez omyłkę w nr. 38-ym „Pracy“ na stronie 1461-ej.

* * *

Na wdowę i młodzieńca, nie mogącego zapłacić szkolnego: p. Jan Serwański z Wilhelmsburga 1 mrk.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie przysłał pan Kazimierz Szwaba z Drezna 27 mrk. 30 fen; (patrz nr. 37-y „Pracy“ na stronie 1422-ej.) Składkę tę złożyły następujące osoby: pp. F. I. Komendzinski 10 mrk; K. Szwaba 1 mrk; M. Fabisiak 3 mrk; J. Szymenderski 50 fen; M. Wojtanowicz 50 fen; J. Wodarz 50 fen; I. Rachelski 50 fen; St. Moskal 50 fen; M. Rosiński 1 mrk; St. Kaczmarek 50 fen K. Sałaciński 1 mrk; N. N. 50 fen; B. Architekt 50 fen; L. Kantak 1 mrk; W. Liedke 1 mrk; J. Brzesinski 50 fen; M. Gordon 50 fen; W. Nowaczyk 15 fen; L. Witkowski 30 fen; St. Sztampke 30 fen; St. Kostrzynski 50 fen; Sałacinski 1 mrk; Kaczmarek 1 mrk; Śmietana 50 fen; Frankowski 50 fen; J. Dzikowski 25 fen. Razem 27 mrk 60 fen. Z tej sumy odciągnął p. S. na porto od listu i przekazu 30 fen.

* * *

Na spalony kościół w Morzewie złożyli w dalszym ciągu: pan Redelbach z Margonina 5 mrk; N. N. z Morzewa 10 mrk; Fr. Bogusławska z Morzewa 2 mrk; Marya Nawrocka z Nakła 1 mrk; W. Wielebski z Byszek 5 mr; Anna i Tomasz Kwiatkowscy z Rycerzenka pod Kościelcem 5 mrk; K. Smukowski z Sobienicy 1 mrk; St. Koralewski z Robakowa 3 mrk; Marya Rychlicka i goście kąpielowi z Ems 17,10 mrk; W. Ziarniak ze Strzałkowa 2 mrk; A. Andrzejewski z Chełmży 5 mrk; N. N. z Miłosławia 20 mrk; X. proboszcz Kammer od siebie i parafian swoich z Miasteczka 100 mrk; p. Muszyńska z Poznania 10 mrk; X. Kanonik Kretschmer z Gniezna 15 mrk; Fr. Matuszewski 10 mrk. i Antoni Matuszewski z Berlina 5 mrk; Jan Matyszewski z Piły 1 mrk; Leon Matuszewski z Morzewa 50 fen; Trudka Matuszewska 1 mrk. i Myna Matuszewska z Morzewa 4 mrk; X. prob. Has od siebie i parafian swoich z Wysoki 75 mrk.

Schlachetnym dobrodziejom, a mianowicie X-dzu sąsiadowi Kammerowi z Miasteczka i jego parafianom, którzy, lubo sami jeszcze nie przeboleli straty, jaką czasu swego przez spalenie kościoła w Miasteczku ponieśli, w zapowiedzianej jednorazowej składce 100 mrk na kościół w Morzewie złożyli, serdecznie w imieniu własnem i parafian moich składam podziękowanie i o dalsze ofiary pokornie proszę.

Morzewo per Erpel (Bezk. Bromberg,) dnia 30 Września 1906

X. Leon Klarowicz, pleban.

Od Redakcyi.

— *Panu A. M. w S.* — „Naród polski pod obcem panowaniem“ *nie jest* romansem, lecz *historyą.* Historyi tej póty, póki drukować się będzie w „Pracy“ kupić nie można, bo historya ta dla „Pracy“ wyłącznie jest pisana. — „Praca“ historyę tę wyda później jako osobną książkę i wówczas będzie można ją nabyć.

— *Panu Mich. Skowrońskiemu w Duisburgu.* Serdecznie dziękujemy za pamięć. Jak Pan widzi, z przesyłki skorzystaliśmy.

— *Panu Ign. Misiakowi w Gelsenkirchen.* Dziękujemy serdecznie za słowa życzliwe. „Praca“ zawsze pamiętać będzie o doli i niedoli braci swych na obczyźnie i popierać będzie całą siłą te wszystkie ich dążności, które skierowane będą ku zachowaniu ich polskości, a przez to i łączności z nami tutaj w Polsce. Szczęść Boże wszystkim Rodakom na obczyźnie.

— *Panu B. G. we Wrocławiu.* Dziękujemy za pamięć. Artykuł wrocł. Morgenerki jest wzięty z innego niemieckiego pisma. Takich artykułów teraz jest dużo. Niemcy coraz lepiej rozumieją, że ucisk Polaków pożądanych owoców im nie przyniósł, że dowodzi on raczej nędzoty panującej w ich własnych szeregach. Niech krzyczą — niech sami nad własną głupotą ręce załamują — nie naszą rzeczą wbijać im „piątą klepkę.“ Serdecznie pozdrawiamy.

— *Do Berlina.* Niestety — to prawda, — że p. Wyczyńskiemu odebrano notaryat. Co do listu owego robotnika z „Geselligera“ uważamy go za wymysł redakcyjny. Tak bajeczną najwspanialszą literacką niemczyzną robotnik polski nie pisze. Na to potrzeba długiej nauki i mozolnego nakręcania „słowiańskiego“ języka. „Geselligerowi“ chodziło o zohydzenie właścicieli polskich i dla tego jak Piotrowin — budzi z grobu umarłych.

— *Panu Fr. Kw. w Przemencie.* — Za pośrednictwem jednej z następujących księgarń poznańskich: A. Cybulski, św. Marcin, B. Chrzanowski, św. Marcin, I. Leitgeber, ulica Wilhelmowska, W. Templowicz, ulica Wilhelmowska.

— *Panu F. M. w Wągr.* — Zamów Pan za pośrednictwem księgarni B. Chrzanowskiego w Poznaniu.

— *Panu Ignacemu C. w Dortmundzie.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć i pozdrawiamy serdecznie.

— *Pani Jadwidze B. z R.* — Reformę zaprowadzimy już z początkiem listopada r. b. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Panu Czesławowi G. w Berlinie.* — Wysłaliśmy nagrodę dnia 2-go bieżącego miesiąca.

— *„Weel.“* — W pierwszym rzędzie zamieszczamy wiersze patryotyczne i okolicznościowe, niech więc Szanowny Pan wiadome wiersze zechce posłać innemu pismu. Dziesięć przykazań kupieckich już znanych, jak Szan. Pan pisze, nie opłaci się powtarzać. — Nadesłanych łamigłówek rachunkowych nie zdołaliśmy odszukać w naszej tece redakcyjnej. Za łaskawą pamięć dziękujemy i zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Pani J. Trz. w C.* — Omyłkę sprostaliśmy w dzisiejszym numerze w rubryce „Nasza ofiarność“.

— *Panu Nikodemowi A. w Poznaniu, św. Marcin.* — Sprawa dziś już postąpiła tak daleko, że o cofnięciu się, które w obecnem położeniu uważać by trzeba za szkodliwe — nie ma mowy. Oczywiście uznajemy w zupełności propozycye Pana i jak Pan widzi w dzisiejszym numerze „Pracy“ podajemy odpowiednie wskazówki. Dziękujemy za pamięć i pozdrawiamy serdecznie.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Nowa Września i polityka tumska. Broszurka pod tym tytułem wyszła we Lwowie nakładem autora, który się nazwał „Wielkopolaninem“. Jest to pseudonim. Broszurka omawia obecny opór szkolny dzieci i politykę ustępstw ks. Arcybiskupa wobec rządu. — Obecnie w czasie dla nas tak ważnym treści tej broszurki omawiać nie będziemy. Nie możemy w interesie narodowym podkładać pochodni pod płonący sążeń sprzecznych ze sobą poglądów, nie chcemy nikogo od wspólnej pracy odtrącać — chcemy raczej, ażeby w tej ważnej dla nas sprawie wszyscy gorący i czynny wzięli udział.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Kościuszko pod Maciejowicami.

O Maciejowickiej klęsce

10-go października 1794.

W krwawych zorzach wstaje słońce,
Idzie garstka na tysiące,
Krwawa rosa ziemię plami —
— Hej, pod Maciejowicami!

Ledwie obrzasł świt z daleka,
Na Fersena wiara czeka —
Na bój czeka z Moskalami,
— Hej pod Maciejowicami!

Sunął Fersen z swemi roty,
Jak grom rzucił swe piechoty.
Krzyczą nasi: „Bóg jest z nami!“
— Hej, pod Maciejowicami!

Już się biją, już się zwarli,
Już Moskali wstecz odparli,
Gaśnie bagnet przed szablami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Wściekły Fersen konia zwrócił,
Pułk sybirski na nas rzucił,
Pułk sybirski z bermycami.
— Hej, pod Maciejowicami!

Idźcie moje grenadiery,
Na te polskie bohatery
Rozniećcie ich bagnetami
— Hej, pod Maciejowicami!

Ścisnęły się roty nasze
Świszczą kule, tną pałasze,
Pole czerni się trupami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Wre i kipi bój zajadły,
Wodzickiego roty padły
Padły roty z rotmistrzami...
— Hej, pod Maciejowicami!

Jęk w powietrzu leci srogi,
Już wykłuty co do nogi
Pułk Działyńskich legł snopami...
— Hej, pod Maciejowicami!

Już to nie bój — rzeź śmiertelna,
Cofa się piechota dzielna —
Garść — rozbita tysiącami...
— Hej, pod Maciejowicami!

Pod Kościuszką dwa już konie
Ubił Moskal w tej obronie,
Ubił Moskal kartaczami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Na trzeciego skacze, bieży, —
Zbiera garstkę swych żołnierzy,
Jeszcze go nadzieja mami...
— Hej, pod Maciejowicami!

W czworoboku jazda nasza,
W cztery strony błysk pałasza,
W cztery strony śmierć nad nami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Tak stanęli przeciw wroga,
Za plecyma topiel sroga —
Topiel sroga z moczarami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Byle wytrwać, a doczekać!
Pan Poniński nie miał zwlekać,
Wnet swą odsiecz złączy z nami —
— Hej, pod Maciejowicami!

Stają z czołem podniesionem,
Stają kara-bataljonem,
Jaśni szabel swych błyskami —
— Hej, pod Maciejowicami!

Jeszcze odsiecz nie ściągnęła,
Już im tyły Moskwa wzięła,
Walą roty moczarami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Rozprzęgły się cztery ściany —
Już czworobok nasz złamany,
Pierzcha jazda przed rotami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Pan Kościuszko do nich skoczy,
A w tem Moskwa go otoczy
Kluje spisą, tnie szaszkami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Leci z konia, padł wśród dziczy.
— Koniec z Tobą, Polsko! krzyczy,
Żywcem biorą go z ranami,
— Hej, pod Maciejowicami!

Sześć tysięcy tam zostało,
Sześć tysięcy legło z chwałą,
Z ojczystemi sztandarami...
— Hej, pod Maciejowicami!

Pełne trupa krwawe pole,
Resztę Moskwa gna w niewolę,
Bije knutem i szaszkami.
— Hej, pod Maciejowicami!

Tam Kniaziewicz poszedł w pęta,
Kamińskiemu wolność wzięta,
Tam i Kopeć szedł z druhami —
— Hej, pod Maciejowicami!

Tam i Moskwie los odpłacił,
Wojsk połowę Fersen stracił,
Usłał pole Moskalami —
— Hej, pod Maciejowicami!

O, Poniński, tyś zawinił!
Tyś do klęski się przyczynił!
Tyś nie złączył sił swych z nami,
— Hej pod Maciejowicami!

Jan Sawa.



Bitwa pod Maciejowicami

10-go października 1794.

Z „Pamiętników czasów moich," Niemcewicza.

Dzień 9-go października równie był jasny, jak dżdżysty poprzedzający. Z rana pułkownik Krzycki przybył do obozu naszego z dwoma pięknemi pułkami piechoty, wysłanemi z Warszawy. Znużony gwałtownym nocnym pochodem żołnierz, pomrukiwał nieco, lecz rozdana żywność i wódka, powróciła dobry humor. Siły nasze w ten czas wynosiły do 5 600 ludzi i 21 dział. Przybył z nim także S. Fiszer, dawny adjutant Kościuszki. O dziewiątej z rana ruszyło wojsko naprzód; o czwartej wyruszyliśmy z lasu i przybliżać zaczęli do Maciejowic. Naczelnik ze mną i kilkoma ułanami posunął się naprzód, by rozpoznać nieprzyjaciela. Ujrzeliśmy wkrótce nieprzyjacielskie wojsko. Rozciągał się obóz jego nad brzegiem Wisły, jak tylko oko zajrzeć mogło. Lubo odległość nie dozwalała dobrze rozeznawać przedmiotów, wspaniałym był widok ten. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się jasno o bagnety piechoty; rżenie koni, gwar niezmiernego mnóstwa tego, napełniający powietrze, miał w sobie coś przerażającego. Rzuciliśmy na prędce strzelców naszych po obu stronach boczącego nas lasku. — Przednie czaty nasze zaczęły z kozakami utarczkę na równinie rozciągającej się od Wisły do wzgórza, na którem stoi dom Maciejowic; nasi zabili kilku kozaków i obdarli natychmiast z trzosów, zawierających same monety polskie. Na widok ten leci w zawód ich oddział w szyku pół księżyca (jak jest zwyczaj kozacki), przeskrzydla nas, zewsząd otacza, nagli tak, że dzidy kozackie tuż widzieliśmy za sobą, i nie pojmuję, jak nie byliśmy schwytani; szczęściem, pokazanie się szwadronu pułku Kamińskiego, zagroziło kozakom, tak, że się w tył cofnęli; o piątej uspokoiło się wszystko, całe wojsko nasze ściągnęło na miejsce.

Wieś Maciejowice, dziś Podzamczem zwana, leży w nizinie, lecz sam dom murowany na wzgórzu, naprzeciw Wisły, długa grobla prowadzi do niego; po prawej ręce rzeczka Okrzeja, po lewej błota i zarośla. Położenie to zdało nam się wybornem. Całe siły nasze umieściły się na wzgórzu; od domu postawiono działobitnię, przeszywającą całą długość grobli; dwa pułki fizylierów i pułk Działyńskiego były pod dowództwem generała Sierakowskiego; resztę okręgu napełniała piechota, brygada jazdy Kopcia, ułany Kamińskiego, dwa szwadrony jazdy gwardyi koronnej i tyleż milicyi województwa Brzeskiego Lit., wszystko pod dowództwem generała Kniaziewicza. Rozkazał naczelnik w kilku miejscach posypać wały, lecz noc zaskoczyła, gdy je ledwo zaczęto. Całe wojsko zostało przez noc pod bronią. Podwojono czaty, każdemu konnemu przydano strzelca pieszego. Poczyniwszy te rozporządzenia, udaliśmy się do pomienionego powyżej domu.

Nie wierzę odtąd przeczuciom. Była to wigilia jednego z najnieszczęśliwych dni życia mego, dnia, w którym straciłem mą wolność, a co stokroć boleśniejszem, dnia, w którym ojczyźnie mojej cios śmiertelny zadano; przecież byłem spokojny, co więcej, wesoły.

Pałac murowany, do któregośmy się schronili, był zrabowany i zniszczony, jak wszystkie te, przez które przechodzili Moskale. Maciejowice w dawnych czasach należały do rodu Maciejewskich, później do Potockich, od których je nabył Andrzej Ordynat Zamojski. Sala górna ozdobiona była portretami prymasów, kanclerzów, hetmanów, biskupów; wszystkim tym wizerunkom Moskale powykalali oczy dzidami, szablami porąbali twarze. Takie to było wojsko sławnej Katarzyny II, protektorki nauk i sztuk pięknych. Nie znaleźliśmy już biblioteki, zabrali ją oficerowie moskiewscy; skrzynia tylko jedna, zawierająca małe druki i zbiór gazet polskich, a zawarte w niej gazety zawalały kaplicy posadzkę. — Między innemi natrafiłem gazety donoszące o śmierci Augusta II i dziennik sejmu konwokacyjnego.. Nadęty styl, pełne makaronizmów łacińskich perydy, pobudzały mnie do śmiechu: wziąłem z nich kilka arkuszy, i przy wieczerzy czytałem Kościuszce. Rozmawialiśmy o dniu jutrzejszym, o trudnościach, jakie znajdą Moskale w atakowaniu nas. O drugiej z północy obudził mnie Kościuszko i napisać zlecił rozkaz Ponińskiemu, by jak najprędzej pośpieszył złączyć się z nami. Niestety! już to było za późno, za daleko zostawiony, nie mógł już zdążyć, i z tej strony wolnym być powinien od posądzań i winy.

O samym świcie adjutant od służby Kuniewski dał nam znać, że nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód. Szczupłe wojsko nasze do przyjęcia go wkrótce było gotowem. W minutę jużeśmy byli na koniach. Naczelnik postrzegłszy w tyle naszym wioskę, by jej nie opanowali Moskale, kazał ją zapalić. Nie zapomnę nigdy okropności widoku tego; obejmują wieś tę płomienie, wznoszą się nad nią kłęby dymu czarnego; wieśniacy, kobiety z dziećmi na łonie, bydło, ptastwo, ucieka we wszystkie strony, napełniając powietrze płaczem i jękami.

Moskal mając działa większego kalibru, pierwszy kulami swemi dosięgać nas zaczął. Ogromne te kule z strasznym łoskotem przedzierając się przez drzewa i krzaki, łamały je i okrywały nas oderwanemi gałęziami. Nie mieliśmy jak trzy lub cztery dwunasto-funtowe działa. Skoro nieprzyjaciel na ich dosięgnienie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień; sam je naczelnik celował, z takim skutkiem, iż widać można było chwiejące się szyki. Przez trzy godziny mieliśmy nad nieprzyjacielem górę, tak dalece, iż przystąpiwszy do naczelnika generał Sierakowski, rzekł: Zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu. Wkrótce pokazało się przeciwnie: w czwórnasób liczniejsi od nas i w ludzach i w działach, stratę ludzi licząc za nic, nie zważając ni na trudność przystępu, ni na morderczy ogień nasz, coraz zbliżali się więcej. Ogień ich stawał się prędszym i coraz straszniejszym. Grad kul i granatów gwiż-

dząc bez ustanku około uszu, padał pomiędzy hufce nasze; nie pojmowałem, jak w porównaniu gęstości kul tych nie więcej ludzi padało. Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Przypominam sobie, że rozpalony granat padł w miejsce, gdzie naczelnik, Fiszer i ja staliśmy razem; pękł, i o pięćdziesiąt kroków od nas kanoniera trupem położył. Za większem zbliżeniem się nieprzyjaciela, z ręcznej strzelby gęsty z obu stron zaczął się ogień, okrywała się ziemia trupami, przerażały powietrze jęki ranionych i konających, żaden atoli z naszych nie opuścił miejsca, na którem walczyć zaczął. Już pobito konie od dział, już wypróżniono amunicyą, gdy pułkownik Krzycki nie mogąc dłużej utrzymać stojącego przez sześć godzin na jednem miejscu żołnierza, ruszył naprzód i przerwał stykające się dotąd z sobą szyki. Stał się roztwór, pobiegłem do Kościuszki, oznajmując mu, że nieprzyjacielska jazda, już do luki tej zbliża się w zawód, sam zbliżam się do szwadronu powstańców Brzeskich Lit., i zachęciwszy ich rzucam się naprzód, gdy kula z pistoletu przeszywa mi na wskroś rękę prawą powyżej łokcia, wypada mi oręż, krew leje się obficie, Boga atoli biorę na świadectwo, że widząc lejącą się krew moją, pierwszem uczuciem mojem był nie ból rany, lecz jakaś pycha, żem nią się broczył w obronie lubej ojczyzny mojej.

Lecz ta radość, ta patryotyczna pycha, ustąpiły wkrótce boleści, gdym ujrzał zupełną przegranę naszą. Oddział milicyi, którym prowadził, zszedł z pola. Wszędzie pomięszanie i nieład. — Już całe wojsko moskiewskie następowało i otaczało nas zewsząd; piechota nasza, acz przerzedzona, walczyła jednak, kłuła się z Moskalami, ustępując ku pałacowi, na dziedzińcu onego, na ganku, w piwnicach nawet. W pośród tej rzezi, naczelnik stara się zebrać resztę jazdy naszej, wtem koń zabity pada pod nim, poddają mu świeżego, odpieramy jeszcze na chwilę kozaków, lecz cała masa dragonów moskiewskich wpada na nas, oficer chwyta konia mego za cugle; raniony, bez oręża, dalej bronić się nie mogłem, stałem się jeńcem.

Oficer ten zaprowadził mnie do pobliskiego lasku i tam stał się mym szatnym; wziął mi naprzód zegarek i worek z pieniędzmi; zdejmując skrwawioną mą kurtkę, postrzegł piękny pierścień, antyk, na palcu moim, rzucił się nań chcąc go zdjąć, lecz ręka i palec, z przyczyny odniesionej rany, krwią nabiegłe, czyniły rzecz trudną. Oficer jął się do prędszego sposobu: włożył palec mój w gębę i chciał go wraz z pierścieniem odgryźć; czując już zęby jego: — Poczekaj, zawołałem, ja go sam zdejmę. Jakoż dobrze pośliniwszy ów palec, acz z ciężkością, zdjąłem pierścień i oddałem mu go; tu nic już nie mając do wzięcia, zdjąwszy mundur z zabitego żołnierza, narzucił go na mnie i puścił.

Coraz bardziej upływem krwi słabieć zacząłem. Przybiegali oficerowie moskiewscy na wszystkie strony, radojako to generałowie: Kniaziewicz, Sierakowski, Kamieński, brygadyer Kopeć. Łzy nam się puściły, gdyśmy spojrzeli na siebie. Generałowie moskiewscy byli następujący: Chruszczew, Tormansow, Denissow, Engelhard. Znali oni wszyscy familią moję i przyszli mię cieszyć i wielkie czynić oświadczenia.



Ogólny widok zamku w Korcu od strony południowo-wschodniej.
(patrz artykuł p. t.: „Książęta Koreccy i zamek ich w Korcu.“)

śnie barbarzyńskie krzyki nad zwycięstwem swojem wydając, a każdy z nich, łżąc mię grubiańskiemi słowy, kańczukiem po plecach okładał. Nie wiem, jak długo trwałoby to pastwienie, gdyby szczęściem nie przybył podpułkownik Tołstoj; ten zgromiwszy tych oprawców, wziął mię z sobą i do głównej kwatery poprowadził. Przejeżdżaliśmy przez całe pobojowisko. — Pobojowisko to całe było zasłane trupami obdartymi do naga. To krwawe śmierci widowisko miało coś wielkiego, w samej nawet okropności swojej. Ogromne te ciała po większej części z przebitemi bagnetem piersiami, silne ich członki zlane krwią już skrzepłą, z wyrazem jeszcze grozy lub rozpaczy na martwych ich twarzach, nadewszystko myśl, że waleczni ci ludzie polegli zasłaniając ojczyznę piersiami swemi, wszystko to napełniało duszę moją wrażeniami, które się nigdy nie zatrą.

Przybyliśmy nakoniec do najwyższego wodza, generała Fersena, już sześćdziesięcio-letniego starca. Przechodził się po dziedzińcu. Suchy, wysoki, zamiast munduru miał on suknie z felpy pąsowej, z małym złotym galonkiem, bez szpady, słowem, po cywilnemu jak tylko można, zwłaszcza w dzień bitwy.

Byłem mu przedstawiony i zaprowadzony do domu, który siedmią godzinami wprzódy służył nam za główną kwaterę. Izba napełnioną była generałami moskiewskimi i wielu naszymi, Nie jesteśmy barbarzyńcami, nie jesteśmy barbarzyńcami, powtarzali ustawnie. Usilność, z którą powtarzali to zapewnienie, dowodziła, jak własne ich sumienie przypominało im ustawnie, że byli nimi.

Bezstronność jednak wyznać mi każe, iż w tej chwili grzeczność ich dla nas może była nieudawaną; w chwilach powodzenia i radości złym nie jest człowiek. Wyszli oni szczęśliwie z krwawej i uporczywej walki, pozbyli się wodza powstania, z którym wojnę uważali za skończoną na zawsze. Zamiast trudów obozowych, niebezpieczeństw, śmierci, świetne nagrody, gwiazdy, wstęgi, krzyże, ruble, nadane włości, w pięknym orszaku tańcowały w ich głowach. Powtarzam więc, że w tych pierwszych chwilach radości, uważając nas jako narzędzia przyszłego ich szczęścia, nie mogli nas nienawidzić, ubiegania się ich w atencyach nie miały granic. — Oblany byłem krwią i nie opatrzony jeszcze. Pułkownicy Moronzow i Chlebow posłali natychmiast po cyrulików swoich; ci w tych chwilach, jak wnosić łatwo, aż nadto byli zatrudnieni, przyszli jednak, zgłębili mą ranę, kula przeszyła na wylot prawą mą rękę, w miejscu, gdzie zwykle krew puszczają, poprzerywawszy mniejsze żyły, nienaruszywszy kości. W pierwszem opatrywaniu nie czułem wielkiego bólu, nie przewidywałem, na jakie później wystawiony być miałem boleści.

Tymczasem główna kwatera coraz

się bardziej zaludniała; między przybywającymi ujrzeliśmy żonę i synowice generała Chruszczewa; przebierały się one przez plac bitwy; niemogliśmy się dość dziwić, z jaką zimną krwią i wesołością przekraczały one rozciągnięte nagie ciała pobitych, zawalające im przejście.

Okropniejsze nad wszystko czekało nas widowisko; właśnie gdy niespokojny pytam wszystkich, co się stało z Kościuszką, gdy Moskale powiadają mi, że poległ w boju, widzę żołnierzy dźwigających na noszach dużo skaleczonego człowieka, był to waleczny lecz nieszczęśliwy nasz naczelnik; krew oblewająca go całego, okropną czyniła sprzeczność z siniałą twarzy jego bladością. Kościuszko odniósł głębokie cięcie w głowę i dwie rany od dzidy powyżej bioder; zaledwie oddychał. Ścisnęło się serce moje, łzy puściły mi się z oczu, od tej chwili, aż do tej, w której stanąwszy w twierdzy Petersburskiej, zamknięci byliśmy osobno, nie opuściłem go i na moment. Zaniesiono go do sali na górę, chirurg opatrzył rany. Jam smutny usiadł przy nim, dwóch grenadyerów stanęło przy drzwiach. Ku zmierzchowi, że Fersen potrzebował tej sali na jadalną swą izbę, przeniesiono ranionego do dolnego pokoju nad samą piwnicą. Noc następująca po dniu tym nieszczęsnym, była najboleśniejszą dla mnie. Leżałem na słomie przy chorym, cierpiąc więcej na umyśle, niżeli na ciele. Tłum Moskali, napełniając dom, już się powoli rozchodził; już gasły światła, gdy gwar ten pomieszany wykrzykującej tłuszczy ustąpił jękom i wyrzekaniom ranionych i konających.



Książęta Koreccy
i zamek ich w Korcu.

(Dokończenie).

Fedor Bohdanowicz, syn Iwana Bohdana ks. Koreckiego był to człowiek wielkiego męstwa i wielkiej dumy. Dzielny wojownik i dobry gospodarz.

W swych posiadłościach podniósł dobrobyt. Wzbogacił miasto Korec, obwarował je silnie; mieszkańcom nadał najrozmaitsze przywileje. Zbudował cztery zamki warowne w swych włościach od najazdów tatarskich; w jednym z nich Czernigowskim bronił się przeciw pięćkroć większej sile tatarskiej, nakoniec położył 3 setki Tatarów i dwóch „mirz" ich, Hadzi-Gireja i Dzianibet-Odyla. Fedor Bohdanowicz odznaczył się w pogromie wołoskim z hetmanem Kamienieckim w r. 1510. Bił się dzielnie pod Orszą i Sokalem. Przeto król Zygmunt I oceniając jego zasługi, w r. 1520 nagradzając go za męstwo w obronie ojczyzny dobrami: Targowicami, Białobokami, Lichaczowicami. Również należał do świty króla Zymunta I. na zjeździe Maksymiliana cesarza i króla Władysława.

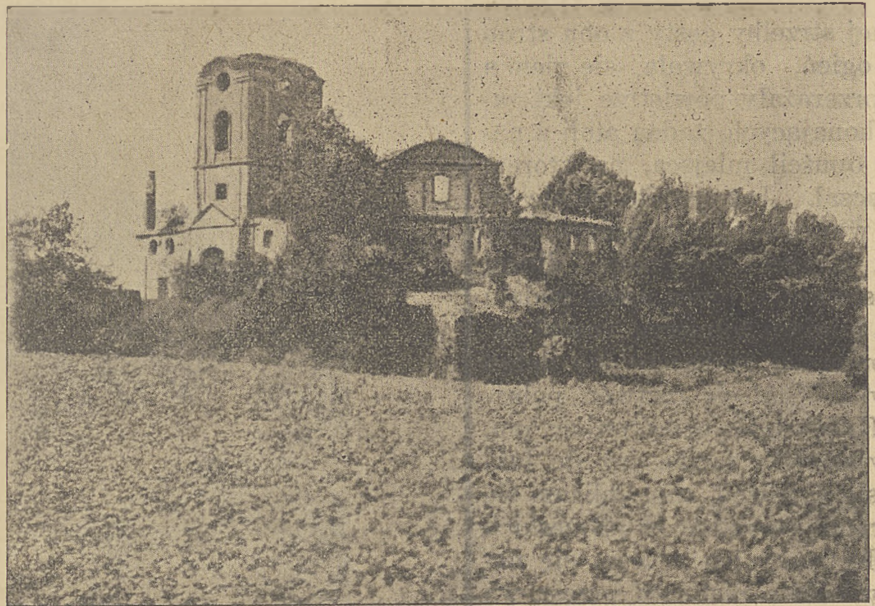
Pochowany Fedor Bohdanowicz w Łucku. Zostawił po sobie syna Bohusza (Bohdana) Fedorowicza, urodzonego z Anny kn. Żyżemskiej.

Bohusz (Bohdan) Federowicz, wojewoda wołyński, starosta łucki, żytomierski, winnicki, bracławski (te starostwa należały do niego prawem lennem. Akt. kar.) był to człowiek najbogatszy na Wołyniu, bardzo pobożny i spokojny. Za jego życia Tatarzy wpadli do Korca, zrabowali go i zamek korecki podpalili, a zabrawszy wielu mieszkańców do jasyru, opuścili brzegi Korczyka. Przekazał on znaczną sumę na budowę klasztoru pp. Bazylianek (fakt ten jest wątpliwy. Ob. Samuel Korecki). Umarł w r. 1576 i pochowany w kijowsiej Ławrze.

Był żonaty: 1-o z Anną Andrzejówną k-ną Sanguszkówną, z którą miał syna Joachima Bohuszewicza; 2-o z Maryną Bazylówną ze Szpanowa-Czaplic; z tą ostatnią miał syna Jana, który w dzieciństwie umarł.

Joachimowi Bohuszewiczowi po śmierci ojca dostał się zamek w najopłakańszym stanie, dlatego to — zrujnowany przez Tatarów ojcowski zamek zostawił, zmieniwszy go na horodyszcze, dla czasowego wstrzymania napadów nieprzyjacielskich, w mieście zaś Korcu na skale nad Korczykiem wzniósł bardzo warowny obronny zamek.

Zamek ten był murowany, z podziemnemi lochami, dla obrony w czasie napadu otoczony aż potrójnym murem. Przy nim kn. Joachim wystawił



Baszta z wjazdową bramą w Korcu od strony wschodniej.

„enfanelo" kamienne z podziemnemi lochami dla wziętych do niewoli nieprzyjaciół.

W roku 1597 kniaź Joachim Bohuszewicz przyłączył się do kościoła Rzymsko-Katolickiego. Był w Rzymie u Ojca świętego, Klemensa VIII. Po powrocie z Włoch, prawdopodobnie on wystawił przekazany przez Ojca w testamencie klasztór panien Bazylianek (fakt wątpliwy).

Pochowany w kaplicy swego koreckiego zamku w grobie wykutym w skale (Test. kn. J. K. Arch. Kor. fol. 146). W r. 1798, Antoni Grabowski zwiedzając zamek korecki, widział kamienną płytę, pod którą spoczywały zwłoki kniazia Joachima (Wsp. z Wołynia A. Gr. 1800).

Żonaty był z Anną hrabianką Chodkiewiczówną na Szkłowie. Zostawił po sobie liczne potomstwo, a mianowicie: córki: Zofię, przeoryszę koreckiego kościoła panien Bazylianek, pod imieniem Serafiny; Lawinię, która była wyszła za ks. Jana Radziwiłła; Annę 1-mo za Mikołajem Hlebowiczem, 2-o za Janem Zawiszą; Helenę 1-mo za hetmanem Maryanem Kalinowskim, 2-o za Henrykiem Morsztynem; Izabelę za ks. Mikołajem Czartoryskim. Synów: Samuela i Jana Karola.

Kn. Samuel Joahimowicz był żonaty z Katarzyną Mohylanką, córką Multańskiego hospodara Jeremiasza. Mohyły. Kn. Samuel był to człowiek bardzo wykształcony, wymowny, dziel-

ny wojownik. W roku 1616 przedsięwziął kn. Samuel wraz z Wiszniowieckim wyprawę na Multany, wyprawa ta się im nie powiodła. Samuel po walecznym oporze dostał się do niewoli i zaprowadzony do Stambułu, ztąd w roku 1618 umknął, a zwiedziwszy Włochy, powrócił do kraju.

dąc już o parę wiorst od zamku widzi kopułę i nowy krzyż. Zdziwiło go to bardzo; posyła gońca, ażeby się dowiedzieć, co to ma znaczyć. Goniec wraca i opowiada o czynie księżnej. Rozgniewany kniaź, że bez jego pozwolenia siostra rozporządza ziemią, wydaje w Korcu mandat, że „na jego wojowni-

wództwem Żókiewskiego i w nieszczęśliwej bitwie pod Cecorą popadł po raz drugi do niewoli.

Powiadają, że gdy sułtan kazał kn. Samuela udusić, kniaź otoczony przez oprawców, wyrwawszy nóż jednemu z nich, dwunastu trupem położył, lecz nareszcie wycieńczony na siłach, zo-



I. L. Gérôme. **W meczecie.**

Kiedy Samuel w roku 1617 dostał się do niewoli tureckiej, siostra jego Zofia bardzo kochając brata, na intencyę szczęśliwego powrotu jego do kraju, wzniosła w Korcu z własnych swych funduszy klasztor panien Bazylianek i sama została pierwszą w nim przeoryszą pod imieniem Serafiny.

Kn. Samuel wracając do Korca, będąc

czej ziemi nikt niema prawa stawiać Domów Bożych „okrom niego“.

W razie wojny albo napadu nieprzyjaciół, uważał miejsce zajęte przez klasztor pp. Bazylianek za próżne i strzelał z zamku w razie potrzeby w nie z armat (Arch. kor. fol. 19 r. 1619).

X. Samuel w roku 1620 walczył znowu przeciwko Turkom, pod do-

stał uduszony. Inni, opierając się na dokumentach twierdzą, że gdy X. Samuel zabił 12 oprawców, sułtan zmienił wyrok i kazał go na rynku w Stambule powiesić na haku za żebro, dla większych cierpień. Kn. Samuel z prawdziwem bohaterstwem spokojnie wisząc na haku, znosił cierpienie, gdy zaś oprawcy naigrawając się, zapytali go,

czyby czego nie żądał, odpowiedział — „dajcie mi lulkę" i tak z fajką w ustach ducha wyzionął. Ciało jego zostało wykupione, przywiezione do Korca i pochowane w kościele XX. Franciszkanów, który z bratem swym Karolem ufundował i połączył podziemnym lochem z zamkiem.

Kn. Samuel za rzeką od zamku na górze zbudował kaplicę (obecnie kościół parafialny) i założył „Mogiłki".

Zostawił córkę Annę, która była wyszła zamąż — za wojewodę derpskiego Andrzeja Leszczyńskiego. Ona to była ostatnią księżną korecką; umarła w roku 1639 i pochowana w Czartorysku.

Drugim synem Joachima był kniaź Jan-Karol, kasztelan wołyński. W czasie podróży morskiej do Holandyi, został pojmany przez Szwedów i pięć lat przesiedział w niewoli w Sztokholmie. Udało mu się nareszcie powrócić do Korca i tu wystawił 8 chorągwi na wyprawę chocimską. Następnie rozbił lisowczyków pod Tuczynem i Ujściem (obecnie własność p. Kazimierza Załęskiego).

Umarł w r. 1683 i został pochowany w kościele XX. Franciszkanów, który zbudował wraz z bratem Samuelem.

Był żonaty z Anną, hr. Potocką, z którą miał syna Samuela-Karola, starostę ralesztyńskiego. Ten był ostatnim z książąt koreckich, umarł w r. 1651. Był żonaty: 1-mo z Maryą z Borka Ligenzianką, skarbnikówną, 2-do z Zofią Opalińską, córką Piotra, wojewody poznańskiego.

Po wygaśnięciu rodziny książąt Koreckich w r. 1651, Korec przeszedł po kądzieli do ks. Czartoryskich, z których ks. Józef, stolnik w. lit. podniósł koreckie dobra i miasto: „oprócz poprawnego gospodarstwa rolnego", — pisze Dunin-Karwicki („Szkice obyczajowe i historyczne") — zaprowadził w owym czasie z prawdziwą korzyścią dla kraju, fabrykę sukienną i słynną fabrykę koreckiej porcelany, której okazy rywalizują dziś ze staremi wyrobami fabryki saskiej. Rynek miasta Korca zabudował się wówczas, z polecenia księcia, ładnemi murowanemi kamienicami, nadającemi miastu charakter miast niemieckich".

Obecnie miasto Korec wraz z ruinami zamku należy do hrabianki Pelagii Potockiej.

X. I. L.-a.



Swiętojózefacie.

Jeżeli kto, to bracia nasi na obczyźnie skazani są na to, by w każdej trudności pomagali *sobie sami*.

Już w przeszłym numerze daliśmy obrazek tego, jak to hasło *„samopomocy"* przyjęło się na obczyźnie — w lat 4 Zjednoczenie liczy 30 tysięcy członków.



Fot. St. Pierzkalski, Wattenscheid.
Komitet „Swiętojózefacia", pomocy naukowej dla synów braci naszych na obczyźnie w Westfalii i Nadrenii.
Franciszek Matysiak z Wattenscheid, prezes — **P. Nowacki** z Katernberg, sekretarz — **Józef Hayn** z Bochum, skarbnik.

Dziś poruszyć mamy inne pole tej „samopomocy". Chodzi tu o szczytne spełnienie zadania — wyrobienia sobie o własnych siłach inteligencyi z własnych funduszy, wykształcenia szeregu synów wychodźców, którzyby dzięki swojej nauce stać się mogli duchownymi kierownikami i doradcami braci swoich.

Pobudką do pracy w tym kierunku dał — brak opieki duchownej i tłomaczenie się władz biskupich, że brak im księży władających językiem polskim.

„Sami sobie księży wychowamy i wykształcimy" — takie powstało hasło, a skutkiem było to, że założono w Westfalii i Nadrenii Tow. św. Józefata, które miało zbierać składki na stypendya dla tych, którzyby uczęszczać chcieli do gimnazyów, aby poświęcić się stanowi kapłańskiemu.

Towarzystwo to później zasnęło, nie ustało jednakże zbieranie składek „na ubogich studentów". Składki zbierał p. Antoni Brejski, redaktor „Wiarusa Polskiego". Stypendya rozdzielała rada „Świętojózefacia".

Skutkiem nieporozumień oddał p. Brejski kasę ks. Dr. Lisowi z Prus Zachodnich jako założycielowi „Świętojózefacia".

Ks. Dr. Lisowi z Prus Z. oczywiście trudno było kierować tak doniosłą i ważną sprawą, skutkiem tego domagał się on utworzenia jakiejś stałej organizacyi, którejby sprawę stypendyów raz na zawsze powierzyć można.

Były dwa zdania: utworzenie albo Towarzystwa pomocy naukowej — albo komitetu „Świętojózefacia", któryby jak dotąd zbieraniem składek się zajmował. Ostatnie zdanie po dłuższych utarczkach przeważyło.

Zadaniem tego komitetu, który zachował dawną nazwę „Swiętojózefacia", będzie zbieranie składek na to, ażeby módz udzielać zapomóg młodzieńcom znajdującym się już to w gimnazyum, już to w seminaryach duchownych w Westfalii albo Nadrenii, już to wreszcie takim, którzy poświęcą się wyższym zawodom naukowym — medycynie, filozofii, prawu itp. Dotąd z pomocy Świętojózefacia wykształciło się 2 księży — kilku młodych ludzi odbywa studya uniwersyteckie — i kilkunastu młodszych uczęszcza do gimnazyów.

Z opisu tego wynika, że zadanie „Świętojózefacia" jest szczytne, cel godzien poparcia ze wszech miar, to też cieszyć się będziemy, gdy tych słów parę przyczyni się tak do rozszerzenia wiadomości o „Swiętojózefaciu" jak też do ofiar na jego cele.

Redakcya.



Złote listki.

Naród, chcący osiągnąć cel jakiś, musi zgodnie go pożądać. Mogą być odmiennemi drogi, prowadzące do tego celu, ale wzrok wszystkich musi być wytężony w jednym kierunku. Gdzie tego nie ma, tam o dojściu do celu mowy być nie może.

Panna Bronisława,

podoficer w I pułku jazdy sandomierskiej 1831 roku.

(Dokończenie).

Czyn, spełniony w oczach całego pułku, nie mógł pozostać bez nagrody. Pismęm, datowanem ze Swiedziebna 3-go października 1831 roku, zawiadomił szef sztabu głównego, że naczelny wódz siły zbrojnej nadał jej srebrny krzyż wojskowy, a jednocześnie z kadeta posunięto ją na stopień podoficera i przeniesiono do pierwszego pułku jazdy sandomierskiej. Na jakiej zasadzie p. Czarnowską nazwano podchorążym w napisie grobowym, p. Bersztein nie objaśnia.

Po Żubrowej i Kleczyńskiej była panna Czarnowska trzecią z rzędu Polką, którą zaszczycono chlubną odznaką krzyża *Virtuti militari*.

Gdy na ostatniej naradzie wojennej w Świedziebnie pod Rypinem postanowiono przejść granicę pruską, rozdano wszystkim wojskowym urzędowe dymisye. P. Bronisława otrzymała także podobne pismo, z podpisem pułkownika Kamińskiego. Dnia 5-go października korpus polski złożył broń w Brodnicy. W liczbie zrozpaczonych żołnierzy była również panna Czarnowska. „Był to widok rozpaczliwy i smutny — pisała później — żołnierze łamali swe pałasze i wołali całym głosem: „ach, sprzedali nas, sprzedali!‟ Pamięć tej bolesnej chwili zachował Wincenty Pol w Pieśniach Janusza:

Pod Brodnicą, jak woda,
Stoi wojsko na błoni,
Szkoda Polsko, oj szkoda,
Takiej dziatwy i broni.
Jak ją ludzie zobaczą,
To w Poznańskiem zapłaczą...



M. Wawrzeniecki. Cmentarz żydowski pod Krakowem.

Wiadomo, z jaką życzliwością, więcej, bo z entuzyazmem przyjęci byli polscy żołnierze w Prusach i w całych Niemczech. Jeżeli wzruszał Niemców widok mężnych wojowników, cóż dopiero odważnej Polki, której pierś zdobił krzyż wojskowej zasługi, na polu bitwy zdobyty! Ciekawym jenerał Wroniecki opowiadał historyę tego krzyża...

Zaczęli się do Brodnicy zjeżdżać nasi obywatele, bo w owym czasie okolica ta była jeszcze polską. Ci oczywiście z uniesieniem witali rodaków, którzy za ojczyznę walczyli. Mieszkający pod Golubiem pp. Jezierscy prosili ją, aby przyjęła w ich domu gościnność, zanim o dalszym swoim losie postanowienie jakie poweźmie. — Przybyła do ich domu odprowadzona przez siedmiu oficerów swego pułku, a rodzicielską otoczona opieką przepędziła rok cały u nich. Ale generał Wroniecki, dla którego za jego opiekę miała obowiązki wdzięczności, życzył sobie, aby zamieszkała u jego siostry, hr. Czapskiej w Wielkopolsce.

Po drodze okoliczności zatrzymały ją w Dąbrówce pod Brodnicą u pp. Pawłowskich, gdzie zatrzymała się przez kilka miesięcy i ścisłą przyjaźń z ich córką zawarła, poczem pod opieką posła (?) Chełmickiego udała się do hr. Czapskich. W domu tym możnym, na wielkiej stopie utrzymywanym, nie czuła się swobodną i odjechała po dniach kilku. Trafem dostała się do Karczewa pod Kiszkowem, pp. Bojarskich, gdzie pozostała aż do roku 1834. Dom to był gościnny i serdeczny i szczerze polski, chociaż pan domu był sędzią apelacyjnym w Berlinie (??).

W roku 1834 nagły rozkaz władz pruskich zawezwał wszystkich dawnych polskich wojskowych, aby niezwłocznie kraj opuścili. Dotknięta tym wyrokiem p. Czarnowska udała się do landrata w Gnieznie z prośbą, aby jej jako kobiecie na miejscu pozostać pozwolił.

— Ależ przecież nazywają panią: „panna porucznik“ — rzekł landrat. Daremnie tłomaczyła się, że nazwa taka pozostała jej od dawnych zaręczyn z porucznikiem. Nie pomogło nic, pozostać jej w Księstwie nadal nie pozwolono. P. Bojarska odwiozła ją sama do Kalisza. Na granicy urzędnik, widząc pruską marszrutę dla ekszołnierza, a kobiety, oczom swoim nie dowierzał i jeszcze trudności robił, zanim ją przepuścił.

W roku 1836 Bronisława Czarnowska poślubiła wdowca, Kazimierza Zakrzewskiego, właściciela majątku Żab, w powiecie błońskim. Owdowiawszy w roku 1841, wyszła w lat kilka potem zamąż powtórnie za Stanisława Żbikowskiego i nabyła równocześnie kamienicę „pod Lwem“ na Starem mieście w Warszawie, w której w roku 1868 straciła drugiego małżonka, a w roku 1891 sama życie zakończyła. To patryotyczne Stare miasto, znane z powieści Bolesławity, było widownią ostatnich lat życia i dobrych uczynków zacnej staruszki.

Patrząc na portret sędziwej matrony, o rysach łagodnych i dobrotliwych, niktby się nie domyślił w niej entuzyastki, która orężem, w słabą dłoń niewieścią ujętym, jako kawalerzysta broniła ojczyzny. W starości w pamiętniczku, skreślonym r. 1890, który p. Brensztejnowi po części służył za źródło do wspomnienia o niej napisała o sobie: „Ja sama, gdy się dziś zastanawiam, to nie pojmuję mojej odwagi. Ten entuzyazm był wyższym ponad wszystko. Ja tak kochałam ojczyznę, jakby samego Boga.“

Należała się jej nad otwartą mogiłą jako żołnierskie pożegnanie salwa wystrzałów, ale nie była wówczas pora na takie uczczenie jej pamięci...

Zbyteczną rzeczą dodawać, że nie kobiety rzeczą jest służyć wojskowo. Emilię Platerównę wsławił Mickiewicz wierszem swoim jako bohaterkę, ale wiemy ze współczesnych pamiętników, że była tylko osobą swoją zawadą w obozie. Nie zapominajmy, że w historyi Joanna d'Arc jest jedną jedyną, ale to była święta, od Boga natchniona, i ginąc na stosie jako męczennica, uniknęła parodyi późniejszej w życiu pospolitości.

Przykłady udziału płci słabej w walkach wojennych bierzemy jako dowód gorącego patryotyzmu, ale nie jako przykład do naśladowania. Ideałami naszemi czasu wojny są: Emilia Sczaniecka i Klaudya Potocka, a czasu pokoju zacne żony i matki, jakiemi były p. Czarnowska i p. Pustowojtów (później doktorowa Lewenhardowa w Paryżu), po swem zamążpójściu. Więcej potrzebne są dla nas Marye i Marty, aniżeli Judyty i Grażyny.



Żelazo i stal teraz i dawniej.

(Dokończenie.)

Historya żelaza jest bardzo stara. Najważniejszego materyału do niej, oprócz źródeł pisanych, dostarczają wykopaliska archeologiczne. Te ostatnie jednak w porównaniu z wykopaliskami bronzowymi, są dość rzadkie. Jest to skutkiem dwóch przyczyn; po pierwsze w czasach przedhistorycznych wogóle mało używano żelaza, powtóre, przedmioty żelazne ulegając łatwo rdzawieniu i psuciu się, przechowywały się z trudnością i tylko w osobliwych warunkach. Najstarszym znanym dotychczas przedmiotem żelaznym jest kawał dłuta, znajdujący się obecnie w muzeum brytyjskiem w Londynie, a znaleziony przez Anglika Hilla przy rozbijaniu jednej części fundamentów piramidy Cheopsa w fudze kamiennej, która uchroniła go od zardzawienia i następnego zwietrzenia. Dłuto to ma przeszło 5.000 lat. O wiele młodszą jest kosa. którą znalazł Beuroni pod jednym z sfinksów w Karnaku. Wiek jej obliczają na 2 800 lat. W Azyi znaleziono starożytne przedmioty żelazne w grobach staroturańskich. Na słynnym placu pod ruinami Chorsabadu odkryto niedawno wielki skład żelaziwa, ważącego przeszło 160 000 kilogramów. Najwięcej było tam ogromnych pierścieni, łańcuchów itp. W Nimrudzie znalazł Layrd wiele żelaznych zbroi, hełmów, dzid, sztyletów itp.

Bardzo ciekawym a zarazem zagadkowym przedmiotem żelaznym jest tak zwany „Lacht“, albo „Strzała z Dehli“, słup masywnego kutego żelaza wysoki na 16 metrów, a pół metra mierzący w średnicy. Powierzchnia tego zabytku, który Indowie czczą jako święty, pokryta jest licznymi napisami sanskryckimi, wieku jednak zagadkowego słupa nie można z nich oznaczyć. Inne duże przedmioty z kutego żelaza znajdowano w rozmaitych staroindyjskich świątyniach, głównie w formie trawersów, klamer, spoideł i podpór.

Najstarszymi europejskimi przedmiotami żelaznymi są ostrza dzid, wiązadła do namiotów, które w roku 1853 odkrył hrabia Gorzadini w grobach etruskich koło Bolonii. Pochodzą one z dziewiątego lub dziesiątego wieku przed Chrystusem. Inne etruskie przedmioty żelazne znaleziono w roku 1823 w Corneto. Należy tutaj starożytny rynsztunek żelazny i kilkanaście bardzo zardzewiałych dzid do ciskania.

Powracając do właściwej historyi żelaza, należy pamiętać, że wytapianie tego metalu z rud jest w pierwotnej swej formie bardzo proste, i że ten proces metalurgiczny zupełnie samodzielnie odkryło wiele plemion murzyńskich, które też do dzisiaj, zupełnie bez współdziałania cywilizowanych przybyszów, wyrabiają doskonale kute żelazo przy pomocy niesłychanie prymitywnych środków.

O rozpowszechnieniu żelaza wśród starożytnych Egipcyan, oprócz wyliczonych już wykopalisk, świadczą nadto napisy z czasów Turthuwzisa III na ścianach świątyń w Karnaku i Luksorze, w których wspomina się o naczyniach napełnionych żelazem, jako o wojennej zdobyczy. Bardzo subtelne płaskorzeźby staroegipskie wykonywane w tak twardych kamieniach, jak granit, porfir, bazalt i innych, świadczą, że starożytnym Egipcyanom nie była obcą także i stal. W każdym razie jednak Egipcyanie musieli żelazo sprowadzać z Azyi, ponieważ u siebie rudy żelaznej mieli nie wiele i w lichym gatunku.

Ludy azyatyckie znały żelazo na długo przed rozpoczęciem historycznej epoki. O wykopaliskach w staroturańskich grobach wspominaliśmy już. Z najstarszych kronik chińskich okazuje się dowodnie, że pramieszkańcy dzisiejszych Chin znali dokładnie użyteczność żelaza, wyrabiając zeń broń i sprzęty domowego użytku. Z licznych ustępów Pisma świętego Starego Testamentu, wynika, że także żydzi posługiwali się żelazem. Pieśni Rigvedy, pochodzące z czasów, kiedy Aryjczycy zamieszkiwali jeszcze kraj Pięciu rzek, wspominają często o żelaznej broni (Indra miał grot piorunu i dzidę żelazną). Starzy Aryjczycy przekazali znajomość żelaza Babilończykom, Asyryjczykom, Medom i Persom. Z napisów, pochodzących od tych ostatnich, dowiadujemy się, że używali żelaza także w budowlach pałaców, robili z niego wozy itp. Quintus Cortius wspomina o stali indyjskiej opowiadając, że zwyciężony Porus darował Aleksandrowi Wielkiemu 15 kilogramów ważącą bryłę stali indyjskiej.

Do Europy, a przedewszystkiem do

Grecyi przenieśli fabrykacyę żelaza z Azyi, Fenicyanie. Iliada często wspomina już o przedmiotach żelaznych, jako strzale, którą Pandaros rzucił na Menelausa, o osi wspaniałego wozu Hery, o żelaznych dyskosach, łopatach i nożach.

Fabrykacyę żelaza opisuje Arystoteles w ten sposób, że najpierw wytapiano żelazo, z rudy a następnie podobnie, jak dzisiaj jeszcze, przetapiano je na żelazo kute. W rzymskiej literaturze nie przechowały się żadne wspomnienia o tym przedmiocie. Zdaje się, że ani Grecy, ani Rzymianie, nie znali odlewów żelaznych zupełnie, podczas kiedy Chińczycy posiadali już lejarnie żelaza na 700 lat przed Chrystusem. — Gutzlaff wspomina o wysokiej na 13 metrów pagodzie z lanego żelaza, pochodzącej z owych czasów.

Pierwotnie wyrabiano żelazo kute wprost z rudy, metodą t. zw. pospieszną, do dzisiaj jeszcze, jak wyżej wspominaliśmy, nie zarzuconą zupełnie. — Agricola ojciec metalurgii w dwunastu swoich księgach „de re metallica" nie wspomina wcale o lanem żelazie, natomiast powiada, że do wyrobu stali używa się roztopionego zupełnie żelaza.

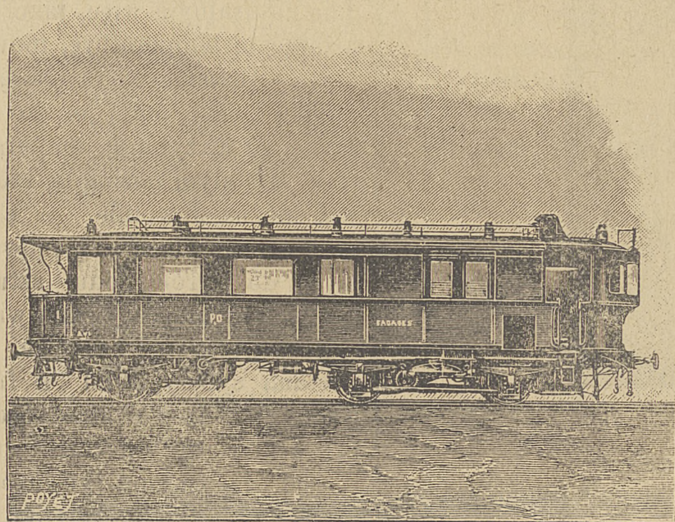
Wieki średnie nie przyczyniły się niczem prawie do udoskonalenia fabrykacyi żelaza. Wyrabiano je sposobem starożytnym przez wytapianie w piecach wysokich, systemem warstwowym. Dopiero wiek ośmnasty przyniósł w tej dziedzinie wiele zmian. Przedewszystkiem w Anglii z powodu gwałtownego zmniejszania się lasów, zaczęto używać koksu do wytapiania żelaza. — Pierwszy piec koksowy w roku 1735 zbudował Darby w Coalbrookdal w Shopshire. Na kontynencie pojawiły się piece koksowe, najpierw w Gliwicach w r. 1796, następnie w Seraneg w roku 1834. W roku 1784 Cort i Parnell opatentowali swój wynalazek pieca opalanego węglami kamiennymi, który jednakże po raz pierwszy puszczono w życie dopiero w roku 1835 w Karyntyi. Wynalazek zegarmistrza Benjamina Huntzmanna, który w r. 1750 przez przetapianie stali cementowej otrzymał zbitą stal laną, stanowi w fabrykacyi stali epokę. Naśladując ten wynalazek założył Fryderyk Krupp swoją słynną fabrykę w Essen w roku 1810, a syn jego udoskonalił fabrykacyę do tego stopnia, że ku powszechnemu zdziwieniu wysłał na wystawę londyńską w roku 1862 blok stali lanej, ważący dwadzieścia jeden tysięcy kilogramów. W roku 1887 sporządzono w Essen rurę działową, ważącą 140 000 kilogramów. Wynalazek Bessemera z roku 1853 upraszczając niesłychanie fabrykacyę stali, wpłynął na zniżenie jej ceny, a Anglik Thomas, któremu w roku 1879 poszczęściło się wynalezienie sposobu odfosforyzowania płynnej stali w gruszce bessemerowskiej, umożliwił wyrób stali lanej także z rud zawierających fosfor. Dzięki temu, stal nasza potaniała tak, że w ostatnich czasach, wyrugowuje ona coraz bardziej żelazo szwajsowane przy budowie okrętów, mostów itp. *K.*



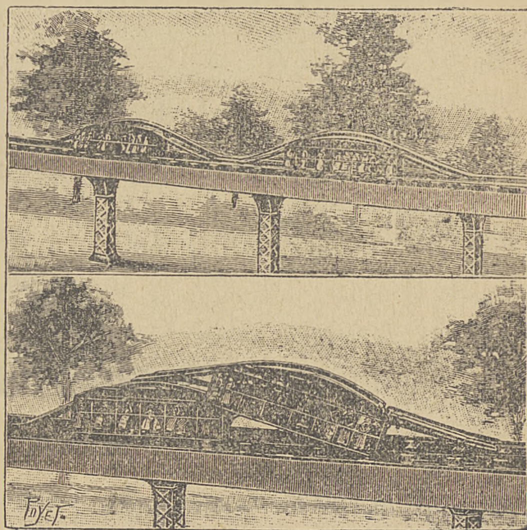
Z dziedziny wiedzy
i zastosowań praktycznych.

Wagon samojazd. — Sensacyjny pomysł inżyniera amerykańskiego. — Chłodnie sztuczne we Francyi — Zużytkowanie gazu naturalnego w Anglii.

Automobilizm, rozwijający się z zadziwiającą szybkością na Zachodzie Europy, a powiedzmy nawiasem, pożerający dziesiątki ofiar w ludziach, nie pozostał bez wpływu na zmianę pewnych urządzeń kolejowych, zwłaszcza tam, gdzie, jak we Francyi, wszystkie nowości znajdują rychłe zastosowanie, nie bacząc na to, czy wogóle okażą się one praktycznemi, odpowiadając swemu założeniu. Tak też rzecz się ma i z wagonami-samojazdami, które zarząd drogi żelaznej Orleańskiej wprowadził na linii z Treche do Sable. Rysunek załączony daje pojęcie o takim wagonie-samojeździe. Jest to długi na 13 metrów (22 łokcie) wagon, przypominający swym wyglądem kuryerskie wagony pierwszej klasy. Wagon składa się z dwóch części: tylnej, przeznaczonej dla pasażerów i urządzonej zbytkownie, i z przedniej, zawierającej przedział pocztowy, bagażowy, oraz na samym przodzie kocioł wraz z paleniskiem i innemi niezbędnemi urządzeniami. Wagon - samojazd jest poruszany siłą pary. Mechanizm poruszający (silnica) jest umieszczony pod przednią częścią wagonu-samojazdu. Korba a właściwie mówiąc system korb, poruszających dwie pary kół przednich, jest prawie niewidoczną dla widza. Zbiornik wody znajduje się przy trzeciej parze kół tylnych. Średnica kół przekracza metr, jest przeto bardzo znaczna. Waga oryginalnego wagonu-samojazdu przy pełnym ładunku wraz z pasażerami i bagażem wynosi 28,500 kilogramów (około 1,000 pudów). Szybkość, jaką rozwinąć może silnica, dosięga 75 kilometrów na godzinę. Trudno ręczyć, czy wogóle podobne wagony-samojazdy na kolejach normalnych znajdą stałe zastosowanie ze względu na poważny koszt w stosunku do pożytku, że jednakże mogą one oddać usługę tam, gdzie chodzi o natychmiastowe wyprawienie pociągu nadzwyczajnego (ratunkowego), o tem wątpić nie należy.



Wagon samojazd.



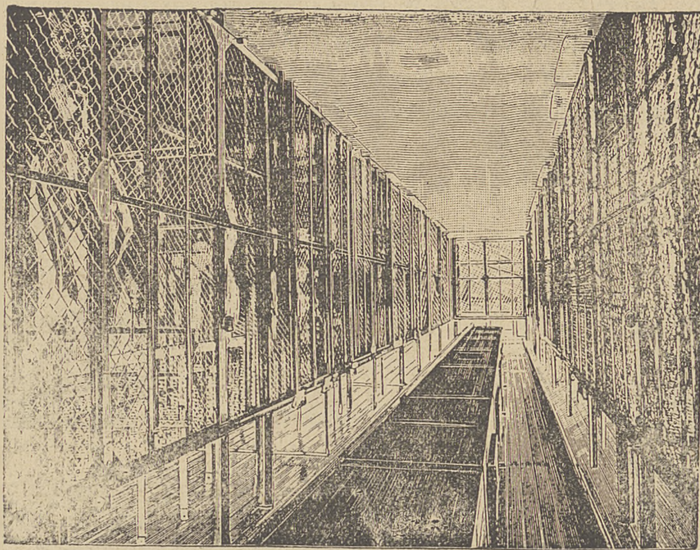
Sztuczne spotkanie tramwajów.

Inżynierowie amerykańscy popro-

stu wysilają się na sensacyjne pomysły. Był czas, gdy ekscentryczni yankesi urządzali sztuczne spotkania dwóch wyranżerowanych parowozów, puszczając je po jednej linii naprzeciw siebie. Naturalnie maszyniści puściwszy w ruch parowozy, zeskakiwali z nich. Tłumy publiczności przypatrywały się zwykle podobnemu widowisku, a bywały wypadki, że pękające kotły parowozów swemi odłamkami sprawiały wcale niepożądaną sensacyę, raniąc obecnych, a chciwych niezwykłego widoku obywateli wolnego państwa. Lecz spotkania te odbywały się bez udziału ludzi. Obecnie inżynier amerykański Stern z Nowego Jorku obmyślił spotkanie, wprawdzie nie pociągów, ani parowozów, ale za to tramwajów elektrycznych, napełnionych po brzegi pasażerami. Po moście, stanowiącym koło zamknięte, na torze pojedynczym krążą dwa tramwaje w dwie przeciwne strony, jednakże spotkać się muszą. Tramwaje toczą się z szybkością dwudziestu paru wiorst na godzinę, a każdy z nich, jak to widać na rysunku, dźwiga na sobie tej samej szerokości tor, co tor, po którym się oba toczą. Końce szyn toru prowizorycznego, przymocowanego do powierzchni tramwaju stykają się prawie z torem stałym, tak, że w chwili spotkania stanowią przedłużenie toru stałego, jakby podnoszącego się w górę. Na to właśnie przedłużenie wjeżdża nadbiegający z przeciwnej strony tramwaj. Sensacya polega więc głównie na tem, ażeby dać jadącym przedsmak tego napięcia nerwów, tego uczucia przestrachu, któremu podlegają ofiary katastrof kolejowych. Że na pomysłowego yankesa spadnie deszcz dolarów od żądnych silnych, wstrząsających nerwy wrażeń współobywateli, to rzecz prawie pewna, że jednakże ludzkość nic na tem nie skorzysta to także wątpliwości nie ulega.

* * *

Dużo się mówi u nas i pisze o chłodniach sztucznych, które posiadają między innemi miasta Dijon i Lyon we Francyi. Rysunek załączony przedstawia wnętrze takiej chłodni sztucznej, oświetlonej elektrycznością i podzielonej na cały szereg przegród okratowanych i przewiewnych. Są one ponumerowane. Rzeźnicy miejscowi chętnie je odnajmują w celu przechowania mięsa podczas pory letniej. Temperaturę w chłodnicach obniżają specyalne maszyny oziębiająco-wentylujące, których, jak w lyońskiej instalacyi, jest trzy; z tych każda rozwinąć może 130 tysięcy frygoryj ¹) (zimnostek) na godzinę, — wywołujących taki w przybliżeniu efekt, jak 1200 kilogramów lodu. Zwykle czynne są na zmianę tylko dwie maszyny, trzecia służy na wypadek, gdyby jedna z nich uległa zepsuciu.



Wnętrze sztucznej chłodni.

Instalacye powyższe, zwłaszcza lyońska, należą do najpierwszych w Europie. Chłodnie sztuczne oddają olbrzymie usługi na południu Europy, gdzie lata są gorące, tak, że mięso szybko ulega rozkładowi i wogóle tam, gdzie zim śnieżnych wcale niema, o lodzie naturalnym więc, jako środku obniżającym temperaturę, mowy być nie może. Instalacye oziębiające, chłodniami zwane, mają jeszcze i tę ważną zaletę, że utrzymują temperaturę niżej zera na stałym poziomie, który regulować można dowolnie. W chłodnie tego rodzaju, właściwiej mówiąc, w maszyny do wyrobu lodu sztucznego, są już dzisiaj zaopatrywane większe okręty transportowe i osobowe. Pomiędzy portami syberyjskimi a francuskimi wkrótce wprowadzone będą okręty przewozowe ze stucznemi chłodniami w celu przewożenia ryb mrożonych syberyjskich, tak, że Paryżanie w niedalekiej przeszłości będą spożywać ryby, pochodzące z rzek syberyjskich.

* * *

Są miejscowości, gdzie, jak w Pittsburgu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, z głębi ziemi wydobywa się gaz palny, który nietylko służy do oświetlania i ogrzewania, lecz i do poruszania silnie (motorów) w całem mieście i poblizkiej okolicy. Będąc produktem naturalnym, jest jednocze-

*) Jednostka zimna, wyrażająca się obniżaniem temperatury jednego kilogramu masy na 1° C. niżej zera.



Stacya Heathfield w Anglii. Zbiornik gazu naturalnego.

śnie tanim i dostępnym, co pozwala na jego wielkie rozpowszechnienie i zużytkowanie, które w roku 1901 oceniono na 27 milionów dolarów (około 52 milionów rubli). W roku 1897 na małej stacyjce kolejowej Heatfield w Anglii, wiercąc studnię natrafiono wprawdzie na wodę, lecz jednocześnie z otworu z wielką siłą zaczął się wydobywać gaz, który po bliższem zbadaniu okazał się gazem bardzo zbliżonym do gazu oświetlającego. Wkrótce też utworzyło się Towarzystwo w celu zużytkowania naturalnego bogactwa ziemi w tej miejscowości i mała, cicha wioska angielska stała się wkrótce bogatą, ruchliwą osadą fabryczną, oświetlaną i ogrzewaną gazem naturalnym. Rysunek przedstawia stacyę Heatfield wraz z gazownią i zbiornikiem, widocznym zdala poza wiaduktem. Ziemia, ta prawdziwa karmicielka nasza, posiada jeszcze niewyczerpane, a nieznane, we wnętrzu swem ukryte bogactwa, które często bardzo prosty przypadek pozwala odkryć i zużytkować.



Moc nasza.

Moc nasza — ogromna,
Niezgięta — niezłomna...
Wszak widzim przez tyle lat,
Chcą zgnieść nas i złamać,
Chcą skruszyć — okłamać,
Że dla nas zamknięty świat,
A jednak my trwamy,
Zniszczyć się nie damy,
W słoneczny patrzymy świt,
Bo moc w nas ogromna,
I wiara niezłomna,
Że krzywdy umilknie zgrzyt....

* * *

Moc nasza ogromna,
Niezgięta — niezłomna
W tem właśnie, że wierzym w nasz byt,
Że lęk nam nie znany
A choć bolą rany
Wytrwale idziemy w słońc świt.
W tem nasza moc trwała,
Że nas nie zalała
Obczyzna, falami swych mórz.
Pod carem, wśród jęku,
Wśród zbrodni rozdźwięku
Nie giniem jak kłosy wśród burz...
Bo silni my wielce
Pijąc po kropelce
Sączonych goryczy z tej krwi....

* * *

Moc nasza ogromna,
Niezgięta — niezłomna
Nie w sile oręża wszak trwa,
Lecz w sercu się kryje,
Z wspomnień zdroju pije
I bolem męczeństwa wciąż łka...
I na czołach dzieci
Gwiazdą chwały świeci,
Gdy walczą o pacierz, o krzyż.
Z serc matek wciąż spływa
Mową — pieśnią — żywa
I wiedzie wciąż dalej i w zwyż,
I na chaty progu,
W polu na rozłogu
I w pracy wśród ciężkich dni.
Moc nasza — ogromna
Niezgięta — niezłomna
Nadzieją i wiarą wciąż lśni.
Nie zdepcą — nie złamią
Choć grożą i kłamią,
Że w proch nas zetrze ich dłoń...
Idziemy — bez lęku,
Bez skargi i jęku
I wyżej wznosimy skroń.

Iskra.



O straceniu razem 14 mniemanych czarownic w drugiej połowie 18-go wieku.

Relacya naocznego świadka.

(Ciąg dalszy).

Gdy ten stós już był wystawiony, sprowadził dziedzic dwóch katów, trzech sędziów z Grabowa, (gdyż wtenczas każde niemal miasteczko miało prawo miecza), i trzech księży zakonników, dla dysponowania skazanych na śmierć czarownic.

Blisko spichrza, był dom, kopcem zwany, naokoło oblany wodą: mieszkał w nim podstarości. Syn jego, przyszedłszy po południu do szkoły, powiedział mi, że ojciec jutro musi się wyprowadzić ze swego mieszkania, gdyż tam będą w nocy na torturach czarownice ciągnąć; dodając, że nikt przytomnym być nie może, prócz sędziów i katów. Całą noc spać nie mogłem, przemyślając, jakby się tam dostać. Nazajutrz wstawszy rano, zjadłem śniadanie, wziąłem ukradkiem w kieszeń kawał chleba z masłem, elementarz pod rękę, udając, że idę do szkoły; a ja pobiegłem prosto na kopiec, gdzie już rzeczy podstarościego wynoszono. Gdy już nikogo w domu nie było, wszedłem do izby, i ulokowałem się na przypiecku, zkąd nie będąc widziany, mogłem się dokładnie wszystkiemu przypatrzyć. Przyszedł podstarości i dwóch ludzi, ci uprzątnęli, a potem wyszedłszy zamknęli izbę. Będąc sam jeden, jużem ze strachu chciał wołać oknem, aby mnie wypuszczono ale chęć widzenia nowości przemogła. Było to przed południem: z nudów i bojaźni usnąłem. Musiałem spać dosyć długo; bo gdym się obudził, już słońce zachodziło: spojrzawszy na izbę, zobaczyłem stół pod oknem, trzy stołki, na stole papier, pióra i kałamarz, lichtarze z świecami, butel wódki i kilka kieliszków. Nie długo potem czterech ludzi przyniosło na noszach kloc wielki, z żelaznym pałąkiem. Wszedł za nimi kat, zaczął laską w suficie w jednę deskę pukać, poczem zaraz usłyszałem mocny huk na górze; wyrąbano znaczny otwór, spuszczono nim koło małe od woza, u którego wisiały dwa powrozy. Po zachodzie słońca, weszło dwóch ludzi: jeden przyniósł kilka kawałków tarcic, drugi świecę zapaloną. Temi tarcicami zabito okna, świece na stole zapalono: weszli sędziowie; usiedli na stołkach, a posiliwszy się gorzałką, kazali przyprowadzić czarownicę. Wyszedł kat, i nie długo czterej pomocnicy na tychże samych noszach przynieśli kobietę. Tutaj jeden sędzia zaczął się pytać, lecz o co? nie wiem, gdyż już byłem ze strachu na pół umarły. Miała ona nogi i ręce wtył związane. Z rozkazu sędziego obnażyli ją zupełnie, postawili na owym pniu: trzymali ją oprawcy, gdyż dla słabości sama stać nie mogła: nogi pod pałąk podłożywszy, powrozem przymocowali. Do rąk wtył skrępowanych przywiązano powróz od koła wiszący, na plecy włożono szpągę, podobną do grabi z żelaznemi zębami, które w ciało wchodziły; tę przytwierdzono także cienkiemi powrozami na krzyż przez piersi opasanemi, a ich końce z tyłu do owych od koła powrozów przywiązali. Gdy to okropne przygotowanie skończono, sędzia znowu jej zadawał pytania. Czy odpowiedziała co lub nie, także już tego nie pamiętam. W tem kat zawołał na oprawców na górze będących: obracaj koło! Powrozy obwijały się około walca, ręce wtył unoszone, pociągały za sobą owe postronki od żelaznych grabi, których zęby wchodziły w plecy. Krew się zaczęła dobywać; kości w ramionach trzeszczeć, kobieta okropnie jękła! Ja przerażony nigdy nie widzianą męczarnią, krzyknąłem ze strachu na przypiecku. Łatwo sobie wystawisz, łaskawy czytelniku, w jakiem byłem położeniu, gdy mnie dwaj oprawcy zaczęli szukać, a znalazłszy, ściągnęli z przypiecka: myślałem, że mnie na śmierć prowadzą. Wziąwszy mnie na barki, wynieśli z izby dosyć daleko od tego domu, i położyli na ziemi. Więcej może jak godzinę odpoczywałem na tem miejscu z przelęknienia, niżem przyszedł do sił. Gdym już późno w noc powrócił, rodzice moi jeszcze nie spali, i byli o mnie w największej niespokojności, nie wiedząc, gdziem się podział. Opowiedziałem im, com widział: odstąpił ich przesąd, a matka rzewnie zapłakała. Tym sposobem wszystkie kobiety na tortury brano i

męczono: nazajutrz po tych mękach trzy z nich umarły, żywych zostało się jedenaście. Dziedzic pełniący urząd wielkiego inkwizytora, przyspieszając eksekucyę, przysposobił czterech fornali w drabiach, jakich podczas żniw używają. Po południu może o godzinie trzeciej te fornalki zajechały przed spichrz, i na te wozy pakowano kobiety w beczkach: na trzy wozy żywe, a na czwarty umarłe także w beczkach. Na każdym wozie przy żywych siedział ksiądz zakonnik, odprowadzając je aż na plac eksekucyi. Tu oprawcy wydobywali z beczki skrępowane kobiety, uchwyciwszy pod pachy wciągali po drabinach na stos, na którym stał już kat jeden z czterema pomocnikami: ci odebrawszy kobietę, kładli ją twarzą ku ziemi, i klockami wyżej opisanemi przyciskali kark i nogi: poczem owemi beczkami stos obstawili. Trzem kobietom zmarłym na klocku głowy poucinano, a potem w jednym dole już na to wykopanym ciała ich wraz z głowami złożono.

Stało wiele ludzi z pochodniami, przeznaczonych do zapalenia stosu: sędziowie byli także przytomni, ale już bez flaszki. Jeden z nich zawołał: zapalaj pochodnie! Co gdy nastąpiło, kaci ustawili owych ludzi z pochodniami około stosu. Sędzia krzyknął straszliwym głosem: pal, i wkrótce stos cały stanął w płomieniach. Tu kat jeden przyniósł w chustce jakieś słojki drewniane, i kilka książek, i wrzucał w ogień. Gdy dym zaczął dusić, słychać było jęk niewinnych ofiar, jak z pod ziemi podnoszący się ku obłokom. Zgromadzony lud, którego było do kilku tysięcy, wtenczas dopiero pobudzony do litości, zaczął się oburzać na dziedzica, przytomnego na koniu; ten widząc zżymanie się i pogróżki tłumu, spiesznie się oddalił. Stos całą noc się palił. Poczem dopiero zmarłych 3 kobiet ciała przysypano ziemią.

Nie daleko tego miejsca stały trzy słupy, wkopane w ziemię, z żelaznemi obręczami. Po trzech kobietach umęczonych pozostały trzy córki, około 15 lub 16 lat mające. Te także następującej nocy po spaleniu ich matek, na plac eksekucyi zaprowadzono: tam sędzia przeczytawszy im dekret: „że będąc córkami czarownic, musiały się już nauczyć tej djabelskiej sztuki, i dusze swe czartom zapisać; aby się więc wyrzekły wspólnictwa z djabłami, mają być u słupów rózgami smagane.“ Poczem oprawcy obnażyli je po pas, każdą przywiązali do osobnego słupa, ręce i nogi do owych obręczy, i tak je po gołych plecach rózgami bito. Jedna z nich w kilka dni potem umarła. Wuj mój powrócił z Warszawy, lecz niestety! zapóźno: już było po eksekucyi.

(Dokończenie nastąpi).





F. Eisenhut. **Wróżka.**

Nagroda dzielności.

Przed kilku laty, w jesieni, rozległ się w pewnej wiosce rybackiej w Holandyi strzał armatni. Był to znak, wzywający wszystkich mieszkańców na ratunek tonących. I nikt nie dał czekać na siebie, wszyscy biegli spiesznie na wybrzeże, bo co dziś spotykało kogoś obcego, to jutro mogło spotkać każdego z nich, dlatego nikt nie chciał być ostatnim w ratowaniu nieszczęśliwych. Gdy przybyli na miejsce wypadku, okazało się, że jakiś statek kupiecki blizkim był zatonięcia. Kilku majtków, znajdujących się tam jeszcze, stało bezradnych na pokładzie; maszyny były uszkodzone, łódek nie mieli, bo pewnie burza je zniszczyła, więc stali z opuszczonemi rękami, czekając albo ratunku albo, — śmierci.

Burza szalała z całą gwałtownością, pomimo to nie można było się długo namyślać. Ośmiu najsilniejszych rybaków przygotowało szybko łódź ra-

tunkową, i po ciężkiej, zaciętej walce z olbrzymiemi falami, udało im się ocalić rozbitków. Ale jeden z nieszczęśliwych pozostał na statku.

Uczepiony u najwyższego masztu, oplątany linami, zesztywniały z zimna, nie mógł już zejść o własnej sile, gdy innych rybacy ratowali. Czółno było już tak przeładowane, burza wzmagała się z każdą chwilą, chodziło więc o każdą sekundę, jeżeli wszyscy nie mieli marnie zginąć! Z bólem serca odbili rybacy od tonącego okrętu — ten jeden biedak musiał umrzeć!

— Szkoda, że niema Piotra, — rzekł Swen, jeden z rybaków, — on jeszczeby i tego ocalił! On jest taki odważny!

— Może już wrócił — dodał drugi.

I rzeczywiście, gdy przypłynęli do brzegu, ujrzeli stojącego na skale młodego, pięknego rybaka, o jasnem spojrzeniu i szczerej, swobodnej twarzy.

— Witajcie, — zawołał, pomagając przyciągnąć łódź — wszyscy ocaleni?

— Nie, — odpowiedział Swen, — jeden nieszczęśliwy został na okręcie. Nie można go było zabrać!

— W takim razie jadę po niego! — krzyknął Piotr. — Kto mi będzie towarzyszył?

Ale nikt mu na to nie odpowiedział. Rybacy byli zmęczeni i nie chcieli po raz drugi odbywać tej niebezpiecznej wycieczki, nikt więc nie ofiarował Piotrowi swojej pomocy.

— Jadę sam!

Za chwilę, wysmukły, silny i zręczny Piotr stał już w czółnie i podniósł wiosło. Ale wtedy rzuciła się ku niemu matka jego, stara, biedna kobieta, której jedyną był podporą i którą kochał bardzo.

— Nie jedź — prosiła syna ze łzami, — pamiętaj, że ojciec twój pojechał raz też tak, jak ty, i nie wrócił więcej! I brat twój Jende...

Jende był młodszym bratem Piotra. Udał się przed kilku laty na morze i dotąd żadnej o nim nie było wieści.

— Muszę jechać, matko, sumienie mi każe ratować bliźniego! odrzekł Piotr stanowczo.

— Synu mój! Miej litość nademną! Wszakże oprócz ciebie nie mam nikogo na świecie!

— Może ten nieszczęśliwy tam ma też matkę, — odrzekł.

Na te słowa umilkła stara rybaczka. Ale trzech rybaków wskoczyło do łodzi Piotra — nie chcieli się bowiem dać zawstydzić najmłodszemu z nich.

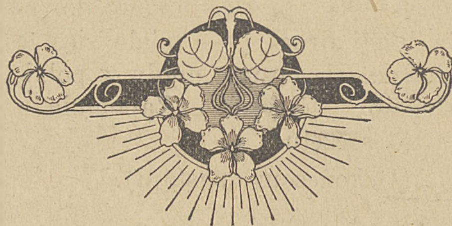
Statek tymczasem tonął coraz więcej i trudno było dostać się do niego. Piotr sam wszedł na maszty, rozplątał liny i z narażeniem własnego życia przeniósł do łodzi na wpół martwego majtka.

Gdy czółno szczęśliwie przybiło do brzegu wyskoczył najpierwszy Piotr na ląd i rzucając się w objęcia matki, zawołał:

— Matko! Przywiozłem ci syna! Tym, którego Bóg pozwolił mi ocalić, jest nasz Jende!

Któż zdoła opisać szczęście i radość starej rybaczki?

Dzielność i poświęcenie Piotra najwyższą dla niego samego stały się nagrodą!



Tajemnica lodowca.

(Ciąg dalszy.)

Wrzawa zewnątrz, gwar rozmów, odgłos licznych kroków, wdzierały się przez szyby do sali sądowej, dodając bodźca do gorących rozpraw...

Krzyżowały się zdania najrozmaitsze. Najpierwsze, pochodzące od stryja Ulrykowego, miało dążność do zaprzestania śledztwa. Starszy Tagmer, troskliwy o honor imienia, podnosił wartość uczciwej przeszłości swego bratanka, który mimo drobnych dziwactw dożył lat trzydziestu, nie zasłużywszy na cień nagany. Syndyk, chcąc uwolnić się od odpowiedzialności, radził sprawę wnieść do sądu kryminalnego.

Przeciw temu bezlitosnemu krokowi wszyscy przewodnicy powstali jak jeden mąż, a najstarszy ze zgromadzenia streścił zdanie ogólne w tym wniosku: Wzywanie władzy wyższej, rozgłaszanie sprawy, byłoby rzuceniem hańby na całe stowarzyszenie. Nadto, niepodobieństwem jest, aby kiedykolwiek prawda na jaw wyszła.

Wszakże, choć można było zaprzeczyć zbrodni, w każdym razie niewątpliwem jest, iż został popełnionym błąd wielkiej wagi. Zatem, podsądny winien być ukarany według ustawy dyscyplinarnej stowarzyszenia.

Po zamknięciu rozpraw, przystąpiono do głosowania i dwudziestoma głosami przeciw ośmnastu, skazano Ulryka Tagmera na pozbawienie prawa przewodniczenia turystom.

Wprowadzono podsądnego.

Wszyscy w uroczystym nastroju wysłuchali czytania wyroku. Ulryk, któremu powróciła na twarz blada martwota, słuchał z poddaniem.

A syndyk, ze spokojem ducha, charakteryzującym tych, którzy w trudnem położeniu są jednak w porządku z prawem, dodał:

„Dla twojego dobra, radzę ci, abyś opuścił te strony.“

Tagmer odpowiedział z prostotą:

— Nie boję się, jestem niewinny.

Następnie kazano mu zwrócić książeczkę, rodzaj pugilaresu, oprawnego w skórę wytartą, z pożółkłemi kartkami wewnątrz, którą położył na stole z westchnieniem, a dwie grube łzy pociekły mu po twarzy.

Dawni jego koledzy, smutni, lecz nieubłagani, przeszli mimo, nie patrząc na niego; gdy przeciągłe ich oblicza kolejno wyłaniały się z głównych drzwi na ganek, cisza zaległa pośród zbitej gromady wieśniaków.

Każdy podchodził zwolna do tego z głosujących, który był mu blizkim krwią lub zażyłością i cały ten tłum rozbił się na małe grupy, rozmawiające półgłosem.

. . . .

Gdy wieczór zapadł i na drogach zrobiło się pusto, Ulryk wybiegł z urzędu miejskiego. Ukradkiem przemknął przez dzielnice zamieszkane — i zapadł w samotnię bagnistą, porosłą olchami. Po półgodzinnem wspinaniu się kamienistą ścieżką, wyżłobioną potokami, dosięgnął polany i zawróciwszy na lewo, stanął przed chatą, ubieloną nocnem odbiciem blizkiego lodowca Niższego.

Pchnął drzwi przed sobą i wszedł.

* * *

Na odłamie kamienia siedziała skulona młoda kobieta, ubrana według odwiecznej mody w okolicach Lucerny. Wsparłszy łokcie na kolanach, w zamyśleniu zatopiła palce w gęstych czarnych włosach.

Na odgłos kroków podniosła głowę.

— No i cóż? zapytała, otwierając pąsowe usta i czarne jak noc oczy.

— Wszystko skończone, odparł Tagmer i zapłakał.

Marya utkwiła w nim zagadkowe i ogniste źrenice, pragnąc odgadnąć to, czego nie domówił. Ogarnęło ją rozrzewnienie.

Chodź tu, Maryo, błagalnie odezwał się Ulryk, osuwając się bezwładnie na tapczan. Siedzieli przytuleni do siebie, on opowiadał cały przebieg i zakończenie sprawy. Mijały długie godziny bezsenne pośród goryczy i wzajemnego odczuwania ciężkiej doli.

Nieszczęsnej tej nocy poraz pierwszy pojęli doniosłość wspólnego przywiązania. A kiedy sen skleił im powieki, kozy, zbudzone pierwszym brzaskiem zorzy, witały nadchodzący poranek muzyką dzwoneczków, zawieszonych u szyi.

* * *

W ciągu trzydziestu miesięcy Ulryk i Marya opędzali swoje wydatki z owych dwunastu koron, pochodzą-

cych od ofiary wypadku; nie skonfiskowano im tych pieniędzy jedynie ze względu na odrazę do złota „przeklętego“. Marya zmieniała pieniądze i zaopatrywała się w żywność w miejscowościach odległych o siedm do ośmiu godzin drogi.

Pozbawiony zajęcia, do którego od młodu był przyzwyczajony, dawny przewodnik żył z przychodu, jaki przynosiła mu mała trzódka kóz, hodowana na skrawku pastwiska otrzymanego w spadku, tuż u podnóża lodowca. Całemi dniami krążył dookoła swej chaty a wyniosły cień jego postaci ze ścian jej nie schodził.

Kilkakrotnie próbował oddalić się od swego schroniska, lecz za każdym razem spotykały go takie przykrości, że wolał się wyrzec widoku bliźnich. Dawni przyjaciele, aby uniknąć wszelkiego z nim zetknięcia, gdy wymagało zawodowe ich zajęcie, woleli nadłożyć drogi, byle nie przestąpić jego mizernego terytoryum.

Nawet sam syndyk, który oddawna wycofał się z urzędu, mijał go obojętnie podczas swoich przechadzek, udając, że nie widzi jego ukłonu.

* * *

Minęło lat piętnaście od chwili katastrofy. Nagle, po kilku srogich zimach rozeszła się wieść niezwykła: Lodowiec Niższy „ruszył z miejsca“ i zstępuje prosto na szałas Tagmera.

Po kilkakrotnem sprawdzeniu, nie pozostawało żadnej wątpliwości; pomiędzy pobożną ludnością miejscową powstał ogólny głos, sławiąc moc i sprawiedliwość Boską. Ulryk był pierwszym, który spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo. Widział, jak młody modrzew zgiął się i marniał pod naciskiem lodów, a w miejscach, gdzie strzelały świeże pędy roślinności, stopniowo powstawały piramidy białe.

Często wśród godzin nocnych, ze straszliwym trzaskiem, zwalił się jakiś pień wyniosły, stojący na drodze tej potęgi, tak spokojnej, a tak strasznej, sunącej powoli, majestatycznie. Pełzająca masa tego twardego potoku zabrała Ulrykowi lasek orzechowy i nareszcie, w ciągu lat kilku całą powierzchnię mizernego pastwiska.

Oszalały klęską, musiał sprzedać kozy. Gdy zniknęło źródło dochodu, jaki zwierzęta te przynosiły, za ostatni grosz kupił róg alpejski, umieścił go na podwyższeniu z desek, nad brzegiem Czarnej Łuczyny (Lütschine) w kierunku Interlaken, a kiedy zjawiał się jaki rzadki podróżny. Ulryk budził ponure echa, wywołując z ciemnej gardzieli potoku skargę monotonną, za co otrzymywał skąpą jałmużnę.

Było to życie opłakane! A kiedy wieczorem, bocznemi drogami, bez tchu w zmęczonych płucach, żebrak przynosił do domu ciężką troskę w duszy, daremnie szukał pokrzepienia w smutnem spojrzeniu Maryi. Odwykli oboje od słów na wiatr rzuconych i śmiechu, z czem dawniej było im tak dobrze. Zresztą, odosobnienie nie dawało treści do pogadanki...

Lodowiec zatrzymywał się niekiedy na całe miesiące, a potem rozpoczynał znów złowrogi swój pochód. — Przemiany jego granic przynagliły stowarzyszenie przewodników do obrania innej drogi i — udało się, że noga ludzka nie postała nigdy w pobliżu siedziby Ulryka. Zapomniano o nim do szczętu.

(Dokończenie nastąpi).



Karmienie węźów.

Ciekawym jest sposób, w jaki zwierzęta mięsożerne chwytają zdobycz, przyjmują pożywienie, ciekawe są również zmiany, jakim pożywienie ulega, zanim zostaje spożyte. Wszystkie te zjawiska, poprzedzające ostateczne przyjęcie pokarmu przez organizm, dają najlepszą charakterystykę zwierząt. Najwięcej interesującemi pod tym względem są węże ze względu na swój odrębny ustrój fizyczny; obserwowanie dwóch gatunków węży: węży-pytonów oraz węży-boa dostarcza sporo ciekawych wrażeń. Węże z gatunku boa zamieszkują Amerykę; z pośród nich najpospolitszym jest „boa constrictor“; najczęściej też spotykamy go w menażeryach i u poskromicieli; do gatunku boa zalicza się „anahonda“, olbrzymi wąż zamieszkujący wody Gujany oraz Brazylii; długość jego dochodzi niekiedy do 8 metrów; spotykamy go czasem w ogrodach zoologicznych. Do najpospolitszych gatunków pytonów należą: pyton molurus, zamieszkujący Indye, Indochiny oraz archipelag Malajski, „pyton sebae“ — podzwrotnikową Afrykę, pyton reticulus — archipelag Malajski, pyton królewski — Senegambię.

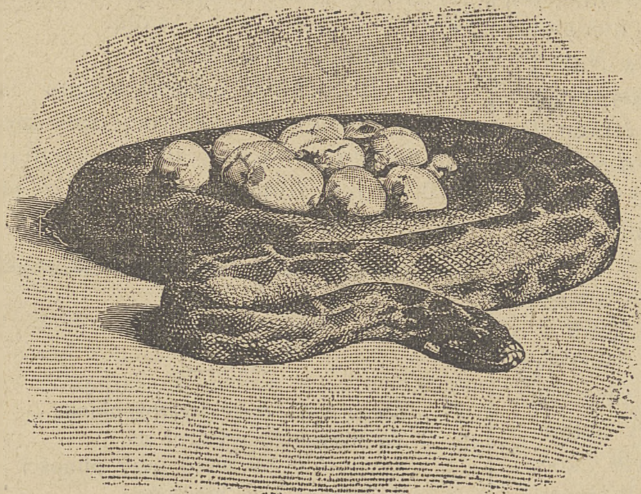
Rysunek I-szy, przedstawia pytona, rozwiniętego koło swych jaj; dosyć pokaźne w liczbie około 10-ciu, są pokryte mocną elastyczną błoną; można ją łatwo odróżnić od wapiennej skorupy jaj ptasich. Rysunki następne pozwolą nam zdać sobie sprawę z tego, jak się odbywa uczta pytona; są one zrobione fotografii, zdjętych w ogrodzie zoologicznym w New-Jorku. Przedstawienia tego rodzaju odbywają się co miesiąc w Paryżu, w menażeryi płazów, należącej do muzeum historyi naturalnej; jest ona wyjątkowo bogatą.

Wogóle węże karmią się zwierzętami żywemi lub świeżo zabitemi; dzięki specyalnej anatomicznej budowie organów są one w stanie połykać w całości zwierzęta rozmiarów wręcz nieprawdopodobnych w stosunku do wielkości ich paszczy. W tych warunkach przyjmowanie pokarmu odbywa się w dużych odstępach czasu, gdyż ilość pokarmu przyjęta odrazu może długo utrzymać te zwierzęta przy życiu, szczególniej, że ich ruchy są nawet na swobodzie dość ograniczone; karmienie pytonów w menażeryach odbywa się mniej — więcej co miesiąc; karmienie co miesiąc pytonów zamkniętych w klatkach i wskutek tego pozbawionych swobody ruchów, jest zupełnie wystarczającem, chociaż, być może, przyjmowanie pokarmów na swobodzie odbywa się częściej. Za pożywienie dużym pytonom służą króliki; większy okaz z łatwością połknie jagnię, lub koźlątko; młodych pytonów karmią gryzoniami, nazywanymi pospolicie świnkami morskiemi. Nadchodzi chwila karmienia pytona; w razie gdy jest on zdrów i głodny, śledzi uważnie z podniesioną głową najmniejszy ruch dozorcy, znajdującego się na zewnątrz klatki oszklonej. Rzucają królika; pyton rozwija się z szybkością strzały i chwyta królika ze zręcznością zadziwiającą, którą trudno sobie wyobrazić u zwierzęcia o zwykłych ruchach tak powolnych; zanim królik dotknie się ziemi, już jest owinięty i zmiażdżony strasznymi pierścieniami przeciwnika.

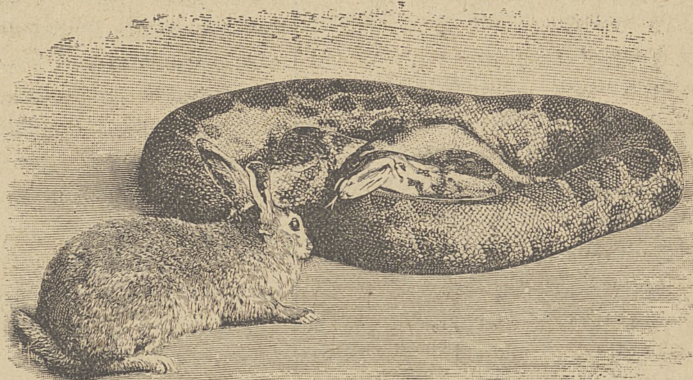
Innym znów razem gdy dozorca wrzucił królika bez zwrócenia uwagi pytona, lub gdy nie jest on w usposobieniu, nie rzuca się odrazu na swoją zdobycz. Rys. 2-gi przedstawia pytona w pogotowiu do rzucenia się na królika, który nie przeczuwa smutnego swego losu. U węźów w niewoli nie zauważono wypadków magnetyzowania wzrokiem, o których tak szeroko rozpisują się podróżnicy. Królik skacze po klatce i wkrótce zwraca uwagę strasznego sąsiada. Węże mają węch dosyć tępy i przeważnie dzięki obserwowaniu ruchów za pomocą wzroku zdają sobie sprawę, że mają do czynienia z istotą żywą, a więc ze zdobyczą. Na swobodzie czatują one na zdobycz w lasach, ukryte pośród gałęzi drzew, gdzie je zauważyć bardzo trudno. Wielkie węże, jak pyton, dusza najprzód ofiarę splotami swych pierścieni. Widzimy to na rysunku 3-im; biedny królik jest schwytany za mordkę i ściśnię-

ły potrójnym lub poczwórnym pierścieniem; tylne łapki jego są w górze, a głowa i przód schowane w splotach węża, których uścisk trwa dotąd, dopóki śmierć nie nastąpi. Pyton w rzeczy samej czeka na tę chwilę; po kilku minutach zwalnia trochę swój uścisk, lecz jeśli zauważy jakikolwiek ruch lub uchwycone z tyłu, połykaniu staje na przeszkodzie kierunek sierści, a jeśli się to czasem zdarzy, wąż po kilku bezowocnych próbach wyrzuca z siebie zdobycz i poszukuje na nowo głowy.

Wreszcie wąż odnalazł głowę królika: następuje najdłuższa i zarazem najciekawsza część widowiska; zwykle się on starał, że tak powiem, wciągn na zdobycz przyczem dolne szczęki grają niejako rolę dwóch łap (to porównanie zupełnie usprawiedliwione należy się prof. Vaillant), które w swym pochodzie naprzód pociągają górną część czaszki, służącą im za oparcie. Gdy głowa i przód królika przeszły

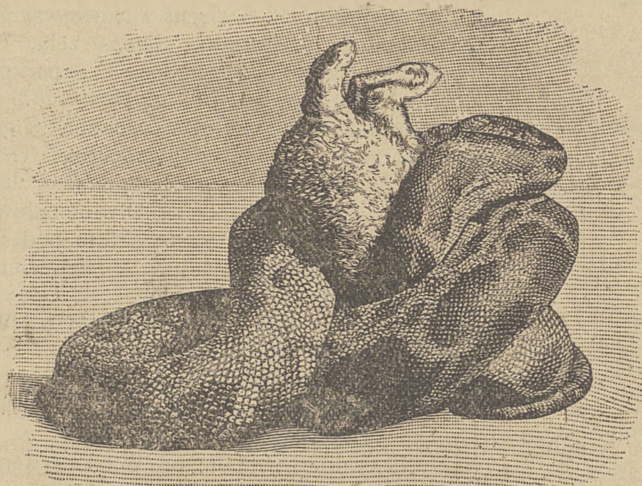


Wąż dusiciel, zwinięty dookoła jaj.



W pogotowiu do skoku.

drgnięcia, potęguje go na nowo. Wreszcie biedny królik jest nieruchomy; pyton rozwija pierścienie i zostawia swoją ofiarę; ten odpoczynek trwa krótko; po chwiil wraca do królika i rozpoczyna się poszukiwanie głowy; pyton przed chwilą tak zręczny, gdy chodziło o schwytanie i uduszenie królika, stoi obecnie bezradny przed nieruchomą masą; wysuwa na wszystkie strony język rozdwojony, który jest u niego organem dotyku; za pomocą tego organu stara się uzupełnić świadomość, jakiej mu udzielają wzrok i węch; wreszcie po wielu wysiłkach i próbach odnajduje głowę, rozpoczyna połykanie. Wyod chwili schwytania królika do rozpoczęcia połykania upływa mniej — więcej dziesięć minut, gdy tymczasem potrzeba pół godziny na to, aby się paszcza dostatecznie rozszerzyła, aby wąż mógł rozpocząć połykanie przedmiotu, który w przecięciu jest co najmniej dziesięć razy większy od otworu paszczy. Budowa paszczy węża należy do nader ciekawych. Wąż ma dolnych szczęk dwie; są one ruchome i połączone z przodu rozciągającym się mięśniem; ten mięsień przez rozciąganie się zdolny jest powiększyć otwór paszczy do nadzwyczajnych rozmiarów; tę samą zdolność rozszerzania się ma paprzez paszczę, dolne części przechodzą z łatwością; gdy już i tylne łapki znikły, można w dalszym ciągu po przez ciało węża obserwować posuwanie się królika; posuwa się szybko i wreszcie zatrzymuje w żołądku po przejściu $^1/_3$ długości pytona. Podczas całego procesu połykania, język pytona jest wysunięty dla ułatwienia oddychania; połykanie trwa od 15 do 30-tu minut, zależnie od siły węża i obojętności pokarmu. Trawienie trwać będzie dni 10; można doprawdy podziwiać siłę soków trawiących: ze zwierząt połkniętych po upływie 10 dni nie znajdziemy już ani śladu. *L. N.*



Wąż duszący swą ofiarę.



Pochłanianie łupu.

szukanie głowy jest nader ważne. W rzeczy samej, żeby masa tej objętości co królik, mogła przejść przez otwór paszczy na pierwszy rzut oka tak wązki, trzeba, ażeby przyjęła pozycyę najodpowiedniejszą. Naturalnie gdy zwierzę uchwycone jest z boku, nie może być połknięte; nawet wówczas gdy jest szcza i w tyle, gdyż obydwie szczęki połączone są z czaszką za pomocą bardzo wydłużonych zawiasów; połykanie królika ułatwia ta okoliczność, że na swej drodze spotyka on tylko miękkie organy, które się rozciągają z łatwością. Liczne zęby pytona skierowane są do wewnątrz; z ich pomocą będzie

Nasze ryciny.

„Dedal i Ikar". Jan Grejm, wybitny malarz polski, syn drukarza, urodził się w r. 1860-tym w Kamieńcu Podolskim, zmarł tamże w r. 1886-tym. Kształcił się w Petersburgu, gdzie skutkiem nadmiernej pracy i ostrego kli-

matu nabawił się choroby piersiowej, która nić przecięła młodego jego życia. Pobyt w Monachium nie uratował go od śmierci, zapewnił tylko młodzieńcowi uznanie znawców. Obrazy jego odznaczają się głębią uczucia i znakomitem wykończeniem; malował obrazy religijne („Golgota,“ „Chrystus w Ogrójcu“) i fantazyjne, studya z natury i t. p. Ostatnią jego pracą był obraz „Dedal i Ikar,“ którego podobiznę podajemy. Obraz ten znajduje się w muzeum narodowem w Krakowie; przedstawia on scenę mitologiczną grecką. Dedal, najsłynniejszy budowniczy czasów mitycznych, chcąc uratować się wraz z synem, Ikarem, z więzienia, w które wtrąciła go zawiść przeciwników, wykonał skrzydła z piór, posklejanych woskiem. Plan udał się, lecz Ikar, rozzuchwalony swobodą lotu wzbiwszy się aż pod słońce, które wosk stopiło, wpadł w morze i utonął. Część morza Egejskiego nosi ztąd nazwę Ikaryjskiego.

* * *

„W meczecie.“ Leon Gerome współczesny malarz i rzeźbiarz francuski ur. w r. 1834 w Vesoul, syn złotnika, uczeń Delarochea, jeden z najznakomitszych artystów francuskich, celuje w odtwarzaniu życia Wschodu, gdzie spędził długie lata na studyach artystycznych. Obrazy Geromea poprawne w rysunku, odznaczają się znakomitem wykończeniem szczegółów. Obraz „W meczecie“ przedstawia Greczynki, modlące się w świątyni muzułmańskiej.

* * *

„Cmentarz żydowski pod Krakowem.“ Rodak nasz, p. M. Wawrzyniecki, zobrazował w swym utworze znakomicie typy żydowskie i wogóle dał nam piękny obraz „miasta zmarłych żydów“ podczas zimy.

* * *

„Wróżka.“ Chociaż wróżbiarstwo jest potępienia godnem, jednakże mu hołdujemy. Kobiety przeważnie każą sobie wróżyć, czy nie zawiodą się w miłości i t. p. Podobną chwilę przedstawia obraz F. Eisenstäta „Wróżka“.

—ski.

Rozmaitości.

Pan Podbielski. Ów mąż o polskim wąsie a duszy krzyżackiej, filar agraryuszów i junkrów pruskich, o którym dziś rozpisują się gazety dzięki udziałowi w paramie niemieckiej, pochodzi, jak to wskazuje samo nazwisko z rodziny polskiej. Nie przynosi to bynajmniej zaszczytu Polakom. Skoro jednak pan Podbielski stał się głośnym warto przypomnieć, jaką drogą niemczyły się i degenerowały potem niektóre rody polskie. Dziś pan Podbielski jest ultra-Niemcem, więcej niemieckim niż niejeden z rdzennych bakatystów, bo tak zwykle bywa z podobnymi ludźmi, ale, niestety, pochodzenie jego jest polskie.

Przy sposobności pozwolimy sobie przytoczyć tutaj wzmiankę o przodkach tego dziś „głośnego“ ministra, znajdującą się w wydanej niedawno „Jednodniówce z nad brzegów Narwi“ pióra Zygmunta Glogera, zasłużonego autora wielu cennych prac etnograficznych a ostatnio *Encyklopedyi staropolskiej.* W artykule „Wesele babuni“, stanowiącym trzecią niemal część wzmiankowanej jednodniówki, obok wielu ciekawych szczegółów o przeszłości stron łomżyńskich, znajdujemy w opisie gości weselnych z r. 1809 (podyktowanym szczegółowo przez staruszkę wnukowi) następujący ustęp:

„Przybyli także na wesele „koczobrykiem“ młodzi państwo Wawrzyńcowstwo Podbielscy z Jawor, z dwiema Podbielskiego siostrami. Ten pan Wawrzyniec, ożeniony z Kobylińską z Kuleszk, miał w rozsypce po świecie aż czterech rodzonych braci. Dwóch: Nikodem i Antoni w „czasach pruskich“ przed kilku laty zaciągnęli się do pruskiej służby wojskowej. Antoni był już rotmistrzem kawaleryi, gdy raz (za Księstwa Warszawskiego) przyjechał na urlop w Łomżyńskie i ożenił się tu z panną Borkowską. Nikodem służył w piechocie i ożenił się z Niemką w Prusiech. Synem jednego z tych Łomżyniaków był słynny szef sztabu armii niemieckiej w wojnie z Francyą r. 1870—71“. Oczywiście dzisiejszy minister rolnictwa musi być już wnukiem Nikodema lub Antoniego z Jawor w parafii rutkowskiej. Ale Jawory te dawno już nie należą do rodziny Podbielskich.

Humor i satyra.

Z melodyi sielskich.

Stoi prosię kiele płota
I kwicy,
Bo mu kundel wyjadł strawę
Z donicy.
Przyszła dziewka i kundysa
Bez plecy!..
Gospodynia dziewkę w gębę
Jaz becy.
Usłyszała dziedzicowa
Te słochy
I sprawiła babie cięgi
Też trochy...
Piszczy kundys, płacze dziewka
Ze złości.
Gospodyni dziewkę w gębę
Załości.
Jeno prosię łeb we škopek
Wraziło
I wypija pańskie mleko
Jaz miło!

* * *

Zdecydowała się.

— Proszę pani, dziękuję za służbę; ja teraz chcę być sama panią.

— Jakto, tak odrazu?

— Naturalnie! Przekonałam się już, że nie umiem gotować, ani szyć, ani porządków robić, ani dzieci niańczyć, to już chyba mogę być tylko panią i nic nie robić.

Szarada.

Druga z pierwszą zespolona,
To niewiasta wystrojona.
Trzecia z pierwszą przy pilności
Nadaje palcom biegłości:
Czwarta z trzecią — Polski chlubą!
Naród ostrzegał przed zgubą!
Całość — nazwa wyspy dużej —
Szarada łatwa nie znuży.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go października.

Rozwiązanie szarady z nr. 38-go:

Maniera.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Karolek Śródecki, Zofia Bresińska, Wincenty Langa, Maksymilian Maliński, *z prowincyi:* Michał Bakoś z Główny pod Poznaniem, Marya Schulz ze Stęszewa, K. Tyxicki ze Śremu, Walerya Urbańska z Krobi, N. Matuszewski z Wilatowa, Leokadya i Marynia Konopińska z Szamotuł, Wiktor Maciejewski z Wągrówca, Floryan Mendoszewski z Wągrówca, Zofia Jezierska z Pleszewa, Karol Krumka i Marysia Jankowska z Ostrowa, Józef Weyman z Ostrzeszowa, Wincenty Nęcki z Donaborawa, powiat kępiński, M. Lisiecka z Nowejwsi pod Koźminem, M. Leśnik z Samostrzela, Edmund Czajkowski z Kopania, J. Szperkowski z Pożarowa, *z Prus Zachodnich:* pp. J. Czeplewski ze Zblewa, Joanna Glema z Chełmży, *ze Śląska:* pp. Józef Grala z Wrocławia, Ignacy Drzymała z Groszowic, Adolf Skaba ze Świętochłowic, A. Wojciechowski z Friedenshütte pod Bytomiem, Jadwiga Badura z Roździenia, Wincenty Mainka z Kochłowic, *z Galicyi:* Czytelnia Ludowa we Pnikuciu i p. Wodecki z Ropczyc, *z obczyzny:* pp. Zofia Dunajska i Czesław Ciastkowski z Berlina, A. Żelewska z Charlottenburga i Fr. Neumann z Holzweissig.

Nagrodę otrzymali: pp. Wincenty Langa z Poznania, Wincenty Nęcki z Donaborowa i Zofia Dunajska z Berlina.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

9)

(Ciąg dalszy.)

Ale bo też miał pod sobą konia!... Znaną mi jest tego konia historya; opowiadać jej jednakże nie będę, tylko wspomnę, że koń ów był szpakowatą klaczą z białą na łopatce latą, i że na szybkość jego można było z całą spuścić się ufnością. To też Stanisław, znając swojej szpakowatej cnotę, nie spieszył się do obozu. Zachciało mu się poigrać z kozakami. Zwracając się do nich w siodle, wywijał ku nim szablą, i przedrażniał ich okrzyk: „nie ujdiosz!“ Powściągał szpakowatej cugle, pozwalał pojedyńczym jeźdźcom zbliżać się do siebie, znaczył ich po pyskach lub groty od pik im obcinał, a gdy ich większa zbliżała się liczba, popuszczał cugle i odsuwał się od nich jak od stojących.

Kozacy się wściekali. Rozsypali się po polu i jedni wprost, drudzy na przełaj ścigali polskiego oficera. Ziemia dzwoniła od tententu, a powietrze drgało od wrzasku.

Stanisław miał się na ostrożności. Manewrował sobą tak, aby się nie dostać pomiędzy kozaków, i często oglądał się za siebie. Oglądając się jednakże na prawą stronę, nie widział co się dzieje z lewej. A tam kozacki major na białym koniu wysforował się i tuż go dojeżdżał, i raptem na głowę Stanisława spadło silne cięcie, któremu towarzyszyła moskiewska klątwa:

— Sukinsyn!...

Od cięcia tego, obrócił się na głowie Stanisława kaszkiet i spadł, ale, co najgorzej, uderzona na płask szabla, pękła, i w garści pozostała mu tylko rękojeść.

Nie było czem odciąć się. Nie pozostawało więc już nic innego, jak tylko powierzyć się szpakowatej. Pocisnął ją Stanisław i najkrótszą drogą posunął ku obozowi. Major kozacki trzymał się go w takiej odległości, że gdyby miał trzy razy dłuższą rękę lub szablę, to byłby w stanie rozpłatać mu łeb. Jeden nie mógł uciec, drugi nie mógł doścignąć. Szpakowata i biały jednakowej co do szybkości, byli siły.

Przed obóz, na widok uganiających kozaków, wystąpił szwadron ułanów, rozwinął się frontem i stanął. Ku temu frontowi dążył Stanisław. Major go nie odstępywał. Czy tak się zaciekł, czy może był pijany — nie odstąpił go nawet wtedy, kiedy front zrobił lukę, i w tę lukę wjechał Stanisław. Wjechał za nim i major. Ułani zdjęli go z konia lancami.

Udała się Stanisławowi sztuka. „Zkrupiło się mu“ — jak powiadają — ale niebawem się i „zmełło“. Wysłanego raz za furażem, kozacy otoczyli, i wraz z całym oddziałem, przepołowionym z powodu obrony, wzięli do niewoli. Było to podczas odwrotnego marszu Francuzów z Moskwy, gdzieś w okolicach Drohobuża, a więc na lewym brzegu Dniepru. Razem z Stanisławem dostał się do niewoli i kolega i przyjaciel jego, którego będziemy zwać po imieniu — Janem.

Nie można sobie wyobrazić uczucia przykrzejszego nad to, jakiego doznaje żołnierz, przejęty sprawą za którą walczy, który dostanie się do niewoli. Jest to, jak, kiedy biegnącemu do mety człowiekowi, podstawią w biegu nogę i on upadnie. Jest to, czemsiś jeszcze gorszem.

Długo nie dawał się wziąć Stanisław, — bronił się jak lew, — wołał zginąć, — lecz nie podołał liczbie. Zwalonego z konia związali kozacy i popędzili.

Przez dwa dni przepędzano jeńców ze wsi do wsi, zamykając ich po chałupach, które służyły jako improwizowane więzienia. Na trzecią noc wprowadzono ich do chałupy obszernej, z obszerną sienią. Jeńce zajęli izbę, kozacy sień. Z wieczora posilali się, grzeli, gwarzyli, noc obrócili na spanie.

Pospali się wszyscy, wyjąwszy Stanisława i Jana, leżących jeden obok drugiego.

— Nie spisz?... — szepnął pierwszy, trącając towarzysza łokciem.

Zapytany podniósł się, wsparł na łokciu, i natężył ucho do słuchania.

— Cicho... — rzekł po chwili do Stanisława. — Ja się rozwiązałem... a ty?...

Coś jemu Stanisław odszepnął, i wszczął się pomiędzy nimi dwoma jakiś ruch, którego rezultatem było, że się obydwa podnieśli, i ostrożnie, zapierając dech w piersiach, poczęli przestępywać przez leżących pokotem wartowników.

Dokoła panowała głęboka cisza, w której grzmotowym sposobem rozlegly się chrapania śpiących kozaków. — Chrapania te głuszyły odgłos kroków naszych jeńców, którzy, wydostawszy się szczęśliwie na podwórze chałupy, nawrócili w sad a z sadu wyszli na pole i ruszyli biegiem, co im sił stało.

Biegli i nie oglądali się — a dokąd? — o tem sami nie wiedzieli. Najważniejszem dla nich było, z niewoli na wolę się wydobyć — i wydobyli się. Zaś: co robić na woli? — było to zapytanie, którego sobie w więzieniu nie zadawali. Jako ludzie porządni, robili rzecz porządkiem — pierwej jedno, potem drugie. Nie wszyscy jednakże tak porządek rozumieją. Są tacy, którym się wydaje, że, coś rozpoczynając, trzeba dokładnie wiedzieć, jak kończyć, a nie myślą o tem, że do takiego dokładnego wiedzenia, trzeba by być przynajmniej natchnionym przez Boga prorokiem. Człowiek zwyczajny, dla tysiąca bardzo zwyczajnych powodów, pomiędzy którymi najmniejszym jest zbieg i skombinowanie tysiąca przyjaźnych i nieprzyjaźnych okoliczności, nie jest w stanie koniec przewidzieć, a usiłując go przewidzieć koniecznie, straci żywot napróżno i nic nie zacznie. Nie jest to porządek, ale, albo lękliwość, albo poprostu głupota. Gdyby w znaczeniu takiego porządku postępowali byli Stanisław i Jan, to, najprzód, byli by się nie wydobyli z niewoli, a potem, „nie doświadczyli by — ktoś z ludzi porządku powie — przykrości łamania sobie głowy nad tem, co dalej począć“.

Ta przykrość przyszła im pod lasem, w jamie, jednej z tych, w których moskiewscy rolnicy zboże przez zimę przechowują. Dnieć zaczynało, kiedy się tam dostali, a przez dzień najbezpieczniej im się wydało przesiedzieć gdzieś w ukryciu, i rozpatrzeć się w okolicy.

Rankiem widzieli kręcących się po polu kozaków. — Czego oni się kręcili? Czy ich szukali, czy może — od zwykle, jak kozacy — wałęsali się, aby na miejscu nie siedzieć? — nie wiadomo. Zbiegi nasi nie byli ciekawi, dowiadywać się. Jak susły, wynurzali z jamy głowy, rozglądali się dokoła i chowali się. A rozglądając tyle doszli, że rozpoznali, gdzie północ i południe, gdzie wschód i zachód. Wschodzące słońce tego ich nauczyło. Na ten raz było to dla nich dostatecznem. Droga ich leżała na zachód. Wypatrzyli więc prykmety i z południa, przespawszy się dla nabrania sił w słomie, ruszyli w podróż.

Szli do samego wieczora, szli w nocy, spieszyli ku zachodowi, trzymając się manowców i unikając spotkania z

ludźmi, szli przez cały następny dzień i przekonali się, że trudno im będzie dopędzić swoich. Widzieli kozaków i moskiewskich maroderów, parę razy zdarzyło się im przypatrywać się z daleka konwojom jeńców wojennych, w głąb Rosyi pędzonych. To wszystko dawało im wyraźnie poznać, że znajdują się na ostatecznych tyłach nieprzyjacielskiej armii, na ogonie tego ogona, który daleko za postępującem naprzód wojskiem się wlecze.

A znużenie dotkliwie czuć się dawało, a głód doskwierał, dokuczał by im i chłód, gdyby nie pospiech, z jakim szli. Na głód i chłód trudna była rada, bo trzeba jej było szukać pomiędzy ludźmi, a do ludzi trzeba było trafiać pieniędzmi, z których ich kozacy obdarli — a nawet z pomocą pieniędzy nie łatwo było znaleźć pożywienia i odzienia, bo kraj był zniszczony. Trudniej jednakże było czego dostać, nie udając się do ludzi.

— Trzeba jakoś trafić do Moskali...—rzekł Stanisław.

— Zdaj to na mnie... — odparł Jan. — Umiem po moskiewsku, więc potrafię przemówić... Ty milcz i potakuj mi...

Udali się wprost do najbliższej wsi.

Wieś leżała na wzgórzu, nad Dnieprem. Wieczerzało, więc położenia jej nie można było bliżej rozpatrzeć. Ale też zbiegom naszym bynajmniej o położenie nie chodziło. Trzeba im było posilić się, odpocząć, rozgrzać i dostać się na prawy brzeg Dniepru, który już lodem się ścisnął. Więc udali się do pierwszej chałupy, porządniejszą mającej minę.

Przed chałupą, na przyzbie siedział starzec, i spoglądał na łuny pożarów, widnych na zadnieprskim horyzoncie. Ujrzawszy przed sobą naszych zbiegów, żachnął się, jakby coś przykrego a niespodziewanie zobaczył. To wrażenie pochodziło snać od stroju, noszącego odznaki, po których rozpoznać się dawały polskie mundury, pomimo, że brakowało im wiele mundurowych rzeczy, jako to: kaszkietów, zamienionych przez kozaków na baranie chłopskie czapki, butów z ostrogami, zamiast których nogi ozute były w chodaki z łyka, epoletów, guzików, spodni z lampasami i innych drobnostek.

— Zkąd wy się wzięli?... — zawołał starzec z akcentem zapytania i zadziwienia.

— Cicho... — odpowiedział Jan, zbliżając się do niego z miną tajemniczą i szepcąc mu prawie do ucha — *my ruskije szpiony* (rosyjscy szpiegi...) Odstaliśmy i potrzebujemy co prędzej dostać się na tamtę stronę...

I ukazał palcem na Dniepr.

Starzec pokiwał głową, westchnął, pomilczał przez chwilę i odezwał się:

— Wejdźcież do chaty i posilcie się... Mój syn przeprowadzi was przez Dniepr, bo teraz przeprawa trudna.

Dla Stanisława i Jana nic nie mogło być pożądańszego. Przyjęli propozycyę starca-Moskala. Weszli do chałupy, zasiedli przy ognisku, ogrzeli się, posilili, wypoczęli i nazajutrz, równo ze świtem, zaopatrzeni na drogę w chleb i sól, przeprawili się przez Dniepr...

VI.

Zaimprowizowana przez zbiegów naszych rola szpiegów, jaką musieli wziąść na siebie w naddnieprskiej wsi, nie skończyła się nad Dnieprem. Pokazało się bowiem, że wygodnie z nią śród Moskali, a szczególnie na manowcach, w odleglejszej od głównego traktu, którym szły wojska, okolicach, gdzie nie było komu sprawdzić jej. Białorusini prawdzie nie przyjmowali jej tak jak Moskale, ale przynajmniej obojętnie; ale za to władze rządowe okazywały się niej bardzo przyjaźnemi. Niżsi urzędnicy policyjni, dogali Stanisławowi i Janowi, którzy, a właściwie ten ni, duby smalone o swojej misyi im prawili, unikając wszelkiemi siłami zetknięcia się z ariergardą rosyjskiej armii, albo nawet z jakimeś oddziałem, na zwiady lub na furażowanie wysłanym. Było to trudnem, ale — na cóż Pan Bóg dał człowiekowi mowę?

— Do ukrywania myśli... — bardzo słusznie twierdził nieboszczyk Tayllerand.

Ukrywali więc ulani nasi myśli swoje tak dobrze, że się nigdzie z moskiewskiem wojskiem nie spotkali. Z tego jednakże ta wynikła niedogodność, że nie mogli dość spiesznie dostać się do swoich szeregów, zejść musieli z pobliża głównego traktu, zapędzili się głęboko na Litwę i tak krążąc, doczekali się zimy, owej zimy 1812 roku, śnieżnej i mroźnej. Francuzi dawno opuścili Wilno, opuścili nawet Warszawę, a oni wciąż jeszcze z Litwy się wydostać nie mogli.

W tak długim przeciągu czasu, rola szpiegów nie wystarczyła by im. Ależ bo i nie potrzebowali jej ciągle. W obec n. p. szlachty polskiej, występywali we właściwym swoim charakterze i znajdywali gościnność, serdeczne przyjęcie i pomoc, pomimo grozy, jaką przejmowały ukazy carskie, tyczące się przechowywania wojennych zbiegów. Szlachta tem lepiej, to jest z tem większą ostrożnością i z tem mocniejszą serdecznością ich przechowywała. Litwinki zasłaniały ich przed poszukiwaniami, własnemi — rzec można — piersiami, znajdując w potrzebie, raz odwagę drugi raz dowcip do odwrócenia niebezpieczeństwa.

W jednym domu, naprzykład, na którym ciężyło podejrzenie moskiewskiej policyi, siedzieli nasi zbiegowie w gronie litewskiej, szlacheckiej rodziny, i rozpowiadali o przejściach i trudach, jakich doznali. Słuchaczami byli: szlachcic-gospodarz, mąż średniego wieku, pani domu, przystojna, około trzydziestu lat wieku licząca kobieta, kilka osób obojej płci z sąsiedztwa, i kilkoro dzieci. Dzieci, popierane na kolanach przybyszów, powlepiały w nich oczęta, i łakomie łowiły uchem każdy wyraz, z ich ust wychodzący. Kobiety przysuwały się do nich jak najbliżej, a mężczyźni poważnie palili fajki i od czasu do czasu pławili powieki w występujących z ócz niby rosa łzach. Zajęcie i zasłuchanie było ogólne. W tem, raptem, coś brzęknęło w sieni.

Słuchacze zbledli.

— Moskale!... — przebiegł z ust do ust złowrogi wyraz.

A z tym wyrazem pani domu zerwała się z miejsca, i pochwyciwszy jednego i drugiego ułana za ręce, szybko uprowadziła ich ze sobą.

Zaledwie ona wyszła, wszedł kapitan-sprawnik, zrzucił futro i zwracając się do gospodarza domu, nie witając się z nim, zapytał:

— *Wy chozain* (wy gospodarz)?...

— Czyż pan kapitan mnie nie zna!... — odparł zapytany.

— To nie o to chodzi... — przerwał sprawnik — znam czy nie znam!... Chodzi o formę... Odpowiadajcie więc: wy chozain?

— Ja...

— Wasze imię i familia?...

Litwin powiedział swoje imię i nazwisko.

— Nie ma u was w domu nikogo z obcych?...

— Sąsiedzi... — odpowiedział gospodarz, ukazując ręką na kilku szlachciców — którzy łaskawi byli odwiedzić mnie...

— Więcej nikogo?...

— Nikogo... — odrzekł szlachcic śmiało.

— Mówcie prawdę... — rzekł sprawnik — bo zrobię w waszym domu ścisłą rewizyę i znajdę, chociażbyście kogo w myszej dziurze ukryli, bo dom wasz otoczony...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wieczorny dzwon.

Ojciec Klemens dumał pod rozłożystemi lipami. Szanowano w zakonie te chwile wieczorne, kiedy przychodził samotnie tu odpocząć i nikt by się nie odważył zakłócić mu spokoju. Skoro tylko w mroku wieczornym spostrzeżono wśród drzew jego suknię czarną, omijano starannie tę część obszernego podwórza kościelnego lub wcale nie przechodzono tamtędy. Czy zatapiał się w myślach, czy się modlił, czy szukał tylko niezmąconego spoczynku dla duszy i ciała, niktby nie umiał powiedzieć; wiedziano tylko, że życzy sobie pozostać samotnym i to jedno już wystarczało.

Ojciec Klemens wielkie zasługi położył w zakonie; praca jego była zbyt ciężka, a odpoczynek po niej zbyt krótki, aby nie miano dlań zachować wszelkich względów należnych.

Otaczano go wielkim szacunkiem, czcią nieledwie i podczas jego pobytu w klasztorze wszystko, na co tylko reguła zakonna pozwolić mogła, stosowano do jego życzeń i upodobań.

W tym górskim klasztorze, w zdrowym orzeźwiającym klimacie, wśród miejscowości, gdzie dusza pięknem przyrody bogato napoić się mogła, ojciec Klemens co roku przepędzał po parę letnich tygodni, miesiąc najwyżej. Czynił to na wyraźne żądanie przełożonego zakonu, który ceniąc doniosłą działalność niestrudzonego pracownika, dawał pilne baczenie na jego zdrowie i siły.

I dziś, jak zawsze, zachód słońca zastał ojca Klemensa na zwykłem miejscu pod lipami. Był to może najlepszy punkt obserwacyjny dla całej doliny. Kościół stał na znacznej wyżynie i zarówno ze stopni kościelnych, jak z pod tych drzew cienistych można było jednem wejrzeniem ująć i cały obszar doliny ze wstęgami pienistych potoków, z bielą wioski wśród bujnych sadów, z artyzmem linii lekkich willi i wspaniały łańcuch gór olbrzymich, niebosiężnych, usrebrzonych śniegami na ostrych szczytach.

Głowa słońca, rozżarzona i złota schylała się za ramię góry, na której stopniu pierwszym stał klasztor; znajdując się więc pod lipami można było oglądać całą grę świateł zachodu, rzuconych na przeciwległe stoki. Potoki różu, opalu i złota przelewały się lekką falą mgły po granitowych piersiach olbrzymów, aż wszystko stopiło się nagle, uderzyło w potężny ton purpury i łuna pożaru krwawiąca się, rubinowa, ogniami nalana buchnęła ku szczytom i zawisła.

A kiedy gasły ognie, kiedy cichły rozśpiewane szczebioty ptasząt i wolniej mknęły powiewy i senniej szemrały strumienie, a trawy łąk i fale zbóż stanęły na źdźbłach nieruchomo — na dolinę spuszczał się mrok przejrzysty i cichy, jak skrzydło spływającego anioła i cały świat górski spowijał się w zadumę i ciszę; jedynie dusza człowieka otwierała kielich swych głębi i wolną myślą płynęła wzwyż, ku rozbłyskującym gwiazdom.

Ojciec Klemes wsparł głowę na dłoni i dumał. Zrazu oczy jego tonęły tylko w majestatycznym obrazie grających blasków, cały świat wrażeń przyrodnika i marzyciela budził mu się w duszy; okiem znawcy i czuciem wielbiciela przyrody tonął w otaczającem go pięknie, a myśli jego, nie związane żadnym kierunkiem przewodnim, snuły wnioski splatające się tak luźnie, jak smugi obłoków w zorzy purpurowej płynące na zachód. Spokój wielki w nim zapanował, a w miarę jak gasły na górach światła, w duszę jego spadała cisza wciąż głębsza, taka czysta i taka spokojna, że stawała się nieledwie snem myśli i uczuć.

Nagle drgnął.

Z wieży kościelnej rozległ się głos dzwonu i dźwięk za dźwiękiem powolne, majestatyczne, a czyste spływać poczęły na dolinę.

Wieczorny dzwon na Anioł Pański.

W wioсce przycichłej już, rozmarzonej już sennie, w gąszczących się cieniach zarośli, w gajach nieruchomych, nad łanem srebrzących się zbóż, płynęły tony dzwonu jak czujna myśl, jak głośne słowa hymnu, co w usypiającej przyrodzie nieuchwytny, niedosłyszalny płynie wciąż z ziemi w niebiosa.

Ksiądz Klemens nie podniósł się, nie uczynił nawet znaku krzyża, lecz dusza jego ze snu zbudzona stała się cała modlitwą bez słów. Czy błagał o co, czy dziękował? Słuchał tylko echa dzwonów; wsłuchiwał się czujnie jak płynęły na całą dolinę i gasły gdzieś w głębi, w mrokach, po załomach gór, w przepastnych dołach. Ten głos spiżu miał w sobie wołanie, coś jak jęk tłumiony, jak ton odpływający... Znany, dawny, przedawny głos... Przez lata, po tyle razy wołał nań, nieraz nocą budził z uśpienia i wiódł za sobą przez długie, ciernisté drogi.

Dawny, drogi, a niedostępny niemal obraz, z głębin wiecznie niezagasłego bólu przypłynął znowu ku niemu. Często tak doń schodził i wołał i pociągał za sobą, a on szedł z oczyma weń utkwionemi, z duszą uniesioną.

Drogi, niezapomniany obraz — tak zrosły z duszą jego, jak żal, jak smutek, który po rozstaniu na wieki pozostał.

Drogi, bolesny obraz... Ten uśmiech brata, ta dłoń przewodnika już nigdy nie staną przed nim na jawie. Czyż od lat młodzieńczych nie zespoliły się im dusze, czy nie poprzysięgli sobie w świętem milczeniu, że jednej idei służyć będą i w jednym kierunku pójdą i jednej gwiaździe dusze swe poświęcą? Często splatały im się dłonie w serdecznym uścisku, lecz częściej i goręcej duchy ich we wspólnym locie płynęły ku takim światłom, w których już myśl boża mieszka. Czyż nie stamtąd obydwaj brali święcenie dla swych dusz i czy nie tam wyciągali ręce po ciernie na drogę całego życia?

Miłowali się tak głęboko i tak serdecznie, jakby braćmi, z pod jednego wyszli dachu i ku jednemu też szli celowi, lecz drogi ich nie były równe i nie były jednakie.

Czem był, ojciec Klemens wobec swego umiłowanego towarzysza i brata? Czemże były jego dłonie silne, barki niestrudzone, jego serce wierne, wobec tej słabej, wiotkiej postaci, której skrzydła dawała wiecznie płomienna dusza, i myśl, co w lotach niebotycznych rwała się wciąż w wyżyny. Czyż mogli iść jedną drogą? On, z okiem utkwionem w codzienne życie, w mrowiska ludzkie i tamten, szybujący orzeł w niedościgłych przestrzeniach błękitu? Lecz ileż razy on, ojciec Klemens, wśród prac swoich niedokończonych przychodził do przyjaciela i pytał: co dalej mam czynić, bracie? I ile razy, kiedy wśród urwistej drogi zaścigała go noc zwątpień i burza rozpaczy, podnosił oczy i widział jak tamten, niezachwiany a jasny, ze wzrokiem utkwionym w ich gwiazdę szedł w światło i wierzył?

Drogi ich nie były równe, lecz nigdy nie zerwała się nić, co kiedyś w młodości, połączyła ich dusze i nigdy od wytkniętego kierunku żaden z nich nie zboczył. I nawet teraz, gdy owe drogie oczy zagasły i zastygła braterska dłoń, ojciec Klemens, nie sprzeniewierzył się najmniejszym czynem, najdrobniejszą obojętnością dla wspólnej idei, a tylko musiał, jak niegdyś, ku żyjącemu tak teraz myślą biedz w zaświaty i badać i pytać lub cieszyć się i razem dziękczynić.

Lat dziesięć minęło już od śmierci brata — i oto praca już skończona, dzień cichego spoczynku nastaje dla pracownika. Teraz poczną się prace inne, już w spokoju, już cichsze, już niemęczeńskie.

Dlaczego więc woła tak ten dzwon? Dlaczego dawnem odzewnem echem drgnęły mu w piersi wszystkie głosy przymilkłe? Zaniepokoił się; zagłębił się w sobie.

— Czym nie dokonał czego? Czy żądasz czego odemnie, bracie? Albożem nie dotrwał do końca, zanim Bóg uczynił miłosierdzie swoje nad nami? Nie próżna była praca moja i nie marny jej plon.

Oto lud zgnębiony, pokorny, a wierny oddałem Bogu; oto przechowałem w nim lampę tlejącą nadziei i wiary; w czasach najdzikszego ucisku, w godzinach najgłębszego mroku krzepiłem mu serca słowem świtu i zmartwychwstania; gdy zaciskała się nad nimi dłoń kata, jam lał w nie słodycz cierpienia za wiarę i w duszach ich pokornych, maluczkich, ciemnych budziłem ducha ofiary, że stały się od gloryi jaśniejsze i od słońc wspanialsze; w tych umysłach prostaczych jam wznosił ideały tak wielkie, że były jako gwiazdy pałające w niebiosach i króle ziemi, króle-duchy czołemby przed nimi bić, a w prochu przed nimi leżeć winni... To są czyny moje.

O, nie ja — nie ja — a ręka Boska mię wiodła— i wiodła gwiazda twego jestestwa, bracie mój, przewodniku mój.

Czyś ty mię widział wówczas? Czyś spoglądal na mnie, kiedy trudem krwawiącym uznojony szedłem na ciężki bój, a za mną sto śmierci goniło i szło w ślad widmo zgniłego więzienia, moskiewskich kaźni, tortur może? Czyś widział mię, kiedym puszczał się w drogę, jak żegnałem ziemię naszą kochaną, nasze miasto prastare — i grób twój — żegnałem ostatniem pożegnaniem, bom myślał, że wzamian za światła te moje roztoczą się przedemną pustynie śnieżne i tajgi dzikie Sybiru, i uchem chciwie łowiłem każdy dźwięk mowy rodzinnej, bom myślał, że może nie usłyszę go nigdy.

A potem...

Czyś, bracie, patrzył w serce moje, jak strudzonych, starych, umęczonych ludzi oddawałem na nowo w ręce siepaczy, mówiąc im: musicie wytrwać! Gdy ciało wasze pod smaganiem knuta od kości odpadać będzie, musicie wytrwać. Kiedy noc więzienna straci dla was powrót świtu — musicie wytrwać! Gdy umęczone dusze wasze z ciał storturowanych ulatywać będą, wytrwacie do końca.

A czy widziałeś mię, kiedy pędzonym do kaźni młodzieńcom mówiłem, że w ciemni więzienia płonącą lampą będzie im krzyż, a wiarą świtania, wiara ich przodków; i kiedy pozbawiają ich ojca, matki i braci, to ojcem, matką i bracią jest ich ojczyzna, a nadzieją i pracą ich wiara w jej przyszłość.

A kiedy matkom, bracie, płaczącym matkom, wyrywano dzieci z objęcia, a one, bolesne, szły w dalekie, niepowrotne drogi i oczy za chatą swoją, za polami swemi zwracały, a stopy wrastały im w piasek, ja tym matkom mówiłem: idźcie! nie uginajcie ducha, nie drżyjcie! Bracie, czyś ty mię widział z nieba w ową chwilę?

A teraz witasz mię znowu? Na jaki ból? na które drogi? Czym nie spracowany już dosyć? czy nie dość krwi i łez mam na sercu? Czy nie mogę w spokoju patrzeć i błogosławić w ciszy tej ziemi, pełnej cierni i mąk, kiedy łuna świtu nad nią zabłysła, a łany plonem nadziei już wschodzą?

Bracie mój, wołasz ku mnie, a nie wiem o co... A może wołasz mię ku sobie, piękny i umiłowany! — aby mi głowę, jak niegdyś, za młodych lat, utulić na piersi, aby mi rzec: bojowałeś bojowaniem dobrem, już spocznij...

Bracie, to już najsłodsze, co mi dać możesz, to najpożądańsze, co mię tu czeka...“

. . . .

Dzwon wieczorny już zamilkł i tylko echa zbłąkane tuliły się jeszcze do granitowych skał, jękiem mrącym snuły się po rozpadlinach, po ciemniach przepastnych, po wykrętach zboczyły Na ziemię noc zstępowała cicha, uwieńczona gwiazdami, kładła milczące dłonie i wszystko stanęło, cicho, w sny spowijało się srebrne i tylko duch człowieczy, królujący, a czujny, płynął ku gwiazdom... *W. Dalecka.*

(„Zgoda“)



Czerwony znak.

4) Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

Macropulo był w każdym razie teraz zupełnie przekonany, że ma do czynienia z rzeczywiście kupującym gościem, bo ostatni cień podejrzenia znikł z jego twarzy i zaczął teraz zachwalać swój towar jako kupiec i artysta. Hamilton chodził zwolna od jednej figury do drugiej i oglądał wszystko uważnie, lecz chociaż tu i owdzie wymówił jakie słowo pochwały lub uznania, to jednak ukrywał starannie znajomość największej części oryginałów i słuchał uważnie wszelkich objaśnień Greka.

Chodząc nieustannie po pokoju, badał uważnie wszystko, co się tu znajdowało. Lecz mebli nie wiele tu było. Oprócz długiego stołu, zajmującego środek pokoju, stało tylko sześć lub siedem zwyczajnych trzcinowych krzeseł. Przy stole było ich dwa — od strony okna jedno większe, zupełnie innego kształtu i obok niego mniejsze, lecz także nieco inne, jak reszta.

— Wygląda to tak, jak gdyby się zebrania odbywały, — pomyślał Hamilton. — I zbierają się tu spiskowcy, przysiągłbym na to! Naturalnie w nocy, bo lampa, wisząca nad stołem, nie służy wyłącznie ku ozdobie pokoju. Czarne koło na suficie jest najlepszym dowodem, jak często się ta lampa pali!

— Możebyś pan wolał coś modnego — zawołał teraz Macropulo. — Ta figura naprzykład jest wspaniała, skromna, lecz ma niezmierną wartość artystyczną. Jest to studyum Caradiniego!

Hamilton musiał przerwać swoje obserwacye, i spojrzał na przedmiot, jaki mu Macropulo wskazywał. Było to zachwycające popiersie dziecka, patrzącego z niezmierną czułością na gołąbka, którego trzymało drobnemi paluszkami i do serca przyciskało. Sukienka z miękkich, powiewnych koronek znakomicie była wymodelowana, a pominąwszy artystyczną wartość tego cacka, miała twarzyczka dziecka dziwnie sympatyczny i pociągający wyraz. Hamilton patrzał z zachwytem na małe arcydzieło, usiłując sobie przypomnieć, do kogo dziecko było podobne, lecz daremnie.

— Jest to istotnie bardzo ładne, — rzekł, — i chciałbym zawsze patrzeć na tę idealnie piękną twarzyczkę!

— Możesz pan to kupić za tanie pieniądze, — zauważył Macropulo.

Słowa te przywołały Hamiltonowi znowu jego fałszywe położenie na pamięć, bo przecież nie przyszedł tu po to, aby kupować marmurowe popiersie na słupie porfinowym! Grek, obserwujący uważnie każdy jego ruch i każde spojrzenie, zauważył jego wahanie się, ale tym razem nie zdawało się to wzbudzać w nim żadnego podejrzenia, bo mówił dalej zachęcająco:

— Nie znajdziesz pan stosowniejszego podarunku dla znajomej damy!

Nowa trudność dla Hamiltona! Gdzie u licha znajdowała się ta dama, której mógłby ofiarować podobny prezent?

— Ja się jeszcze namyślę, — odrzekł zmieszany, usiłując daremnie zatrzymać ton swobodny, lecz w tejże chwili

spostrzegł, że Macropulo patrzy na niego przenikliwie i z widocznem podejrzeniem.

— Jaka więc jest ostatnia cena? — dodał, odzyskując panowanie nad sobą.

— Razem z słupem — ośm funtów szterlingów, — brzmiala chłodna odpowiedź Greka. Odwrócił się teraz od Hamiltona i trzymał biust tak jak gdyby go chciał odstawić. — Widzi pan, to jest oryginał, — mówił dalej, wskazując na wyryte na dole znaki. — Tu jest nazwisko Caradiniego. Jest to młody artysta, który zdobył sobie sławę światową!

— Wszystko to bardzo dobrze, — odpowiedział Hamilton, — ale......... nazwiska tego arysty nie słyszałem jeszcze dotąd. Biust ten podoba mi się bardzo, jest to rzeczywiście niezła robota, tylko cena jest o wiele wyższą, niż... no, jednem słowem — tyle pieniędzy wydać na ten prezent nie chciałem!

— Więc powiedzmy, siedm funtów!

Hamilton znał się doskonale na rzeczy, i wiedział, że nawet ośm funtów nie jest za wiele za to małe arcydzieło. Ale pomimo to namyślał się jeszcze, bo komu miał je posłać?

Nagle, za portyerą, dał się słyszeć ostry głos kobiecy.

— Zanakis!

Był to głos kobiety, która poprzednio przyjęła Hamiltona w sklepie. Macropulo obrócił się — widocznie to jego było imię.

— Wybacz pan na chwilę, — zawołał, i znikł za portyerą.

Hamilton słyszał cichy szept, lecz słów zrozumieć nie mógł, chociaż oboje po włosku rozmawiali. Nie mając pojęcia, nad czem tam radzili, poznał natychmiast, że musi działać szybko, jeżeli się nie chce zdradzić — widocznie kobieta słyszała całą jego rozmowę z Grekiem i podejrzywała go o inne zamiary.

Macropulo wrócił teraz, zachmurzony i zły.

— Chcesz pan wogóle coś kupić? — zapytał szorstko.

— Naturalnie, — odrzekł Hamilton spokojnie, udając, że nie domyśla się niczego.

Macropulo uśmiechnął się znowu.

— Więc siedem funtów? — zapytał.

— Tak, siedem, i zaraz je panu zapłacę!

— Dokąd posłać pudła? Bo dwa ich będzie — jedno z popiersiem, drugie z filarem!

— Ale pan odpowiadasz za staranne opakowanie, — rzekł Hamilton, licząc na stole siedem sztuk złota.

— Jutro odeślę wszystko i odpowiadam za transport. Proszę o adres!

Nagle przyszła Hamiltonowi zbawienna myśl do głowy.

— Pani baronowa Ravendale, Bayswater Drive, Hyde Park 19, — podyktował uradowany.

I podczas kiedy Macropulo pisał, obejrzał się raz jeszcze po pokoju. Przy tej sposobności zauważył, że portyera poruszyła się i blada twarz kobiety znikła szybko za nią. Nie ulegało teraz już najmniejszej wątpliwości, że podsłuchiwała ich rozmowę i śledziła każdy ruch jego.

Gdy Hamilton wyszedł na ulicę, odetchnął swobodnie.

— Oj, — pomyślał, — było mi tam duszno! Nie lubię ludzi z takim przenikliwym wzrokiem!

Teraz chodziło o to, aby baronową uprzedzić o podarunku i prosić jej, aby go przyjęła. Trzeba było czem upozorować tę śmiałość, bo skąd on miał prawo posyłania jej tak kosztownych prezentów? Ale za nic w świecie nie byłby dał Grekowi swojego adresu: sąsiad pana Feliksa!

W tejże chwili przyszło mu na myśl, że popełnił ogromną nieostrożność. Swoje nazwisko i swój adres zataił wprawdzie, lecz zapomniał, że od dziś był dom baronównej również domem Stelli Garcyi i że dał sam adres jej nieprzyjaciołom! Potem jednak śmiał się sam z swej obawy, — posłaniec Macropula odda jutro obydwa pudła w pałacu baronowej i koniec! Przecież pierwszy lepszy posłaniec nie będzie się troszczył o wszystkich mieszkańców pałacu!

I szedł z lekkiem sercem dalej. Było to jeszcze bardzo wcześnie, wpół do jedenastej. Około pierwszej zamierzał iść do zakładu, i przygotwać Stellę na przybycie baronowej, chwilowo zaś żadnego nie miał zajęcia. Szedł więc bez celu i bez planu.

Lecz po upływie kwandransa znalazł się przypadkiem w dzielnicy Leicester, w pobliżu składu starożytności Lucyana Cevanci.

— Byłoby dobrze, — rzekł sobie w duszy, — gdybym tego starego Włocha raz odwiedził! Pod jakim pozorem jednak? Ba, jeżeli już jeden przedmiot sztuki kupiłem dla baronowej, to mogę drugi kupić dla siebie! Otóż wiem już — zapytam go, czy ma jeszcze ów srebrny kałamarz z strusiem!! I nie namyślając się dłużej, przyspieszył kroku i wszedł do składu starego antykwaryusza.

Cevanci był zupełnie sam. Wszystko tu wyglądało tak, jak przed owym krwawym dramatem, który się tu odegrał. Te same przedmioty i drobiazgi w oknach, na półkach i w szafach, a jednak — chociaż w składzie nie zmieniło się na pozór nic, to tem więcej zmienił się właściciel składu.

Bystre oczy Hamiltona zaraz to poznały!

Stary Włoch zdawał się być niezmiernie zdenerwowanym, tak, że zadrżał silnie, gdy Hamilton wszedł do sklepu i po włosku do niego przemówił. Potem odetchnął widocznie swobodniej, gdy lekarz po pierwszych słowach powitania natychmiast o kałamarzu mówić zaczął.

— Masz pan jeszcze ów srebrny kałamarz, ozdobiony strusiami? — zapytał.

— Owszem!

I przyniósł zaraz przedmiot, o który Hamilton już po raz trzeci pytał starego Włocha. Dziś była cena jednak o dwadzieścia procent niższą, niż dawniej.

— Interesa źle idą, bardzo źle, w ostatnich mianowicie czasach, — narzekał Cevanci. — Wstyd mnie doprawdy, że sam muszę zniżać cenę ,ale cóż robić!

— Myślisz pan, że nieszczęście, jakie się w domu pana stało, jest powodem tego pogorszenia? — zapytał Hamilton z współczuciem.

— Zapewne — tak jest — naturalnie, — odrzekł Cevanci żywo. — Ach, było to okropne, i odstręczyło mi dużo kupujących! Mam zamiar pozbycia się tego składu! Sprzedam wszystko jak najprędzej i wyniosę się z Londynu!

— Ach, chcesz pan opuścić Londyn? I dokąd zamyślasz się udać?

— Nie wiem jeszcze, ale że muszę się stąd wynosić, o tem... o tem — wiem napewno!

— Pan musisz? — zawołał Hamilton, który słowom Włocha nadawał znaczenie, jakiego wcale może nie miały. Bo po zbrodni popełnionej w jego domu nie było nic naturalniejszego jak to, że chciał jak najspieszniej opuścić miasto, w którem go takie nieszczęście spotkało.

— Musisz pan? Czemu? — powtórzył Hamilton.

Włoch podniósł głowę i spojrzał uważnie na doktora. Ale swobodna twarz Hamiltona uspokoiła go zupełnie.

— Ach, pan tego nie rozumiesz, — odrzekł ponuro. — Nie mogę postąpić inaczej! Muszę wrócić do Włoch!

Nadzieja zamiany wilgotnej mgły londyńskiej na jasną i słoneczną atmosferę jego pięknej ojczyzny, wcale mu się tak ponętną nie musiała wydawać — słowa jego brzmiały po prostu rozpaczliwie! Hamiltonowi przypomniał się mimowoli tajemniczy rozkaz, powołujący Alfreda Garcię z Paryża do Londynu — rozkaz, któremu ślepo się poddać musiał, bez wahania, pomimo, że w pozostawionym liście wspominał wyraźnie, że wie, co taki rozkaz znaczy.

Czy więc i Cevanci podlegał temu samemu żelaznemu przymusowi, że „musiał“ się wynosić z Londynu, gdy mu kazano? Hamilton byłby dał niewiedzieć co za to, gdyby mu na to pytanie mógł kto odpowiedzieć, ale musiał przytłumić swoją ciekawość i zadowolić się zwykłem zapytaniem:

— Czy wzgląd na zdrowie zmusza pana do tej zmiany?

— Nie, nie, wcale nie, — odpowiedział stary Włoch. — Czuję się chwilowo wprawdzie niebardzo dobrze, zdaje mi się, że influenza znowu wraca, panie doktorze! Wczoraj chciałem już posłać po pana!

— Służę każdej chwili! Mam pana zaraz zbadać?

— Nie, bo ja składu opuścić nie mogę. Oczekuję tu znajomego, z którym ważny mam interes do załatwienia.

Cevanci zamyślił się na chwilę, potem dodał stanowczo lecz cicho, czego wcale nie było potrzeba, bo oprócz niego i doktora nikogo tu nie było.

— Chciałbym się chętnie pana poradzić. Ale nie tu tutaj! Mogę dziś na wieczór przyjść do pana?

— Naturalnie, mój adres znasz pan! Od godziny siódmej jestem w domu i czekam na pana!

— Ale ja nie życzę sobie, — szeptał Cevanci dalej, — aby się kto o tem dowiedział, że ja do pana przychodzę. — Zdaje mi się, że mnie ciągle ktoś szpieguje!

Mówiąc to, obejrzał się trwożliwie na wszystkie strony i potem utkwił oczy w okno sklepu, a twarz jego przybrała nagle wyraz śmiertelnego przerażenia.

Mimowoli spojrzał i Hamilton na okno i zadrżał.

Boże wielki! Czy się mylił? Czy widział dobrze? W tejże chwili przesuwała się za oknem wystawnem jakaś postać kobieca, której ani twarzy, ani ubrania poznać nie mógł, ale zobaczył zupełnie wyraźnie okrągłą, złotą broszkę — gemmę, oprawną w ciężkie złoto, przedstawiającą klasycznie piękną głowę pogańskiego bożka!

Była to ta sama broszka, którą widział przed dwiema godzinami u kobiety w składzie Macropula!

Po ochłonięciu z pierwszego przestrachu chciał Hamilton wmówić w siebie, że wszystko to było złudzeniem, wynikiem zbyt wybujałej fantazyi.

— Jakie głupstwo, — pomyślał, — takich broszek jest przecież mnóstwo na świecie, a nawet i w Londynie!

Ale nerwy jego niezmiernie były jednak rozdrażnione.

Cevanci nie zauważył jego przerażenia, ciągle jeszcze bowiem wpatrywał się w okno.

— Tak, tak, — szeptał, — zawsze i wszędzie śledzą mnie oczy szpiegów!

Było to dowodem, że i on widział ową kobietę.

— A zatem, — odezwał się teraz Hamilton, usiłując panować nad sobą, — oczekuję pana dziś, po siódmej. Jesteś pan zdenerwowanym i przygnębionym, ale na wszystko znajdzie się rada.

— Przyjdę napewno i przyniosę kałamarz, — odpowiedział stary Włoch.

— Bardzo mi to przyjemnie, nie chciałbym go bowiem zabierać teraz z sobą. Do widzenia!

I Hamilton szybko wybiegł z sklepu.

Ale na ulicy, pomimo całego wytężenia wzroku, kobiety już dostrzedz nie mógł.

— A jednak to ona była! — powiedział sobie w duszy.

Zamyślony, szedł ku domowi. Był przekonany, że kobieta z składu Macropula śledziła go, i że on, który chciał szukać członków tajnego związku, był sam teraz przez nich szpiegowanym i śledzonym. Należało mu więc być niezmiernie ostrożnym!

Bo jeżeli zwrócił na siebie rzeczywiście uwagę sprzysiężonych, to mógł być pewnym, że śledzić go będzie przynajmniej tuzin bystrych szpiegów — żaden ruch jego nie ujdzie ich baczności. Wszędzie, gdzie pójdzie, towarzyszyć mu będą, wszelkie jego plany zostaną zniweczone, i na każdym kroku spotykać go będzie mnóstwo nieprzyjemności, nic już nie mówiąc o niebezpieczeństwie, jakie by groziło jego życiu!

— Jakże byłem szalonym, że poszedłem do Cevanci'ego, — szepnął, zły na własną nieostrożność.

Ale z tem wszystkiem nie był to człowiek, lękający się jakiejś przeciwności. Wiedział, że postąpił nierozważnie, ale był przynajmniej na złe przygotowany, więc i to było dobrem. I postanowił użyć podstępu za podstęp i być jeszcze przebieglejszym, niż sprzysiężeni.

Przedewszystkiem skinął na przejeżdżającą dorożkę.

— Do cyrku Regent! — zawołał głośno.

Jeżeli szpieg jaki znajdował się w pobliżu, to zaprowadzi go na manowce! I myśl ta uśmiechała mu się bardzo.

Najpierw kazał stanąć przed jednym z wielkich bazarów na Oxford Street, zabawił tam mniej więcej pół godziny, kupując mnóstwo drobnych przedmiotów, z któremi nie wiedział, co zrobić, i chodził z jednego sklepu do drugiego. Tym sposobem myślał zmylić wszelki pościg swych stróżów. Opuszczając bazar, wyszedł inną bramą i przywołał znów dorożki, lecz tym razem podał adres tak cicho, że ledwie dorożkarz go zrozumiał, i kazał mu pędzić, co koń wyskoczy, na dworzec Charing-Gross. Tam zbiegł szybko ze schodów, usiadł do wagonu kolei podziemnej, i gdy nareszcie stanął na miejscu, byłby przysiągł, że jeżeli go kto chciał ścigać, to stracił teraz wszelki jego ślad.

Była to uciążliwa droga, jaką odbył, chcąc odwiedzić Stellę, lecz nie żałował tego. Walka z tajnym związkiem zaczynała być bardzo zajmująca.

Wchodząc do zakładu, nie zauważył ciemno ubranej i starannie zawelowanej kobiety, która szła za nim jak cień od chwili, w której opuścił skład Macropula. Gdy chciał zmylić pogoń, szła ona za nim z wytrwałością i zaciętością psa, idącego śladem krwi.

Nie miał też pojęcia, co owa kobieta myślała o nim. Stała ona blizko drwi i zaciskała groźnie pięści, a oczy jej straszną błyszczały nienawiścią.

— Ah, tysiące przekleństw na jego głowę, — szeptała. Domyśla się, że go śledzimy — inaczej nie byłby urządzał tej szalonej ucieczki i nie byłby mi tak okropnie utrudniał pogoni! Miałam zaraz przeczucie, że to nasz wróg, a Zanakis śmiał się, gdy go ostrzegałam. Najpierw poszedł do Cevanciego, a potem tu, gdzie ta dziewczyna mieszka. Teraz pozna Zanakis może niebezpieczństwo, jakie nam grozi!

Naprzeciwko domu chorych znajdowała się mała restauracya, z której można było obserwować wygodnie cały zakład, a mianowicie główne wejście. I tu udała się kobieta. Przy oknie siedział jakiś młody człowiek i pił kawę — zbliżyła się do niego, szepnęła mu kilka słów po włosku i nie zatrzymując się, pobiegła w kierunku dzielnicy Soho.

ROZDZIAŁ X.

Przez wzgląd na spokój własny było dobrze, że Hamilton uważał się w każdym razie za zupełnie bezpiecznego i że myślał, że nikt go po wyjściu z sklepu Cevanciego nie wyśledził.

Wchodząc teraz na górę w zakładzie chorych, był wyłącznie zajęty Stellą, jej przyszłością i myślał nad tem, w jaki sposób odwieść ją od jej namiętnego pragnienia zemsty. Już poprzednio stawił sobie sam pytanie, czy nie lepiej zaniechać tej całej sprawy, w którą go zaplątała najpierw ciekawość a potem budzące się uczucie dla Stelli? Czy Stella nie byłaby stokroć szczęśliwszą, gdyby się starała zapomnieć o okropnej śmierci ojca i gdyby nie pragnęła odkrywać tajemnic sprzysiężonych?

Te myśli zajmowały go teraz wyłącznie, lecz nie wiedział jeszcze, jak dalej postępować.

Gdy wszedł do salonu, zastał tam Stellę niecierpliwą i rozdrażnioną.

— Nareszcie przychodzisz pan! — zawołała, biegnąc ku niemu.

— Przecież nie miałem przyjść rychlej, — odrzekł z uśmiechem.

— Nie, nie, a jednak... ja myślałam... ach, pragnę, tak bardzo mówić z panem o tem, o czem pan tylko wiesz i ja!

— Służę pani. I o cóż to głównie chodzi?

— Zmieniłam moje plany!

— Jakie?

— Nie chciałabym przyjmować miejsca u baronowej Ravendale!

— Ach, bardzo bym tego żałował!

— Wolałbym jechać do Paryża!

— Czemu?

— Bo pragnę tam odszukać owego Henryka Poiton!

— A potem?

— Potem? Zabiję go! — krzyknęła w gwałtownem uniesieniu!

Hamilton pozostał zupełnie spokojnym. Spojrzał tylko z wyrzutem na Stellę, a ona zarumieniła się i spuściła oczy.

— Nie powinnaś pani ani tak myśleć, ani tak mówić, — rzekł łagodnie. — Powiedziałem ci już raz, że sprawiedliwość nie jest zemstą! Jedna zbrodnia nie upoważnia bynajmniej do popełnienia drugiej — a zresztą nie masz żadnej pewności co do winy Henryka Poiton! Są to tylko domysły i przypuszczenia!

— Ja go zmuszę do wyznania prawdy, — szepnęła, nie podnosząc oczu.

— Pani go zmusisz?

— Tak! Stanę mu oko w oko i zażądam prawdy! Musi mi powiedzieć wszystko!

— Chcesz pani posłuchać mej rady? Nie widzisz, jaki skutek osiągnęłabyś takiem postępowaniem? Dopóki nie masz w ręku wyraźnych dowodów jego winy, dopóki musisz milczeć, inaczej zgubisz i te ślady, jakie dzisiaj mamy. Jeżeli oskarżysz Henryka Poiton, nie mając dowodów jego zbrodni albo jego udziału w niej, to uprzedzisz wszystkich sprzysiężonych i przeszkodzisz policyi w ukaraniu winnych!

Słowa Hamiltona przekonały Stellę zupełnie.

— Ale cóż ja mam robić? — szepnęła z rozpaczą.

— Pierwszy plan pani był najlepszy, — odrzekł. — Zostań w Londynie i naucz się po angielsku. Przyjmij propozycyę baronowej, a znajdziesz u niej dom i opiekę i nie pożałujesz tego nigdy. Wymówiłaś sobie co tydzień dwa wolne dni — to ci wystarcza na dalsze poszukiwanie i śledzenie tych, którzy ci taką wyrządzili krzywdę!

— Ale po tem, co mi pan wczoraj mówiłeś, rozjaśniła się nieco cała zagadka. Czemu nie mam żądać wyznania prawdy od Henryka Poiton? Bo on sam tylko jest sprawcą mego nieszczęścia!

— Nie, pani nie możesz tego uczynić, powiedziałem to już raz i powtarzam znowu. Nie powinnaś — pod żadnym warunkiem dać mu do zrozumienia, że podejrzywasz go o popełnienie zbrodni — otwarcie możesz z tem wystąpić wtenczas dopiero, gdy będziesz miała niezbite dowody jego winy.

— Ale jakim sposobem uzyskam te dowody?

— Przyrzekłem pani moją pomoc, zawsze i wszędzie — uczynię wszystko, co w moich siłach, aby wyjaśnić tajemnicę, otaczającą okrutną śmierć twego ojca. Ale za to żądam....

— Czego? — szepnęło dziewczę niespokojnie.

— Żądam, — powtórzył stanowczo, — abyś pani słuchała moich rad!

Stella podniosła oczy, a spojrzenie jej, jasne i szczere, wyrażało bezgraniczną ufność i wdzięczność.

— Nie zapominaj pani, — mówił Hamilton dalej, — że zadanie, jakie sobie postanowiliśmy, połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem. Tak dla pani, jak i dla mnie.

— I pan się chcesz narażać na to — dla mnie? — szepnęła cichutko, a w głosie jej zabrzmiał lekki cień czułości.

— Bardzo chętnie, — zawołał z zapałem.

I przynał sobie w duszy, że dla tej dziewczyny poświęciłby wszystko!

— Dziękuję panu, — odrzekła z prostotą, podając mu obie ręce. Hamilton ujął je w serdecznym uścisku, lecz starał się przytłumić wszelkie uczucia, jakie w sercu jego coraz się głośniej odzywały.

— Nie teraz jeszcze, — mówił sobie, — nie teraz jeszcze. Więc zgadzasz się pani na moją prośbę? — dodał głośno. — I zastosujesz się zawsze do mej rady?

— Zawsze — pod każdym względem!

— Więc przedewszystkiem zapakuj pani swoje rzeczy i bądź gotową na przeniesienie się do pałacu Ravendale. Baronowa przyjdzie po panią dziś po obiedzie!

— Co dziś już? — zawołała Stella zdumiona.

— Tak, o trzeciej. Przyjedzie kareta i zabierze panią zaraz z sobą.

Stella zawahała się na chwilę i znów spuściła oczy.

— A pan? — szepnęła. — Czy ja pana...... czy my...... kiedy się znowu zobaczymy?

— Wnet! Baronowa pozwoliła mi przychodzić tak często, jak tylko zechcę. Zobaczymy się więc wkrótce u niej.

— Ah, jakże się cieszę......

— Pożegnam panią teraz. Baronowa odwiedza co wtorek zakład chorych więc może jest już tutaj. Zapytam się zaraz!

Hamilton udał się do biura sekretarza z zapytaniem, czy baronowa już przyjechała, ale otrzymał odpowiedź, że przed drugą żadna z pań nie przyjeżdża. Napisał zatem do niej kilka słów, z poleceniem oddania jej zaraz biletu, i doniósł jej, że Stella jest gotową na przeniesienie się do pałacu i że o trzeciej stawi się w sali komitetowej.

Potem opuścił zakład, aby iść na śniadanie.

Około trzeciej jednak był tu już znowu i zastał baronową, czekającą na niego.

— Mówiłam już z panną Stellą, — zaczęła zaraz, — i dziękuję panu serdecznie za trudy, jakie w tej sprawie podjąłeś.

— Ach pani łaskawa, — odpowiedział Hamilton z udanym smutkiem, — jestem okropnym egoistą i muszę prosić zaraz nawzajem o przysługę!

— Bardzo mnie to cieszy! — zawołała baronowa uprzejmie. — Może będę mogła odpłacić zaraz mój dług wdzięczności.

— Mam nadzieję, — zaczął teraz Hamilton poważnie, — że nie przypuszczasz pani, abym po zawarciu naszej niedawnej znajomości miał sobie pozwolić na jakąś nietaktowność......

— Ależ na Boga, co pan mówisz! — roześmiała się baronowa wesoło. — Powiedz natychmiast, co popełniłeś tak bardzo niestosownego?

Hamilton mieszał się coraz więcej, nie chcąc jednak przedłużać nieprzyjemnego położenia, rzekł odważnie:

— Wiem, że nie powinienem sobie pozwalać ofiarować pani figury marmurowej, a jednak......

— Figury marmurowej? — zawołała baronowa zdziwiona. — Co to znaczy, panie doktorze?

— Nie wiem doprawdy wcale, jak to wytłumaczyć i proszę pani jako o największą łaskę, nie pytać mnie o nic!

— Ale muszę przynajmniej wiedzieć, zkąd powstało w głowie pana życzenie obdarzenia mnie figurą marmurową? Wybacz pani, że się śmieję, ale to rzeczywiście niezmiernie jest śmieszne!

— Nie, nie, ja wcale pani nie proszę o przyjmowanie tej figury jako podarunku! Tylko tymczasowo — proszę o kącik dla niej w domu pani — na kilka tygodni lub miesięcy! Jest to prześliczne studyum, przedstawiające główkę dziecka! Stałem się właścicielem tego biustu, sam nie wiem, jak! Ale w domu u mnie, nie mam miejsca dla tego małego arcydzieła. Więc proszę, przyjmij je pani u siebie tylko na krótki czas, dopóki się zgłoszę po nie......

Baronowa nie śmiała się już więcej.

— W prośbie pana, — rzekła poważnie, — jest coś, czego nie rozumiem, ale przypuszczam, że ważne powody nie pozwalają ci na wyjaśnienie mi tego. Jeżeli ten biust marmurowy jest rzeczywiście tak pięknym, jak twierdzisz, to chętnie wyszukam dla niego odpowiednie miejsce!

— Jesteś pani niezmiernie dobrą, — odparł Hamilton, uszczęśliwiony tem, że nie potrzebuje zmieniać dyspozycyi, danej Macropolowi.

— Ale cóż, jeżeli owa kobieta śledziła go dalej? W takim razie były wszelkie jego starania zatajenia swego nazwiska daremne.

— Ba, jeżeli!

Słowo to było mu pociechą i nowej dodawało odwagi!

— Kiedy pani mi przyślesz ową figurę — owianą zasłoną tajemniczości? — pytała baronowa z uśmiechem.

— Myślę, że jutro.

— W takim razie byłoby najlepiej, abyś pan przyszedł jutro po obiedzie do nas na herbatę i pomógł mi ustawić figurę jak najkorzystniej. Czy może jest jeszcze co do przechowania u mnie? Może kilka stołów, krzeseł lub szaf? — żartowała baronowa wesoło.

— Nie, dziękuję pani, chwilowo mi to wystarcza, — odrzekł Hamilton, śmiejąc się także.

— Jeżeli byś pan powiedział teraz pannie Stelli, aby się zabrała, to moglibyśmy za kilka minut wyjechać ztąd.

Hamilton wypełnił życzenie baronowej i po upływie kwadransa opuścili wszyscy dom chorych.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy Hamilton wracał do swego mieszkania. Dziwne jakieś uczucie strachu i smutku opanowało nagle całą jego istotę — czy przeświadczenie, że odwiedzeniem składu Macropula posunął się za daleko w tej sprawie, tak go przygnębiało, czy też jakieś przeczucie nieszczęścia owładnęło jego duszę, dosyć, że nie mógł się pozbyć przykrych myśli i byłby przysiągł na to, że dozna jakiejś wielkiej przykrości. I gdy tak szedł wolno, pogrążony w zadumie, przypomniało mu się nagle, że to znów był piątek. Czy i dziś ukaże się znak na żaluzyi jego sąsiada? I czy pan Feliks uda się dziś znowu na zebranie do domu Macropula? Czy nie byłoby najlepiej uprzedzić policyą o wszystkiem, kazać otoczyć dom Greka żandarmami, zaskoczyć sprzysiężonych podczas ich obrad i zamknąć ich w więzieniu, aby już nikomu szkodzić nie mogli? Ale gdyby zażądał rzeczywiście pomocy policyi, czy kto w świecie byłby uwierzył jego opowiadaniom?

Gdy stanął nareszcie w domu, zabrał się do czytania wieczornych gazet, chcąc sobie skrócić czas oczekiwania na przybycie starego Cevanciego.

Około wpół do ósmej usłyszał pukanie do drzwi. Odłożył gazetę, gotowy na przyjęcie Włocha, lecz pukanie powtórzyło się raz jeszcze silniej, natarczywiej.

Hamilton wstał i otworzył drzwi.

— Kto tam? — zawołał.

— Jakiś pan chce się widzieć z panem doktorem, — odrzekła służąca.

Był to Cevanci, ale okryty tak obszernym płaszczem, że go Hamilton ledwie mógł poznać.

— Małe jądro w wielkiej łupinie, — rzekł śmiejąc się i pomógł staremu Włochowi zdjąć płaszcz.

Ale gdy spojrzał na śmiertelnie bladą jego twarz, przestał się mimowoli śmiać.

— Co panu jest? — zawołał przerażony.

Drzwi były zamknięte, pomimo to spojrzał Cevanci lękliwie na nie i zbliżając się do doktora, szepnął cichutko

— Śledzono mnie — on szedł za mną aż tu dotąd!

— O, to bardzo niemiła sprawa, — odrzekł Hamilton poważnie.

— Ale to jeszcze nie wszystko, — mówił Cevanci dalej, drżącym głosem. — Ja jestem już prawie przyzwyczajony do tego, że mnie podpatrują, podsłuchują i szpiegują na każdym kroku, ale pan! Jak to z panem......

— Ze mną? — zawołał Hamilton, nie rozumiejąc wcale, co to pytanie ma znaczyć.

— Więc pan tego nie wiesz?

— Czego?

— Że „oni" pilnują domu pana?

— Kto oni? Co pan mówisz?

— Możesz mi pan wierzyć, że tak jest! Pewien człowiek szedł za mną od mego mieszkania — inny stoi tu na ulicy...... Widziałem go, gdy pierwszym razem zapukałem do drzwi — i poznałem go natychmiast! W ciemności piekła poznałbym go pomiędzy tysiącami!

— Kto to jest?

— Pewien Grek!

— Jak się nazywa?

Cevanci zawahał się na chwilę, potem odrzekł cicho i wolno:

— Znamy tylko jego imię!

— A to jest......

— Zanakis!

Hamilton był właśnie przygotowany na to imię, a jednak, gdy je teraz usłyszał, zbladł i był również przerażony, jak jego gość.

ROZDZIAŁ 11.

Cevanci upadł na krzesło, a Hamilton otworzył szafkę, aby mu nalać kieliszek wina. Widział teraz jasno, że ludzie, których tajemnice pragnął poznać, śledzili go uważnie. To co uczynił dotychczas, nie bardzo było ważnem, ale każdy jego krok dalszy ściągnąłby ich zemstę na jego głowę. Mógł być odtąd przekonanym, że będą go śledzić i szpiegować we dnie i w nocy, i że nigdzie się przed nimi ukryć nie zdoła.

— Jesteś pan zmęczonym i w najwyższym stopniu zdenerwowanym, — rzekł do starego Włocha, podając mu wino.

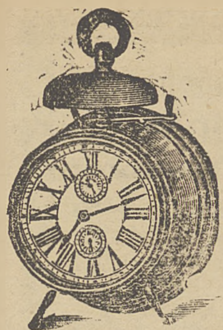
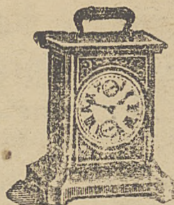
— Życie stało mi się ciężarem — przekleństwo jakieś ciąży nademną, — szeptał Cevanci.

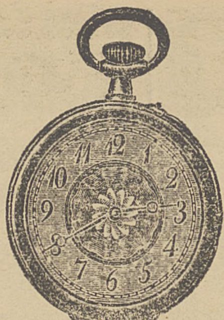
— Obecny stan pana nie pochodzi od choroby cielesnej, tylko od moralnego przygnębienia! Mówię do pana zupełnie otwarcie! Jeżeli mam cię wyleczyć, to przedewszystkiem powinieneś mieć do mnie zupełne zaufanie — nieograniczone zaufanie, jakie panować powinno pomiędzy lekarzem a jego pacyentem.

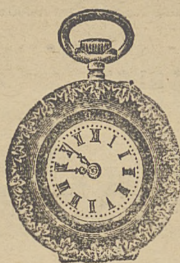
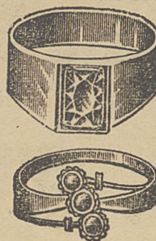
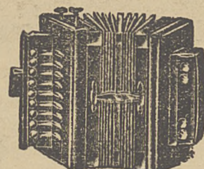
Cevanci słuchał uważnie, lecz nie odpowiadał ani słowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).






Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. **5,40**
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . „ **5,90**
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ **8,00**
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ **7,75**
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. **10,00**
Te same o 10 kamieniach . . „ **12,00**
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. **12,00**
znacznie lepsze z Matką Boską . „ **14,00**
a najlepsze z Matką Boską . . „ **16,00**
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . . „ **8,50**
dto. 10 kamieni prima . . „ **12,00**
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam prima . . „ **16,00**
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ **18,00**
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ **22,00**

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. **2,45**
dto. 30 godzin chodzące . „ **2,95**
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ **3,50**
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ **4,25**
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ **6,75**
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ **6,85**
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ **6,95**
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ **8,50**
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ **13,75**
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ **1,85**
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ **2,65**
BUDZIKI z muzyką . . . „ **6,40**
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ **3,00**
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ **5,00**
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ **6,00**
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . „ **5,00**
dto. lepsze dla dorosłych. . „ **7,00**
dto. z silnym głosem . . „ **9,50**
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2 76	3,75

już gotowe do użycia.

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129
nawodnienie łąk systemem francuzkim oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: Warszawa, Zielna nr. 21.
Sieradz, Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach 1/2, 3/4, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2 1/2, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

ZAKŁAD dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

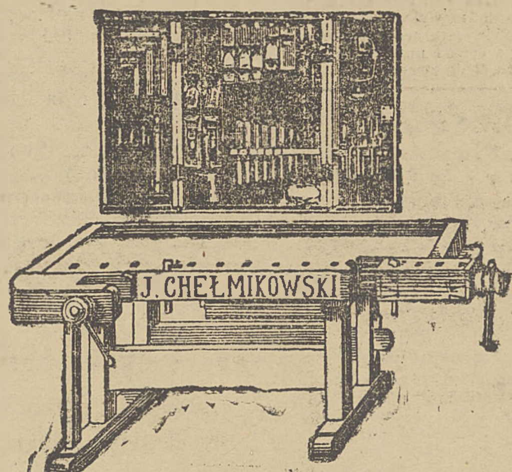
podług najnowszej metody. Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach. Wykonanie dokładne i artystyczne. 148
Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań, św. Marcin 56

I. piętro.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.
Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli garncarzy, sztukatorów.
Cennik darmo. 102
Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samografki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

Nowe

szkockie śledzie Matjasy

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę

we wszelkich gatunkach,
czystą amer. mięszaną salonową nafte z dostawą na bieżące i późniejsze term.
Smołę i papę na dachy oraz carbolineum

poleca po tanich cenach hurtownych 133

Maciejewski & Co.

Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty
Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 133
Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli

stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. **Telefon 1290**

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.

Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.

Najlepsze referencye. 51

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od 1 marki począwszy, płacąc od **3 do $4^1/_2$ proc.** wedle umowy. 19

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6. Filia **w WRZESNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,** założony 1879 r.

poleca 267 wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.



Włosotwór

jedyny skuteczny środek

na porost włosów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk., 3 puszki 7,50 mk.

A. Dytkiewicz,

Berlin, Uhlandstrasse 145.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183

przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,

" " półrocznem $5^1/_2$ "

" " całorocznem 6 "

od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. Pewność zupełna.

Kujawski Bank Parcelacyjny,

E. G. m. b. H.

w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Pomocnik handlowy

szuka posady, którąby objąć mógł zaraz lub od **1-go 10.** Warunki skromne. O zgłoszenia prosi:

W. STROJNY.

POZNAŃ, Grobla 27 a.

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39

folwarków i gospodarstw

oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. **Telefon Nr. 62**

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszomiejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WISNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karłowski.

Jedyny

POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Mozdrzanowski.

Kościan

ul. Małej kolejki kościansko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

Kostrzyn.

H. Andruszewski

Hôtel Victoria

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby mężkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca **obuwie** od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Śmigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. mężkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Strzałkowo.

Nawjększy dom towarowy

W. Ziarniaka

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby mężką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

JAN BOGACZYK

poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie mężkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie

W. Bogacki

Śrem.

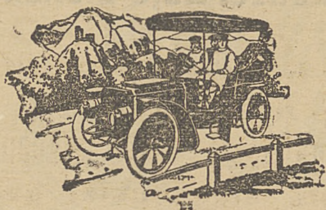
TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,

pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.



AUTOMOBILE
Koehler & Co.

Największe warsztaty reparacyjne

z zapędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.

Gen. repr. firmy

Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.



Brzytwy

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

Nożyczki kute stalowe po 40. 50, 60 i 90 fen.

Noże kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen.

Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.

Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.** 200

M. Danecki,

Miejska Górka (Görchen in Pos

ZWIĄZEK ZIEMIAN

E. G. m. b. H.

TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia 3½, 4 i 4½ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).

założona 1878 roku. 263

Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)

Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Fr. Jaworowski

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.

TELEFON 701. tylko poleca TELEFON 701.

Smalec berliński

topiony i surowy 310

jeszcze po starej cenie.

Tanie opakowanie!
Wyborowy tytoń!
Tylko ręczna robota!
Wielki obrót!
Mały zysk!

powodują coraz większe rozpowszechnienie papierosów

„Dubec"

fabryki 350

M. Droste w Poznaniu.

---

2 widne sklepy 538 do przechowywania towarów, n. p. owocu i. t. d ma do wydzierżawienia **Karol Rzepecki,** Piekary 7, III.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 29

Nowo otworzone! | Nowo otworzone!

Nizkie ceny! | Nizkie ceny!

J. W. Maciejewski

ulica Nowa 11, narożnik Starego Rynku

poleca w wielkim wyborze

kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki kamizelki

i wszelkie inne artykuły męzkie. 543

Usługa rzetelna! | Usługa rzetelna!

Dla dorastających Panienek,

które kształcić się pragną w rzeczach ojczystych lub równocześnie w jakim praktycznym kierunku, (542

pensyonat

swój poleca

Helena Rzepecka,

egzam. nauczycielka wyższych szkół żeńskich

Poznań, św. Marcin 9 II.

Warunki przystępne przesyłam na żądanie.

A. Galczewski,

Gniezno (Gnesen).

Największy Polski skład zegarmistrzowsko-złotniczy

poleca w bardzo wielkim wyborze bajecznie tanio *zegarki kieszonkowe* już od 4,50 mk. począwszy, *zegary ścienne* i *budziki* od 2 mk. począwszy, *regulatory* od 10 mk., *pierścionki* złote, prawnie stempl. od 1,25 mk., broszki, kolczyki, bransoletki, obrączki, okulary, binokle, przedmioty srebrne i alfenidowe. (125

Na żądanie wysyła się bogato ilustr. cenniki gratis i franko.

Korzystne źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Zasadą interesu jest rzetelność.

UCZNIA

syna uczciwych rodziców przyjmie 541

B. SADOWSKI, zegarmistrz

KROTOSZYN.

Młodsza

książkowa

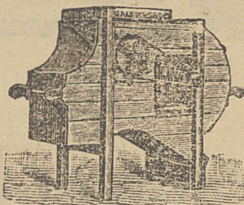
poszukuje posady od 1. 10. Oferty uprasza się do Eksp. „Pracy" pod lit. **C. H.**

Ucznia poszukuje zaraz lub od 1-go października **E. GLATZEL,** handel kolonialny, win, cygar, destylacya i skład piw. Nakło nad Notecią (Nakel a. Netze.) 549

Jako **UCZEŃ** syn porządnych rodziców umiejący dobrze po polsku i w rachunkach, może się zgłosić do składu towarów korzennych. 604

J. Koraszewski

Wójtowawieś (Vogtsdorf) Kr. Oppeln O/Schl.



Nowe

MŁYNKI

„SIMPLEX"

i wialnie

„PERFEKT"

do czyszczenia zboża wykazały najlepsze rezultaty przy próbie podjętej przez izbę rolniczą w Królewcu. *Wykonanie ich bardzo dobre a funkcyonowanie niezrównane.* Polecam je ze składu mego w Poznaniu po tańszych, jak zwyczajnie cenach. (99

A. Bryliński,

Poznań, ul. Rycerska Nr. 11 a.

Telefon Nr. 69.

Adr. do listów: A. Bryliński Poznań — Posen.

Adr. do telegr.: A. Bryliński Posen.

Skład maszyn rolniczych krajowych i zagranicznych, zapasowych części do nich i pracownia do napraw.

Z. Rittera proszek do prania

bieli i konserwuje bieliznę!



Praktyczne i rozsądne gospodynie używają do prania bielizny tylko Rittera proszek 66

„Lessive Albin."

Proszek ten pod gwarancyą bez kloru jest nieoceniony do prania i bielenia bielizny oraz materyałów wełnianych i bawełnianych, jedwabi, flanel i innych tkanin, również najtańszym i najlepszym środkiem do czyszczenia wszelkich sprzętów kuchennych, szkła, płyt marmurowych, garnków, drzwi, okien, podłóg i aparatów do piwa. Do nabycia w paczkach po 25 fenygów w drogeryach i handlach kolonialnych a gdzie nie ma na składzie wysyła się franko 8 paczek za 2 mk. Przy zakupnie proszę uważać na mój znaczek ochronny z moim podpisem, **Chemiczna fabryka Z. RITTERA Poznań, Św. Marcin 20.**

Cegielnia Glabisza

w Poznaniu

kantor ulica Lipowa nr. 1.

poleca jako specyalność swych wyrobów wszelkiego rodzaju 356

dachówkę

najprzedniejszej jakości.

Znakomita książka kucharska 396

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny. str. 360.

Cena bez oprawy 2,20 m.; z piękną oprawą 3,00 m.

Wysyłamy tylko za zaliczką, doliczając 30 fenygów na porto, adresować prosimy **Księgarnia Katolicka,** Poznań ul. Jezuicka 5.

Uwaga. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania.

Bardzo piękny charakter pisma

posiadający **kupiec,** szuka zajęcia w kupiectwie lub w biurach bankowych albo adwokackich. Wymagania skromne. Wiadomości udzieli

Fr. Radomski. Nowy Rynek 13 III p.

Prosimy odciąć
i zanieść na pocztę.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das IV. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für M. 1,25 (mit Abtragegeld **M. 1,37.**)

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige M. erhalten zu haben, bescheinigt

...., den ....

Kaiserl. Post ....